Fotografie Mieczysława Pawlikowskiego

oraz wykonane przez niego wycinki

„Powiastka"

k. 1-2

1849

(z Pamiątków) 27. 1849

– A Mówiłem Aspanu abyś Waszmość rozpoznać gramatykalnego kazał wydrukować garmondem a nie Czerwonem!.... mówiłem Aspanu przecież wyraźnie!.... wyraźnie! (słuchaj-że Waszmość!) – a poco ten dystyk takimi wielkie litery poco? poco? .... a tego Waćpana czytelnik nikt nie będzie [illegible] rozprawa pod uwagę – a [illegible] (tytułu i zwróć się do całego Dziennika [illegible] wielkie litery) i powiedz że [illegible] nie wart ... bo samo rozprawy uczone ..... uczone.....

– Mc – Do.. pa – panie dobrodzieju ..... ja [illegible] mój czerwonego ... czerwo... ale nie przestrzegałem, ... ale nie popostrzegł,

– A! z tymi rzeczami! (słuchajże Waszmość ... wielkie jak panie powiedziałem że to do Waszmości należy.... tak na równe po [illegible]..... [illegible] że Waszmość uważa na to.....

– Tak, tak panie [illegible] przepisał który i przyglądałem [illegible] artykuł o Literaturze Amerykańskiej [illegible] – a on Fabr. to zrobił....

– Tak że Waszmość daj mi korektę pierwszego arkusza .... a ja poprawię tymczasem drugi ale słuchajżeż Waszmość dobrodzieju!... słuchajże Waszmość!.... a na miejscu tych wyrazów który [illegible] inne położy artykuł .... A gdzież Waćpan [illegible] kiedy nie [illegible] .... słuchaj że Waszmość! .... tu "nie potrzeba ani przy[illegible] ale tylko na wyrażeniu" "Tu trzeba rozdzielić" nie "Przykryty kask [illegible]"

ale: "Przy krytykach tak wszystkiego"...... [illegible]

a znaczy "coś złotego"? – "złoty" powinno być; – i [illegible] wszystko już poprawione ale po całym druku brzydko po [illegible]? – słuchajże Waszmość!... no! Ale!.... ale! stój Waszmość, wróć się! waćpan – he! hejże!.... [illegible] Gdzie mu to wszystko! ale słuchajże Boże! Janie! Janie!..... zawołaj-no Pana sekretarza Pana Sekretarza? "Co Pan każe?" zawołaj

– Pana sekretarza?

– [illegible] Aż prawdę Ci mówiłem oto!

– Dobrze Panie, Panie Sekretarzu.

– – – – – .... [illegible] powolne skrzypnięcie drzwi zamykało.

? powiedział Jan po "Panu sekretarzu" [illegible] Panie niebieski. [illegible] otworzył i wydobywszy Tymczasem Pan Redaktor [illegible] do kieszeni [illegible] (szarych pantalonów w zielone kratki) [illegible] podkładki wziął potężne okulary [illegible] zasunął sobie na nos [illegible], prawdziwie okrutnymi podkładkami. – Pozwyczekał [illegible] przymknął małe, czerwone, z przyczyn pracy literackiej [illegible] oczy, [illegible] spostrzegłszy że okulary się zaprószone tak że nawet już wolnym okiem widział że oto to raz przemówił, wstał i wyjąwszy z [illegible] kieszeni i odtąd [illegible] dopóki okulary obie [illegible] na którym najmniejszej plamki nie [illegible] wytłumacz do tego stopnia iż niepodobnaby pierwotnej barwy i deseniu obrazu rozpoznać [illegible] Jan Mickiewicz (to jest uczeń szanowny Redaktora) [illegible] otworzył szafę po prawej stronie biórka i wziąwszy [illegible] naszego szczotkę i otarłszy nim starannie okulary, [illegible] wrzucił to wszystko na swe miejsce:.. [illegible] na krzesło a na nos okulary... [illegible] zamknął, [illegible] znowu po pracy. Położył przed się arkusz "Dziennika Literackiego" [illegible] wrócił do korrekty (pierwsza albowiem była poruczona sekretarzowi) i [illegible] tylko do rzeczami czasu [illegible] w [illegible] sam się [illegible]

zarzucił wszystkie (jak by strażnik przynależności [illegible])

[illegible] krzyżówkę swego ciemno-zielonego surduta i białej kamizelki

(Dumnie wzniósł) potem

wywrócił ją górze... obejrzał się po pokoju... P. Redaktor sporzejszy ją [illegible] jedynego w [illegible]

(z zawrotnym wzrokiem) (Wychylił się zatem z krzesła [illegible] gdzie tabakierkę)

Wszystkiego na ciemną [illegible] ulicę. — Potrząsł w dłoni [illegible]

(otworzył, otrząsł aby się wybrana ciemna [illegible] nie wysypała)

[illegible] potrzyma [illegible] tabakę zażycie na spoczynie. A [illegible] dziennika

(zapraszając w nią [illegible] w Kaliszu polami)

Zaraz wziął się do pracy [illegible] ponieważ zaczynało się ściemniać

[illegible] zapalił [illegible] w parze [illegible] i zamknął [illegible] na biórku lampę.

z małym szklanym blaszkostronem. Ustawił [illegible] aby mu dobre światło na papier rzucała

[illegible] wziął się zaraz do pracy. — Niech sobie pracuje, [illegible]

Wolimy raczej odpowiedzieć szanownemu czytelnikowi na jego zapytanie kto [illegible]

[illegible] przy korekcie drukarskiej [illegible] —

Niewiedzy [illegible] zaspokoić ciekawość szanownego Czytelnika

i [illegible] gdybyśmy odpowiedzieli krótko: Jest to Pan Janczewski [illegible]

Redaktor dziennika [illegible] we Lwowie ..... w roku i t. d. — Musimy zatem

opowiedzieć pokrótce historyę życia szanownego Redaktora.

*) Tabliczka zamknięta z wstawką od Kirowej sporządzony z ukosu na połowę [portret Albertyny] kamea, która widziałem w Zbiorze — co nam mości wodz ... zabrało, gdzie ~~prawy~~ oddał się na chwilę kilka szczególnych wspomnień jak mi je ~~[illegible] [illegible] [illegible]~~ od wyjazdu z Paryża s.p. J.U. Niemcewicz darował na pamiątkę

Chcąc się ustrzec szczerze do nudnej pracy Monteskiu swego dziennika

Jedynie perkal okryty grubą warstwą bardzo cienką [illegible] tak był wygładzony iż dawnej jego krochmalności nawzajem tym, choć nieestetycznym była zastąpiona połyskiem.

Zwidziony poeta

przed 1855

k. 3-24

I. Zwichniony poeta — powieść.

pisane przed r. 1855.

Wojciech Żyła.
Życiorys w powieści.
Studium psychologiczne.

— Czegoż to płaczesz Grzegorzu?
— Eh, co Panie darmo mówić — Pawłby mnie wyśmiał starego. Niema się komu użalić na zgryzotę boby ludzie nie pojęli mego płaczu i jeszcze by człowiek wstydu się nabawił gdyby im powiedział co go boli. — Ot, poczciwy człowiek musi się jak złodziej kryć z tym co czuje — i tylko może przed Panem Bogiem cicho się w kącie wypłakać!...
— Nie Grzegorzu, poczciwy człowiek nie potrzebuje się wstydzić swych uczuć. — Powiedz, może ja Ci będę mógł dopomódz? Musi być niemały powód Twego zmartwienia bo jako Ci jeszcze nigdy nie widział płaczącego a znamy się dawno —
— Oj, że dawno, to dawno Panie ... i nigdy u Pana ~~nie było~~ nie było czego płakać — toć człowiek już nie płakał dawno ... jeszcze na pogrzebie mego Pana Majora !...
— Czegoż więc dziś płaczesz?
— Ha! co się mam kryć przed Panem? — Płaczę za Wojciechem....
— Co? Ty? za tym łotrem? — [Wstydź się Grzegorzu! — kiwa... głową ...
— ... jak Panu mówił, że Pan ma się wstydzić także — a jak Panu o nim opowiem to Pan sam przyzna że jest czego płakać — nie był to ~~pospolity~~ człowiek, prosty łotr — lepszy on był ~~od~~ niejednego co go cały świat ma za świętego... a żeby nie ta filozoffja ...
— Co znowu filozofja! — A zkądżeś Ty znał tego łotra?
— Nie był on zawsze łotrem Panie! Daj Panie Boże każdemu takiej poczciwości jakiej on był wtedy gdyśmy oba służyli u ś.p. Pana Majora... Był by on ~~do~~ dzisiaj jeszcze ~~[illegible]~~ poczciwym człowiekiem i ~~był~~ by się dopracował pewnie ~~[illegible]~~ i majątku i zaszczytu i szacunku u ludzi — ale ta przeklęta filozofja ...
— Co Ty prawisz o filozofji? Przecież Wojciech Żyła filozofem nie był —

[Poczciwy człowiek często się powinien za nie płakać. (z jego zdaniem)

Y, — [illegible]

— Gdzie tam uczony Panie – Wierzył w Boga ani w porzuceniu nie wierzył —

— Ah tak! to u Ciebie uznany filozof... opowiedz że mi co o tym filozofie.

— Eh, naco to się przyda Panie darmo mówić – o nim by można całą książkę nagadać —

— Opowiedz mi o nim to ja może napiszę książkę —

— Oj to, to, niech Pan napisze — na przestrogę świata —

I przyszło Gregorowi opowiadać – a opowiadał długo bo już dobrze było po północy gdy opowiadanie zakończył głośnym płaczem tak jak je zaczął. — Ja może krócej ~~opowiem~~ i może mniej wymownie od starego ~~Gregora~~ sługi któremu słowa nie z rozwagi ale z prosto z serca płynęły. —

opowiem to zaś że charakter Wszerela lepiej od Gregora wyrozumiałem – lecz opowiem bezwzględnie

1.)

W górzystej okolicy, opodal od gościńca stał biały, drewniany dworek szlachecki. – Przed skromnym ~~[illegible]~~ niebył starym bo dość schludnie ~~[illegible]~~ i przyjemnie wyglądającym domkiem – ~~[illegible]~~ po obu stronach zasadzone liczne i gęste klomby bzu tureckiego pomiędzy którymi wydeptane były wszystkie w murawie ścieżki miejsce gonitwy dla domowego drobiu. – Za drogą srebrzył na małym wzgórku owies już dojrzewający – po lewej stronie przy drodze stały drzewka owocowe i wowodnie – dalej niedaleko kuźnia z której rozchodził się odgłos bijącego o kowadło młota. – Po prawej ciągnęły się łąki i pastwiska aż gdzie kilkaset kroków dalej zamykały widok szarzejące się chatynki wieśniane a wśród nich na małym wzgórku wznosił się drewniany

zasadzonego wzgórkami świerkami

kościółek z dzwonnicą przy boku i domkiem księdza proboszcza. — Za dworem ogródek dość starannie pielęgnowany ciągnął się aż do brzegu (małego lecz bystrego) górskiego strumyka snującego się z szelestem po kamykach które sam do swego nanosił łożyska. — ~~[illegible]~~ (na drugim brzegu) Mikadoniet krotkie paśniki wszelkiej pozbawione roślinności — dalej ~~[illegible]~~ nagle wystrzelająca góra (Skalnica ~~wznoszona~~ wznosi się aż do wierzchołka) gęstym lasem smereczanym ~~[illegible]~~ obrośnięta która cały widokrąg od południa i zachodu zakrywa (wierzchołki gór zasłaniając, skaliste). — Położenie tego dworku szlacheckiego jak widzimy nie jest bynajmniej stosownem aby je obrać za scenę jakiej wymarzonej idylli — kreśliłem nieustannie niewiadomą jak widzieć. — Z dwóch stron widok zakryty — z trzeciej łąki i pola — a z otwartej także [illegible] — okolica zaprawdę nie poetycznego w sobie nie mająca prócz może strumyka i [illegible]. —

Opisawszy okolicę — należałoby opisać sam dworek — lecz nie! — nie chcemy, czy wnudzić czytelników zanudzić tymże opisaniem bez końca. ~~[illegible]~~ Dworek łatwo ~~[illegible]~~ każdy sobie wyobrazi (i wymaluje w myśli) — ~~[illegible]~~ równie w (tej) rzeczywistości jak w powieściach wszelkie dworki polskie są stereotypowe a jeśli ~~[illegible]~~ który z powieściarzy odstąpił kiedy od owego stereotypowego opisu w chęci okazania się oryginalnym w pomysłach — tem samem odstąpił od rzeczywistości. — Obawiając się abyśmy również tego błędu nie popełnili, nie powiemy o powierzchowności ~~[illegible]~~ naszego dworku nic — prócz tego że prawdę mówiąc niema co o nim powiedzieć —

Lecz zato o mieszkańcach jego — wiele, bardzo wiele. —

[Za strumykiem ~~[illegible]~~ — który ~~[illegible]~~ omawiany nie inaczej jak strumykiem zwali — ~~[illegible]~~ tylko strumyk na głos skoń a za nim —

[Od drugiej ciągnęła się pasmem
F od strony zachodu leżący, był

W ~~[illegible]~~ elegancko a nawet z przepychem umeblowanym z pokoiku zamożnym siedzi dwoje osób na atłasowym ciemno-szafirowym Balzaku. — Pani domu — młodziutka dziewczynka bo 21szy zaledwie rok licząca a od trzech lat dopiero zamężna — o poręcz opierająca się niedbale oparta — wodzi wzrokiem czarnym pięknym okiem to po zwierciadłach w złotych ramach porozwieszanych po ~~[illegible]~~ ścianach pokoju — to zatrzyma ~~[illegible]~~ chwilkę wzrok ~~[illegible]~~ swój na ~~[illegible]~~ wielkim pejzażu wiszącym ~~[illegible]~~ [illegible] misterownie u[illegible]rskiego [to znów wzroky na szafkę przepełnioną najnowszemi romansami Dumasa, Hugona, Sue, Paul Kock i t.d. — to przebiegnie całe wojsko flakonów i flakoników, koszyków i koszyczków, szkatułek i puzdrek kryształowych i srebrnych — poustawianych rzędem na mahoniowej toalecie — i wreszcie wmodloną tą jedwabną wzruszając bialutką rączkę przygląda się do ~~[illegible]~~ różanych usteczek, które przytłumić chcą niepowściągnionego ziewania...

— Mężu! kiedyż pojedziemy do Lwowa?....

A na małym taburetku ~~[illegible]~~ u nóg jej zadumany oparty na wpół o ~~[illegible]~~ atłasowy sofy, na wzór ~~składając swą głowę na kolanach swej~~ ubóstwianej Ofelii .... Mylisz się czytelniku — nie chcemy Pani Baronowej Zarolską porównywać z Ofelią a jej męża z Hamletem — było to jej najczęstsze imię na dniu ślubu nadane.. — Imię to nam oszczędzi trochę pracy w dalszym rozwoju powieści a Tobie kochany Czytelniku ~~[illegible]~~ nieco mozołu. — Po tym imieniu domyślisz się łatwo ~~[illegible]~~ charakteru, ~~[illegible]~~ wychowania, wszelkich kaprysów i nerwów Pani Baronowej!

Nic bowiem nie ma jakie wychowanie dają te matki swym córkom które takie dają uczona. — Ofelia, tak jak ją mąż nazywał Felcia była ~~[illegible]~~ wygórowana w swych uczuciach, wybujała w swych zachceniach, przesadna (w każdym słowie co wyrzekła — jedynie i nie naturalna) słowa wyrażające się językiem salonowym — była exaltowana do najwyższego stopnia. — Była to winą Matki i wychowania — bo wrodzony przemilczeć ~~[illegible]~~ Ofelia miała serce dobre i niezepsute) (a który ją bliżej poznał byłby ~~jej~~ może nad ~~[illegible]~~ nie stworem nigdy nią nie pogardał. — ~~[illegible]~~ tego Wszelkie uczucia ~~[illegible]~~ kobiece i szlachetne wykształciła w niej ~~[illegible]~~ nie Matka przejęta zasadami francuskich romansopisarzy ten Ojciec, stary, prawy szlachcic, niegdyś żołnierz napoleoński później [illegible] — po swojej (odsunięty od mężczyzna przestała Ofelia swoich mówić o sobie. — ~~Ojciec~~ Matka ją wydała za Pana Barona, [— powaga (i napomnienia starego Ojca (co przemawiał do [illegible]) ~~[illegible]~~ wsparta w Ofelii tyle przynajmniej przywiązanego szacunku dla niego że ~~nim~~ władzy swej nad nim jeszcze nie nadużywała — a przyznać należy tyle słabości charakteru [Panu Baronowi że władza ta była nieograniczoną. — Być zresztą może że Ofelia szanowała jeszcze w węzłach korzyści z owej przewagi nad starym rozkochanym mężem, gdyż wedle rozdzielczą przypadła się ~~[illegible]~~ widzieć ~~jej~~)

[Margin: na … dworzeni … ugorze,]

[Margin: [Bogata Szczęśliwa w całym tego słowa znaczeniu, które dziś córce mieć których by według zachcenia rządzić mogła, ten]

[Margin: [i miękkości serca]

swej Matki mimo wszelkich starań ~~i tego~~ ulegając zawsze nieubłaganej woli Ojca. – Nie mówiłaś tedy do mnie –

– Mnie! przedłużmy do Lwowa! lecz wyjechał jeszcze formam interrogationis: „Mnie, kiedy pojedziemy do Lwowa?"

– Tekla! dosyć, kiedy każesz" – i potem przeszło mimo białą fraczkę a ona połaskała nie odwdzięczenia jakby ulubionego pieska srebrne włosy Pana Barona z uroczyste drugie niesłusznie i cisza przerywana tylko odgłosem całusów którymi Pan Baron obsypywał rękę Ofelii. –

– Pójdźmy się przejść do ogrodu przed obiadem. – A Pan Baron skoczył jak jeleń na nogi aby poszukać mantylki i parasolika.

– Taka scena w buduarze Pani Baronowej, co innego działo się w garderobie.

Dwie panny służące Panna Anna i Panna Tekla ożywioną prowadziły rozmowę o kaprysach i tysiącznych wymysłach Pani Baronowej. – Panna Tekla prasowała bieliznę, – Panna Anna siedziała przy oknie i cerowała pończochy. – Obie jasne blondynki – Panna Anna tłusta i czerwona i z małym sterczącym noskiem [, Panna Tekla zaś bardzo blada lecz z dwoma pięknemi oczami które się melancholijnem wyrazem.

[z wysadzanemi na wierzch gałkami oczyma

Ja już u Niej nie wytrzymam! rzekła Panna Tekla [– Tyle kaprysów – a w takiej damie ani jednej rozumnej figury: Nasz Pan to czysty wariat – Kamerdyner stary piernik – Lokaj żonaty i głupi – tfu! – Ogrodnik

Cielaczko aby się przekonać czy nie zbyt rozpalone Tyle kaprysów a ludzie gadają że ją Pani faworyzuje tfu! –

6

To samanie już ani mówić, stary i gbur jak jaki chłop! — Mówim stary, — pisarz ledwo łazi, jakiś schorowany — Diabeł go wie co w nim siedzi — tfu! czy schłata się ze starymi robiła na tym śmieciu....

— A Pan Jan? — wybąknęła Panna Anna ~~...~~ nawlekając igłę. —

Smarzymatka! — Pan Jan? kuchaz? a co mi tam kuchaz! wielka mi figura! — to partya dla mnie — A jeszcze taki ~~gbur~~ jakby nigdzie niebył tylko w swojej kuchni — ~~...~~ pisanica — tfu! — Pan Jan?

— Bardzo proszę — rzekła z przekąsem Panna Anna, Pan Jan jest człowiek bardzo grzeczny i dobrej edukacyi —

— Zapewne — jak dla kogo — dla Panny ~~Anny~~....

— A już się że nie dla Panny Tekli...

— A cóż to ja mu gorsza od Ciebie — tfu! — Dobry ma gust —

— Pewnie że dobry, kiedy mu się Twoja cytrynowa skórka nie podoba...

— Cicho siedź — bo Ci tak namaluję Twoje czerwone pyski że Ci się (Szpilka) przy gębie ...pojrzeć! — Patrzcie no! — tfu — jaka mi pyszna!...

~~Z ...obie Panny~~ Rzuciła Panna ~~Amila~~ Anna robotę i powstawszy chwyta za ~~...~~ szczotkę do zamiatania — Panna Tekla podnosi miotłę z kąta

— Pani idzie! — zawołała nagle Panna Anna rzucając szczotkę....

Panna Tekla rzuciła miotłę pod łóżko — i obie Panny zasiadły do roboty jakby nie miały czasu nic zrobić.

Drzwi sieni odezwały się istotnie głosy Państwa Baronostwa powracających z ~~...~~ przechadzki.

W sieni pokłonił się stary Kamerdyner najprzód Pani, potem Panu — wyciągając ręce do nóg Państwa —

— Jabym chciał Jaśnie Panią Hrabinę i Jaśnie Pana Hrabiego prosić o jedną łaskę. — Józef według powszechnego wówczas zwyczaju [illegible] Panów zawsze Państwem Hrabiostwem tytułował.

— Nakryj Józefie wprzódy do stołu — a potem będziesz mówił — odrzekł Pan Baron bojąc się czy mu nie przyjdzie sięgnąć do kieszeni w której dość pusto było od czasu zamęścia. —

Kamerdyner pokłonił się i pobiegł do kredensu przygotowywać talerze, półmiski, noże, grabki i łyżki. —

W kredensie siedział 13to letni chłopiec — czarnych, lśniących włosów, bladej, ściągłej twarzy, łagodnego wyrazu oczów. — Ubrany był w niebieską przecienką spencerek w paski — z metalowemi guzikami. — Przeglądał złoty ołtarzyk — książkę do modlitwy a właściwie Panny Teklii którą mu ona przedtem pozwoliła — Przyglądał się z uwagą obrazkom świętych, a szczególnie wizerunkowi Matki Bożej z płomienistem sercem przebitem mieczem. Święty Sebastyan przywiązany do drzewa i przeszyty strzałami również zwracał jego uwagę, i Dawid w koronie z wzrokiem pełnym natchnienia grający na harfie. Dziecinna wyobraźnia 13to letniego chłopca dozwalała mu upatrywać w tychże malowidłach arcydzieła; gdy się nadto patrzał nieruchomie w twarz ukrzyżowanego i zdawało mu się jakoby czasem groźnym czasem łagodnym na niego

II.

spoglądał wszakże w miarę jego uczynków. — Cóż rozumiało to dziecię pod dobremi uczynkami? — ~~Wszechwiedzącemu~~ Ojcu nigdy nie zgrzeszył Wojtuś, za wielki sobie grzech liczył jeśli którego dnia nie odmówił pacierza za swoją nieboszczkę matkę lub za którego z żyjących znanych mu osób, jeśli zapomniał się przeżegnać wstając ze snu, myjąc się, zasiadając do jedzenia — gdyż tak przepisywał Wojtkowi Ostaniec, osobno przy każdej z tych czynności polecając modlitewkę.

Rozwiązując obuwie,

Otóż ten chłopiec przewracał Obrazki świętych i składając na każdym z uszanowaniem pocałunek....

— „Wojtuś!" zawołał nań Ojciec, znany nam już kamerdyner — wchodząc do kredensu — „już Pan mi pozwolił ~~prosić~~ podać do nóg Państwa moją prośbę — po obiedzie pójdziemy do Państwa i powiem."

„Wojtuś!" zawołał radośnie

Chłopcu łzy zabłysły w ciemnem oku i w drobnych kroplach popłynęły po licu. —

— ~~[illegible]~~ „Darmo chłopcze, darmo — ~~[illegible]~~ krzyknął gniewnie Ojciec — Księdzem ty nie będziesz, nie mam za co posłać Cię do szkół — ot dobrze że Cię ksiądz Proboszcz czytać nauczył — jeszcze i z tem było kłopotu — Jak Jaśnie Państwo pozwolą będziesz kuchtą ~~[illegible]~~ naucz się gotować a jak Pan Bóg ~~[illegible]~~ da, kiedyś zostaniesz kuchmistrzem ... Ja już stary — a jak przyjdzie Panu Bogu umrzeć na mnie przyjdzie — co by z Ciebie było? he? Ja Cię chcę wykierować na ~~[illegible]~~ ludzi a ty płaczesz!" ....

Biedny Wojtuś jeszcze bardziej się rozpłakał i ~~[illegible]~~ całując ręce Ojca począł go przepraszać.

— No, no — idź do kuchni (biegnij teraz) powiedz Panu Janowi że

Państwo kazali dawać do szkoły. — Chłopiec pobiegł ocierając łzy rękawem swej sukni.

— „Znowu ~~siedzi~~ przy książce i modlitwie ~~[illegible]~~ (mruczał Kamerdyner ~~[illegible]~~ w cichym monologu, wyjmując z szafy talerze) — że go też od tej książki odgonić nie można — Kara Boska! albo przy książce albo siedzi nad ~~[illegible]~~ ~~siedzi~~ i patrzy jak woda płynie! — ~~[illegible]~~ uroiło mu się w głowie że on księdzem będzie — ha! dobreby to było, ale cóż? skończył 14 lat, ~~wczoraj~~ słyszał Panu Baronowi a niema za co syna do szkół posłać — hej! hej! Byle tylko Państwo pozwolili aby był przy kuchni!"

[Zdrowy chłopiec ciągle zamyślony jak jaki filozof. Proboszcz mówi że chłopiec ma chęć do nauki i talent —

Na pociechę czytelników powiedzieć możemy że ~~[illegible]~~ według życzenia Ojca — Wojtuś [został przy tym za kuchtę do kuchni dworskiej na naukę. —

[za wysokiem pozwoleniem Państwa Baronostwa

Nie chcemy aby się czytelnicy uważali na naszą przesadną systematyczność w rozwoju powieści i opuszczamy opis wszelkich scen [introdukcji Wojtusia do kuchni, prośb Ojca ~~[illegible]~~ obiecującego kuchmistrzowi złote góry ~~[illegible]~~ jeśli ~~[illegible]~~ jak się wyraził z syna ludzie będą. Wreszcie nudzić czytelników opisem jak się Wojtuś musiał martwić, wiele razy został potarganym za ucho przez Pana Jana ~~[illegible]~~ gdy kiedy legumina nie urosła lub amory z Panną Anną się nie wiodły. — nadmienić jednakże musimy że po trzech tygodniach [Pan Jan oświadczył Kamerdynerowi że z jego syna nic nie będzie. —

— Czemu? — zapytał Ojciec z przerażeniem.

[Przystąpił Józef, zwolennik Pana Barona który przyjęcie Wojtusia za kuchtę za wielką łaskę z swej strony uważał; opuszczamy opis

[było to właśnie na ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wieczornej schadzce [illegible] w kuchni

[Mulatak był to dawniej przyjęty mulat F – jak mówimo syn ~~[illegible]~~ wyrobnika tego którego Pana Barona, – od którego jednakże pochodzenia rozmaicie bajano.
F odwieczne Wojtusia

– Niema ani chęci ani talentu – ani ~~go [illegible]~~ się umysł do Mulatka. F

– Wszakże Ksiądz Proboszcz mówił mi niemal że ma wielki talent. –

– Ba! może do ~~[illegible]~~ Księżek ale kuchmistrzem nielada kto może zostać.

I począł dalej opowiadać utalentowany Pan Jan:

– Co mu dam do roboty to on się zagapi jak filozof i zapomni nad robotą o robocie – gdzie tam gotowanie (na jego głowę! – Obraca pieczyste na rożnie? to wychodzi (praca) i wyjmowy nad kamień, – O głupstwo: każę mu śmietankę pilnować aby nie wybiegła – a on się zagapi ~~póki~~. ~~że~~ nie odstawi póki nie wybiegnie.

A w niedzielę zamiast siedzieć w ~~pilnować~~ kuchni rano to jak pójdzie do kościoła – nie przyjdzie aż w południe kiedy czas obiad dawać! –

Ale to wszystko nic – (Co dziś rano zrobił: – okrutnie!)

Przygotowałem mąki na ~~[illegible]~~ legumine (i na kluski dla ludzi – ~~[illegible]~~ dla Państwa) nasypałem na stolnicę i odszedłem na chwilę, – przychodzę, szukam – niema – a niema – tfu! czy szczezła czy co? „Gdzie mąka?" pytam własnego syna a on się z płaczem przyznaje że dał żebrakom bo mu się żal zrobiło że Panie Pan Bóg im tylko po grajcarze! – Słyszycie wy Panie Józefie!

– Bić! – zawołał Józef

– Ja jam go już i strzepał – ale co to pomoże kiedy niema talentu.

– „Wojtek! Wojtek!" począł wołać ojciec – (Kara Boska!) niema go! [ukarzę ja go przykładnie! –

Gdzie ten chłopiec siedzi? – Czekaj chłopcze!

Gdzie był o tym czasie Wituś? – Uciekał od ludzi – znów dumał samotnie – przykro mu było słuchać ciągłego gderania Ojca, przykrzej jeszcze być ciągle potrącanym przez swego pryncypała w akademii kuchennej lub wyśmiewanym przez swego kolegę i współzawodnika w zawodzie ~~kuchennym~~ – (Smutny Mikołka który wiedząc o jego marzeniach oddającej ~~wyglądu~~ ~~oddał~~ duchowi swoim przezywał go to drugiego Arcybiskupem to Proboszczem to ze względu na jego ciągłą dumę wyższą Rabinem.)

Rzecz dziwna! (powie kto może) aby chłopiec 15letni, wychowany na wsi lubił samotne dumania – Rzecz dziwna – powtórzymy i my aby w tym wieku szalonej swobody i zabaw – Wituś, syn kamerdynera, ~~bez~~ chłopiec bez żadnego prawie wykształcenia – którego umysł zatem wykształconym być powinien spoczywać snie – aby ten chłopiec stronił od ludzi ~~aby~~ nie dla wyprawiania psot i psotnych igraszek lecz aby dumać – dumać o Bogu – i o ~~swojej~~ przyszłości, marzyć o aniołach i o niebie. – Rzecz dziwna, lecz może być jaśniejsza każdemu, który znał jego lata dziecinne i rodzaj wychowania jakie mu dał Ojciec – człowiek bez wykształcenia lecz człowiek poczciwy i praktyczny. –

Pierwszym silniejszem wrażeniem jakie odebrał Wituś w dziecinnym wieku – była to śmierć Matki. Miał wtedy lat 9. – Gdy ujrzało dziecię trupa Matki zdawało się że nań nie wielkie ten widok sprawił wrażenie: ucałował jej zimną rękę, łzy mu popłynęły po licu, położył dłoń matki na swem czole „Mamo! pobłogosław mnie“ i tak było przez dzień cały, ~~aż~~ wieczorem uspokoił się i nie płakał już. W nocy spać nie mógł a baśnie które mu niańka lub ~~[illegible]~~ zapewne sama Matka niegdyś opowiadała o umarłych i upiorach żywo stanęły w wyobraźni dziecięcia – [illegible]

9

na głos płakać – trząsł się na całem ciele – „Mama mnie woła!" powtarzał bez ustanku w gorączce. – Matkę dawno już złożono w grobie a chłopię niespodzianie chorować zaczęło i ledwo udało się lekarzowi przywrócić go do życia. – Gdy wyzdrowiał i raz pierwszy wybiegł z chaty – pozbierał w polu bławatków i ~~ru~~ maków, uwił wieniec i pobiegłszy na cmentarz złożył na grobie Matki. – Z od tej pory opuścił żadnego kwiatka (choćby to dzień umarcia matki:) aby nie uwił wieńca. – Co Matka nie żyła w wieczór powtarzał paciorek którego go nauczyła, a gdy na prośby Ojca Ksiądz Proboszcz zakrzątnął się aby go uczyć czytać z takim zapałem (pomyśl) czytał książki do modlitwy, uczył się pieśni nabożnych a później słuchania do Mszy św. że nawet Ksiądz Proboszcz niemógł ukryć swego podziwu i często mawiał Ojcu – z tego chłopca będzie coś niepospolitego – może będzie księdzem!*
Ojciec obawiając się stanowczo aby się chłopiec nie zepsuł pod względem moralności, nie pozwalał mu bawić się z synami ~~innych~~ wieśniaków – tylko z jedynym Kazusiem synem starego ekonoma który już w dworze od lat 20tu – ~~gdy i Ojcu ich~~ Dzieci te bodaj się dziwnie na ten wiek rozumiały i obaj ~~samotni~~ (bez rodzeństwa – niedużej pobożności obaj samotni) przywiązali się nad wszelki wyraz do siebie, (każdego usposobienia) ~~[illegible]~~ – lecz gdy i ten jedyny przyjaciel Wojtusia ~~umarł~~ z wszystkim jego zalem żyć przestał – Wojtuś był zupełnie samotnym. – ~~Jeśli~~ nie (siedział) siedział nad książką, nie uczył się historyi świętej – to go chyba zastano na grobie matki – nad strumykiem dumającego – zbierającego bławaty w polu.

Czasem tylko podszedł do Ksieni i wracał jeszcze posępniejszy ~~[illegible]~~ ~~niż~~ zwykle, bo sobie wymarzył ~~[illegible]~~ gdy patrzał w ~~[illegible]~~ stronę wchodzącą na tęsknie, gdy ~~[illegible]~~ przysłuchiwał się słuchaniu

Przez całe lato

* a gdy X Proboszcz Wojtusiowi raz tę myśl podsunął to już od tego fanatyka się nie od tego postanowienia odwrócić nie udało, i wszelkie jego kształcenie i marzenia z tą myślą się wiązały. – Wreszcie tego stanu przyjęły (sic) wraz jeszcze bardziej ~~[illegible]~~ niż przez X. Proboszcz, ostatecznie przygotowaniu bez wykształcenia zwłaszcza w czasie wzrostu później dziecięcia, później zwłaszcza z wszystkim zapałem i zapałem – nieograniczoną miłością wiary i żądzą poświęcenia się Bogu.

Ta może (z) pewnych względów ~~[illegible]~~ kamerdynerka – arystokratycznej damy

Tak sprawiał nabożnych pieśni, nie wypatrzymał się wobrazki świętych

głośni że podobne płomienie – bez daleko większe bucha[ją]
w piekle, że podobnie skwierczą nieszczęśliwe duszyczki. –

Czasem wybiegł aż na szczyt Skalnicy a gdy
ujrzał z tamtąd sine góry wszystkie się jedna za drugą
[illegible] – daleko na Południe; – a na Zachód i na Wschód
w dolinach leżące wioski – migocące się w płomieniach
słońca krzyże więżyczek kościołków – a na widok łany
i łany jak oko zasięgało i strumyki co je przerzynały
srebrnemi wstęgami – gdy usłyszał z dołu szum ~~strumyka~~ szybkiego
a od chwili do chwili z powiewem wiatru dolatało go
kowadlenie z kuźni – ... ~~[illegible]~~ białe chmurki krążyły
nad jego głową jak aniołki z tabernakulum skrzydlatemi –
– to mu wtedy tak było błogo, tak mu dusza
rosła i rozpływała się w tym widoku że rzucił wyrzygał
do świata – i pełnemi piersiami pił to świeże górskie
powietrze – i ~~sprawał~~ śpiewał [~~[illegible]~~] – a twarz mu
okrywał rumieniec a oko ~~[illegible]~~ promieniało jak by
nie z tej ziemi dziecku. – [

[Śpiewał nabożne piosnki
– i nie mógł bo
zdało mu się że te
pieśni które umiał
nie wyrażą tego co
czuje

[Wtem w pogodny i gwiaździsty
Nocą często godziny spoglądał
w Błękit ciemny zasiany gwiazdami
– a taki blask mu wtedy strzelał
z oczu że brzozy pieśnią wiatr
z myślą nieprzymuszoną by odwagi
przerwać mu tej chwili bożego
zachwycenia. –

Minął dla niego czas swobody od chwili gdy został
oddanym do ~~[illegible]~~ Kuźni na naukę ... Wszystko
widzenie do dziś był bladszym i smutniejszym, coraz
i ciągle głębsza zaduma wybijała się na twarzy jego
[Teraz zastaliśmy go ~~[illegible]~~ dumającego nad swem
nad brzegiem strumyka
nieszczęściem . [–

„Jam chciał zostać sługą Bożym – (: tak myślał :)
a Ojciec mnie oddał do Kuźni ! – Ja marzyłem że będę mówił
do ludzi z ambony „Kochaj bliźniego Twego jak siebie samego"
a Bóg mnie ukarał za moje grzechy i teraz muszę gotować
przymioty dla Pana a zbroję głodni i wyrzekali u drzwi
stoją i płaczą a ja płaczę takie A dać mi ~~[illegible]~~ nie wolno ! "

[Stał pod brzozą
płaczącą nachyloną
nad ~~[illegible]~~ wodą – a drzewa
jej warkocze spływały
mu na pierś

Biały obłoczek leciał nad jego głową ku zachodzącemu słońcu, porysował się rozsnuwał w długich wstęgach — „Oh, zawołał płaczący — gdyby tak Anioł zleciał z nieba i wyciągnął ku mnie ramiona i wziął mnie z sobą tam do Słońca – do Boga – tobym się pożegnał przed Mamą, ucałowałbym się przed Kostusiem. Biedny Kostuś! jakiż on musi być teraz szczęśliwy — jakie tam to wszystko zdaje się być ładne – kiedy tam blasku tyle ......"

i spoglądał na czerwony zachód słońca — wieczorna zorza zwierciadliła się w przejrzystych falach strumyka. [on zawołał: „Słońce zachodzi i znowu wschodzi – dzień mija za dniem – bez końca – dla ludzi zawsze tak piękne słońce a mnie tak smutno w duszy!"] — „Spoglądam wieczór na strumyk jak płynie fala za falą — wpatruję się często długo na nasz zegar ścienny jak minuta za minutą ulata — spiesznie czas przemija na ludzkim zegarze ale ten strumyk to zegar co go Bóg sam nakręcił – jakie bystro przepływają te fale – płyną i nie wracają już nigdy, nigdy!.. Zegar jak co dnia go nie nakręcić – stanie — ale ten zegar Boski wiecznie bez końca ~~wiecznie – choćby~~ ~~ludzie czasu nie mierzyli~~ ~~nie było zegarów ludzkich, stałby~~ ~~czas by ulatał i bez nich~~ — wiecznie aż do sądnego dnia. Wszystko przemija jak ta woda przepływa i nie wraca — ale ten strumień bez końca płynąć będzie, — ja się żalę i płaczę na mój los, na moje osierocenie — a to przepłynie — i może niekiedy tylko lepiej – może jak zegar staje gdy go zastanowię — może tak Bóg zastanowi moje życie! [Może być szczęśliwszym a] Oj Boże o Boże nie daj mi długo cierpieć!!" —

porwał uschnięte i zwiędłe listki płaczącej brzozy wpadły do strumienia i płynęły porwane bystrym nurtem; spojrzał na nie długo z żalem: „Gdzie Pan Bóg przeznaczy tam ostatnich popłynie za swym losem jak te listki za wodą." — i zakrył dłońmi twarz swoją i począł rzewnie płakać ......

— Czego Ty płaczesz chłopcze? — usłyszał wzruszający tobie(?) głos za sobą — obejrzał się; Pani Baronowa stała za nim i trzęsła ramię jego parasolikiem aby go obudzić z zadumy.

~~Wyjść chciał z~~ Pani Baronowa przechadzała się samotnie w ogrodzie oddając się romantycznym marzeniom, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ usłyszawszy rzewny płacz chłopca poszła nad strumyk aby go zapytać o przyczynę, to nieszczęśliwe płaczące dziecię (z zakrytą dłońmi twarzą) nad strumykiem [~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ — był to obraz ~~[illegible]~~ romantyczny a więc dla niej przyciągający. —

[pod cieniem brzozy płaczącej o zachodzie słońca]

Wojtuś ujrzawszy Panią Baronową za sobą, chciał zrazu uciekać ale jej łagodny uśmiech i litościwe spojrzenie dodało mu odwagi lecz nie wiedział jak ma do niej mówić;

— Czyś Ty kuchta? syn Józefa? zapytała znowu Pani Baronowa w której urok ~~[illegible]~~ romantyczności zaczął znikać gdy wymówiła słowa „kuchta“

— Tak jest ~~[illegible]~~ Jaśnie Pani! to ja, kuchta! ~~[illegible]~~ odrzekł chłopiec zalewający się łzami — słowo kuchta wymówił z pewnym rodzajem pogardy, — co znowu urok Pani Baronowej ~~[illegible]~~ powiększyło.

— Czegoż płaczesz? zapytała łaskawie —

Wojtuś nie chciał wyjawić przyczyny lecz gdy Pani Baronowa nalegać poczęła rzekł:

— Jaśnie Pani! Ksiądz Proboszcz zawsze mnie uczył, ~~[illegible]~~ on mi sam ~~[illegible]~~ raz powiedział że jak się będę dobrze uczył to zostanę księdzem — ~~jam~~ ja tak czuję(?) że będę damy(?) Rogowskiego(?)“... i zalał się łzami

— A Twój Ojciec prosił nas ~~[illegible]~~ aby Cię przyjęto za kuchtę i zostałeś kuchtą ~~[illegible]~~ rzekła Pani Baronowa uśmiechając się — Pauvre garçon! —

— Tak jest Jaśnie Pani — ja chciałem zostać księdzem i ludzi do cnoty i zbawienia prowadzić — a muszę ~~[illegible]~~ marchew

III.

skrobać i pieczypkę obracać..... Ojciec nie ma pieniędzy aby mnie do szkoły posłać –" 11

~~[illegible]~~ Chwalebne ~~[illegible]~~ przedsięwzięcie powstało w myśli Pani Baronowej...

– A czemuż Ty tu siedzisz nad strumieniem biedne dziecię?

– Bo ludzie by się ze mnie śmieli gdybym przy nich płakał...

– „Więc od nich uciekasz?" – ~~[illegible]~~ dokończyła P. Baronowa. – Jakie miłe dziecię! pomyślała zachwycona romantycznem usposobieniem Wojtusia. –

– Tak jest Jaśnie Pani – ciągnął dalej ośmielony – uciekam od ludzi bo nikt się nademną nie czuli ~~tylko pan~~ nikt się nie lituje tylko pierwsza Jaśnie Pani jak Anioł z nieba...

– „A czemuż tu się chowasz przed ludźmi i siedzisz pod tą brzózką nad strumykiem? –

– „Jaśnie Pani! jak się ~~[illegible]~~ patrzę w słońce (jak ono pięknie) zachodzi i na ten strumyk co do morza płynie to mi się tak zdaje bo sobie myślę że tak życie człowieka upłynie i kiedyś odpłynie człowiek do nieba. Gdzie sami tacy Aniołowie jak Jaśnie Pani." ~~[illegible]~~ Zarumienił się Wojtuś bo raz pierwszy w życiu ~~wy~~mówił to co czuł i wyrobił mniemanie [Córeczka Pani Baronowej do siebie][?] u [?] P.

– Charmant garçon! – il sera poète un jour – przytakła ~~Pani Baronowa~~ po tyrady Wojtusia. – „To perła w śmiecie rzucona!" pomyślała.

Wtem nadszedł Pan Baron który się już był stęsknił za swoją Ofelją. – Pani Baronowa wyjawiła mu swe życzenie. Pan Baron posłuszny mąż ~~[illegible]~~ aby się żonie przypodobać przystał natychmiast na jej ~~[illegible]~~ projekt, skoro wiedział dobrze że oddanie Wojtusia do szkół nowe pociągnie za sobą ~~[illegible]~~ koszta. –

Stary Kamerdyner gdy się dowiedział o łasce jaka na jego syna spadła niespodziewanie, zapomniał o karze którą miał wymierzyć na Wojtusia.

Poczyniono przygotowania do wyprawienia Wojtusia a za trzy tygodnie miał go ~~[illegible]~~ ksiądz Dobrzecki[?] odwieść do

obozowego miasta, oddać na stancyę do znajomego mu księdza aby wyszedł do szkół normalnych.

A Wojtuś? Wojtuś gdy się ~~dowiedział~~ w owej scenie nad strumykiem dowiedział o swem szczęściu, ~~[illegible]~~ rzucił się Pani Starościnej do nóg i niemógł się utulić od płaczu. ~~[illegible]~~ Przez noc całą spać nie mógł, ~~[illegible]~~ upadł na kolana i gorącemi modłami dziękował Bogu za dobrodziejstwo. Na drugi dzień pobiegł do Księdza, rzucił się do nóg Proboszcza i dziękował mu za trudy które miał z nim ucząc go czytać — ~~potem wybiegł na [illegible] Skalnice~~ całował Dzia po rękach i śmiał się i płakał — i szukał [wszystkich a ~~nawet~~] swego nieprzyjaciela Michałka. — Biegał po polach i łąkach jakby chciał przed odjazdem każdy tych rodzinnych wioski pożegnać, to znów ~~wybiegł [illegible]~~ wybiegł na wierzchołek [szczyt] Skalnicy i spoglądał radośnie na około [~~jak gdyby wszystko~~ po górach i lasach, po strumykach, łąkach i wioskach] i zdało mu się że wszystko wraz z nim się cieszy i raduje..... wtem spojrzał wzrok jego na cmentarzu .... tam grób jego matki — tam grób Kostusia — i znowu błysnęły łzy w jego oku i począł nazbierać dziś, dziś kwiatów i uwić z nich wieńce na ~~[illegible]~~ ukochane groby aby się na czas długi [~~długi~~ kto wie czy nie na zawsze] z swojego długu wypłacić. —

2.)

Wojtuś był w szkołach – Wojtuś był szczęśliwym! – Cały dzień trawił na [illegible] i modlitwie a wieczór dumał nad swoim przyszłym szczęściem gdy zostanie [illegible] kapłanem poważanym od wszystkich, gdy będzie ~~ludziom~~ [illegible] ludzi przemawiać w imieniu Najwyższego, gdy będzie ludziom wykładać słowo Boże i zagrzewać ich do cnoty i wieść do zbawienia. [illegible] Tą myślą ożywiony ochoczo brał się do pracy i wszelkie przewalczał trudy choć mu się częstokroć wydało że naukowe które mu wykładają nie są potrzebne do [illegible] jego zawodu. – Bolał niezmiernie chłopczyna gdy miał zadaną lekcję Arytmetyki lub Gramatyki – [illegible] Tokiż często wrodzona niechęć do tych przedmiotów sprawiała iż mimo dotychczasowego ślęczenia [nie umiał [illegible] przedmiotów – profesorowie sądzili że nie ma zdolności – tylko katecheta [illegible] człowiek prawy i rozsądny pedagog choć nieco fanatyk religijny – którego Wojtuś wkrótce został ulubieńcem – inne o nim powziął mniemanie. – Historyę biblijną [illegible] z całej klasy ~~szkoły~~ Wojtuś zawsze umiał najlepiej a gdy czasem po czwartej dniu karaniu Ks. Katecheta karał [illegible] niemiłosiernie zdaje sobie sprawę z tego co czynił [illegible] żaden z nich ust nie umiał otworzyć, ks. Katecheta nawiasem ~~rzekł~~ wtedy „może nam co powie o tem Wojciech Żyła" a Wojtuś powiedział tak jasno z takim zajęciem opowiadał o [illegible] karania [illegible] i tak się na zapytanie ~~odpowiedział~~ i pięknie wyrażał że Ks. Katecheta nie mógł się dość wydziwić temu cudownemu dziecku i uściskał i ubłogosławił Wojciecha. – Wojtuś często chodził do Księdza Katechety ~~aby~~ [illegible] proszącego wytłumaczenia jakiej wątpliwości (z dziecinnym zaufaniem i pokorą) a każdy żal swój do niego zanosił. – * Z Kolegami szczególnie się nie udzielał – w szkole drwili z jego ~~[illegible]~~ częstego zamyślenia, jego pokory i cierpliwości (rzadko kiedy [illegible]) namawiali go do wspólnej zabawy [to od przyzwyczajony do samotności uciekał od nich jakby od pokusy i czuł w tym jakąś dumę że do żadnej z ich zabaw i psot nie należał,

nad Kirilla, raz w. go Kolegy „Alterwalem" przezwali

*Ks. Katecheta często mu opowiadał żywoty świętych lub ustępy z Dobrego i umył go kochać bliźniego

[gdy i [illegible] był od nich o wiele starszy wiekiem, a gdy który wyrwał go aby pośród grać np. w piłkę

nic mówiono się mu nawet gdy ostro o wypłatanie jakiego figla
a gdy kilka razy prosta przed jej dokonaniem wstrzymał [?] odkryta
przez profesora, pogróżkę padło na Wojtusia o zdradę i szpiegostwo
i najmniejszej przez kolegów zbitym został. — Płakał i wiedział
cierpliwie. — Zdarzyło się później że jakaś psota
wyrządzona kolegi gdy jednogłośnie przed Profesorem złożyli jakoby on był sprawcą
Wojtuś dobrze wiedział kto był winien lecz wstydził się wydać i ostatecznie
skazany i rozpłakawszy się, milczący przyjął [?] na siebie. — Kolegom się zdało
że on to czynił z obawy aby przez nich gorzej zbitym nie został
na dziedzińcu szkolnym — i dwili z biednego męczennika. — Ksiądz
Katecheta dowiedziawszy się o prawie — wezwał zaraz zagniewany
Wojtusia aż ten się wreszcie przyznał że on sprawcą nie był
i że wszystko się przyznał dlatego aby ochronić kolegów od kary. — Katecheta
uściskał go z rozrzewnieniem lecz napominał że nawet dla dobrego czynu
kłamać się nie godzi bo kłamstwo jest grzechem — a grzeszyć w dobrej
złej nie wolno — i Bóg za to karać będzie na tamtym świecie. — Wojtuś
nie mógł pojąć aby Bóg za czyn taki mógł karać — i długo
rozmyślał nad tem i płakał przy modlitwie i wyrzucał sobie że temu
nie wierzy i przy spowiedzi za ten grzech żałował a przecież uwierzyć
nie mógł. —

Była to pierwsza jego wątpliwość w wierze.
Dotąd wierzył ślepo lecz teraz począł się czasem zastanawiać
nad zasadami wiary. — Obudziła w nim podobne myśli jeszcze
jedna okoliczność. — Ksiądz Ksawery u którego Wojtuś był na stancji
był ostatnikiem najgorszych obyczajów do tego stopnia że
Wojtuś który o jego najgorszych wybrykach nie wiedział nie mając
w swym wieku jeszcze najmniejszego o nich wyobrażenia — oburzał się niraz
widząc gdy takiego sługę ujrzał podpitego i pełnego
niedorzeczności. — „I ten ostatnik — myślał — czyż to jest kapłanem
wybranym Bogu? to sługa Boży który idzie do konfesjonału pijany
i w takim stanie ma być jako spowiednik Zastępcą Boga P. B.[?] i wszystkie
dusze niedorzeczne przed tem nigdy, [illegible] go uwielbiać [?].
Stanął w jego wyobraźni nieco wroku [?] [illegible] lecz
mimo tego obiecywał sobie że on (przykładnym będzie kapłanem,
to dopiero prawdziwie)

Kilka razy

„Panie Profesor!
to wszystko przestrzelał!
to on taki truś,
w szkole cicho siedzi jak
mruk a byli strzelać"
jako wyjdzie zadrwi to

Ciągle [illegible] napomnień
księdza

A na drugi raz ten sam
grzech popełnił

Ton przemawiający kiedyś do ludu z kazalnicy

Sprawił zaniedbujący zewnętrzną formę, później i rzecz samą. –

Ukryte to było wtedy wtłaszczone zakrzyczały wewnątrz przemocą.

Prawdziwym sługą Bożym i namiestnikiem Chrystusa – i zdało mu się że znowu wskrzesi pobożność chrześcian o których pierwszych tyle mu naopowiadał X. Katecheta. –

Każdy prawie młodzieniec myślący podobnej przebywa fazę złudzenia w wierze – jak Wojtek. – Nauki nie pozwalały mu zaraz oddawać się tak gorliwie pobożnemu rozmyślaniu i tyle czasu poświęcać modlitwie co dawniej; – przykro mu to było z początku i niezręcznie bo przywykł dzieckiem wszelkie uczucia i cierpienia swoje w modlitwie wywnętrzać i skarżyć – lecz z czasem przyzwyczaił się do tego i nawet przestał czuć tej potrzeby. – Pieśni nabożnych zrazu wolno mu było już śpiewać jak to na wsi po całych godzinach czynił – gdyż między klawery w którego był na stancji nie lubił (jak się wyrażał) „dziecinnego piszczenia". – Przez długi czas częstokroć zapominał się i począł nucić początek jakiej pieśni nabożnej – później byłby może i nutę zapomniał gdyby nie śpiewał tych pieśni na swych przechadzkach wieczornych w Mańkę lub sam sobie. –

Daleko uciekał w tych przechadzkach Wojtek jak najdalej od miasta – byle mu zniknąć z oczu, – tęsknił za swoją rodzinną wioską – za strumykiem i skałami, za szumiącym lasem, za ubożuchnym schludnym kościółkiem i za grobem matki, – a te szeregi kamienic, ten gwar miejski, te tysiące snujących się po ulicach nieznanych mu twarzy – stały mu się nieznośnemi. – Kościoły miejskie bogate a puste – z wyjątkiem Kleparskiego i kamienną posadzką napełniały jego duszę podziwem lecz nie wzbudzały w niej pobożności; – a w cud w nich tego Boga przed którym zginał kolana w cichym drewnianym kościółku pośród wiejskich chatek – wstąpił na wzgórze i spoglądał ku rodzinnej stronie, ku tej drogiej wioseczce – ale ona daleko o mil kilkanaście, a ciemne góry i zdala zakrywają mu widok. – Zachodziło słońce – wszystko do koła w różowym tonęło blasku – wieczorna zorza odbijała się w kryształe pobliskiego jeziora. – Zanucił Wojtek pieśń którą często śpiewał na wsi patrząc na wschód słońca – „Kiedy ranne wstają zorze" – lecz zamilkł zasępiony

Spostrzegłszy się że ta pieśń do wczoraj nie stosuje. Wpadł
~~[illegible]~~ myśl żeby można ją [poranna] stosownie zmienić i zaśpiewał:

„Gdy wieczorne świecą zorze
Tobie ziemia — Tobie morze
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon Boże wielki!
A człowiek który bez miary
Obsypany Twemi dary
Coś go stworzył i ocalił —
A czemuż by Cię nie chwalił?

Chciał dalej śpiewać znaną pieśń lecz znowu mu nie stosowała się do tej chwili — Przechodzili ludzie drogą koło niego lecz nikt [zmilkł] ~~nie~~ obrócił wzroku ku zachodzącemu słońcu, nikt nie zamilkł pieśnią oddając się Stwórcy [— ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ bez wiedzy uleciała z ust jego strofa ~~[illegible]~~ [illegible]:

Ludzie Ciebie niepojęli
Przecz nikt się nie weseli
Choć tak piękna ziemia — morze
I to niebo, i te zorze!

Myśl w tych pochyłych słowach wyrażona głęboko wzrusza [illegible] [poetyczna] Choć ~~Za~~ nam ~~[illegible]~~ czemy czytali hymny do Boga pierwszych poetów — pospolity się wydawał mu
·Wtedy zdziwił się sam pierwszym utworem swoim poetycznym — Pamięć bez zamysłu śpiewał dalej:

Daj Wszechmocny, Niepojęty,
Bym Cię pojął Boże święty;
Bym Cię pojął i zrozumiał
Bym się modlić do Cię umiał.
Wtedy będę Ciebie prosił
Bym Twe imię w świecie głosił,
Bym ~~[illegible]~~ wszystko kochał Ciebie
A bliźniego tak jak siebie.

Powtórzył wszystkie ostatnie wiersze pieśni: „A człowiek... czemuż by Cię nie chwalił?”

Zamilkł Stefanyna a ostatnie słowa tej już wczesnej jego utworu pieśni wprowadziły go w zadumę:

„Czemu (myślał) nie mamy tylko tak jak siebie samych kochać bliźnich – czemu nie bardziej od siebie? – Jabym dla tego co go kocham nawet moje zbawienie poświęcił – Gdyby mi kazał „zrób jaki grzech śmiertelny albo zgiń sam, to ja tego innego do tego przyjmuję" – to jabym zgrzeszył i byłbym na wieki nieszczęśliwym ale tamten byłby poszedł przezemnie do nieba. – Gdybym mógł wszystkich szatanów wyjednać zbawienie przez to abym poszedł do piekła to bym to zrobił!" I poszedł Wojtuś do Księdza Katechety i wyjawił mu swoje myśli – i niemógł uspokoić umu swego gdy mu Ksiądz je zganił i nazwał grzesznemi. – Dumał długo – i chciał uwierzyć i niemógł. – „Nieszczęśliwi szatani! (mówił cicho) czemu tylko zgrzeszyli i na wieki cierpieć muszą – oh, gdyby Pan Bóg chciał mógłby im przebaczyć choć niezasłużenie swego grzechu – i mógłby ich uczynić szczęśliwemi –. a Pan Bóg tego niechce! O jabym tak uczynił!..." I przeleciał się w takiej myśli i żałował za grzechy, i modlił się – to za siebie, to za nieboszczkę Matkę, (za Kortunię,) to za bliźnich, przeważnie za Ojca i za swą Dobrodziejkę, Panią Starościnę – a w jego oczach w X^dze Katechecie i jest Anioł jakiś ulatywał. –

Po świętach zimy przyjechał do Pani Kamerdyner aby odwiedzić swego syna – dowiedziawszy się od X. Katechety że Wojtuś się dobrze uczy, uściskał go z radości, i sprawił mu ciepły kożuch na zimę i zapowiadał aby na Dzień Nowego Roku napisał list z powinszowaniem dla swej Dobrodziejki, a jeśli pięknie potrafi aby zrobił wiernie. – Wojtuś następujące ułożył powinszowanie:

Tak aby [illegible]

[illegible]

Skosztuje się Wojtuś co wymyśli i

Jaśnie Wielmożna Pani Hrabino!

Już tak dał Pan Bóg że chwile płyną
Jedna za drugą jak bystra woda,
Wciąż się zmienia słota i pogoda,
Ludziom szczęście się z utrapieniem zmienia —
Serce boli z zmiany jak z cierpienia. —
Ale w tym roku co dziś nastaje
Już niech Pan Bóg wciąż pogodę daje
Niech wciąż słonko naszej Pani świeci,
Niech Anioł Stróż od Niej nie odleci
Niech koło Niej lata wciąż dokoła,
Niech Ją tak strzeże jak czujność Anioła,
Niech Ją strzeże od wszystkiego złego:
W dzień niech pilnuje włosa każdego,
W noc swe skrzydło kładzie pod Jej głowę —
Swe skrzydło białe jak łabędziowe,
Niech Jej się w nocy tak miło przyśni
Że Ją Maryja do serca ciśnie,
Że w skrzydełka anielskie porosła
Że się jak gołąb do nieba wzniosła,
Że jak nad Świętą nad nią gwiazdka świeci,
Że na krosna zbiera z tęczy nici,
Że do swych łaszków gwiazdeczki wszywa,
Nasza Pani dobra, litościwa.

Kto ubogim szklankę wody poda
To całe morze Pan Bóg mu odda;
Jaśnie Pani dla mnie w szkole płaci

/.

IV. 15

To Ją Pan Bóg stokrotnie wzbogaci,
Korona niebieska Ją po śmierci czeka
Bo uszczęśliwiła biednego człowieka
Na ziemi ja się za Nią wciąż modlę do Boga
A w Niebie się tam modli moja matka droga.
: ~~[illegible]~~ Ścielę się do stóp każdej godziny
Jaśnie Wielmożnej Pani Hrabiny
~~[illegible]~~ Paskiewskiej Dobrodziejki naszej
Najniższy sługa, uczeń pierwszej klasy
Wojciech Żyta

Pomimo usterek nieznajomości formy i wierszowania, pomimo dziecinnych i prostaczych myśli któż nie przyzna tym wierszom (14letniego chłopca) pewnej wartości poetycznej.
Poznała się na niej Pani Baronowa i ciągle powtarzała „Charmant garçon! il sera poëte un jour!“

Wojtuś zasmakowawszy raz słodyczy marzenia coraz ~~[illegible]~~ bardziej oddawał się dumaniu co raz mniej czasu święcił modlitwie i nauce — tej nauce co wszystko rozważała mu z jego światem wymarzonym i wyprzeznaczonym w duszy lecz wręcz mu się sprzeciwiała. Marzenie jest to czarne opium, gdy ktoś się raz tej czary upoi — daremnie, już go od niej nie oderwiesz aż w najsłodszem marzeniu skona: —

Zaiste ~~[illegible]~~ cudne to są marzenia młodzieńcza w pierwszym swym rozbłysku — jako ~~[illegible]~~ majowy ~~[illegible]~~ poranek ~~[illegible]~~ dziecięcy gdy który świeżo myśli wiosenne kwitną ~~kwiatami~~ barwistemi uroczemi —

W jeśli dusza młoda rozkwitająca się w
wonne kwiaty marzeń – odczuwała już co w
życiu i o jakie czarodziejskie barwy nam wtedy
barwy tęczy nadziei co nam pobudzą daleki
widnokrąg branego. – Jaśniał ten świetlisty
meteor naszemu poecie. . . . . a marzenie o swej
wyrośnej przyszłości i powołaniu przeszkadzały mu
często w dążeniu do niej – w nauce. – Zagniewajże
się wiara do nauki wspomnieniem na cel ostateczny
– miasto się uczyć przemarzył całe godziny
nad książką. – Później gdy przez umiejętności
i wyobraźni i myśli się rozwijać
poczęła [illegible] poczęły mu błędne
barwy któremi swe powołanie niegdyś wyznaczał
w duszy. – Wszystko począł ważyć, a dość

[a spostrzeżenia z codziennego życia dziecięce uroki wywierały zwolna

w młodym jego wieku siła wiary szczera wszelkie wątpliwości
przytłumiała, fantazya
da wierna rozmarzona przed tą powagą cnoto mimo jego
woli pytanie jakie sam nasuwała. – I myślał Wszystko
i przytłumiał całą siłą rozumowo swe grzeszne myśli" i mniej
marzył – ale coraz mniej o swej przyszłości – coraz
bardziej stroił swe marzenia w kwiaty które zbierał
wśród pięknej tutejszej natury lub wywiał z
w duszy pamiątkami kilku lat dziecinnych w rodzinnej
wsi spędzonych. –

Jakkolwiek tedy powiedzieli marzenia
że przeszkadzały mu w nauce – lecz
pomimo że tylko Katechizm i historyę biblijną
umiał dobrze – przeszedł przez egzamin na
wstawienie się swego protektora, X. Dra Jarka. –

+ wszystko w religijnej szatę

[Lecz czem wyraźniej silniej
czuł poezyę w całym świecie*
czem bardziej
tym uzmagało się w nim to
czucie że
że kwiaty wszystko i wszystko
na skale wiary ale i po
większej części [illegible]
czem bardziej uczuwał że poezya
dla nas ziemian nie w niebie
jedynie mieszka ale i na ziemi
– tem silniej opuszczał swe dawne
marzenia, tem mniej były myśli
jego wiązane do obrazów religijnych
które wprzódy tak kochał, jedynie
z tej przyczyny że tylko w nich
umiał czuć poezyę co była
mu niezbędnem do życia źródłem

Ponieważ posiadłość P^stwa^ Dzwonkowa zbyt
była odległą, przepędził Wojtuś [redacted] czas wakacyj
u swej Ciotki [redacted] gospodyni domu P^stwa^ F...
o dzień drogi od miasta [redacted] — Wieś
P^stwa^ F. była z wielu miar podobną do rodzinnej
wioski Wojtusia. — Tu mógł używać jego ~~tajać~~ do woli. — Odtąd czas ten przepędzał — a wiejskie
powietrze i większa swoboda nowego pięknego życia
— Z bladego, zadumanego dziecka Wojtuś [redacted]
wyrastał na świeżego pięknego młodzieńca — Nie jeden w lubym
ustroniu napisał wierszyk, co do wiersza pod względem formy
nie wiele postąpił [myśli coraz jaśniejsze świetniejsze
poezyi. — Oto jeden z tych wierszy;

[nie mając w tym zawodzie przewodnika ni z książki wzorów

Ze wschodem przy kościółku rozkwita się róża,
Jak róża tak zakwita nad kościółkiem zorza.
Ze wschodem tam w kościółku dzwoni dźwięcznie dzwonek,
Jak dzwonek, nad kościółkiem zadzwonił skowronek.
Do nieba wciąż z kościółka kadzidła wzlatają,
W powietrzu się zapachy z róży rozpierzają.
Z kościółka wciąż do Boga pieśń się wznosi święta,
Nad kościółkiem wciąż Bogu śpiewają ptaszęta.
Do róży krople rosy spływają ze wschodem
Gdy się zbudzę by spłynąć po mym licu młodem;
A gdy pieśni zaśpiewam — to smutne kościelne
A ptaszęta śpiewają wciąż pieśni weselne.

/.

Na róży krople rosy słońce wnet wysuszy,
Może też wiatr niedobry – więc smutno mi w duszy.
Kiedy już wieczorna całkiem zajdzie zorza
To i dzwonek uwiędnie, – listki zgubi róża,
Czemuż dusza nie uschnie – jak róża usycha?
Czemuż płacz mój nie ucichnie – jak dzwonek ucicha?
I więc myślę – czy słońce zachodzi czy wstaje,
Co też to Bogu miłe, różne myśli zdaje?
Czy kiedy dziękując dzwoni nasz kościelny dzwonek,
Czy kiedy nad źródłem zadzwoni skowronek?
Czy gdy w naszym kościółku kadzidła wylatają,
Czy gdy róży zapachy się rozprzestrzeniają?
Czy kiedy ja zaczynę smutną pieśń kościelną,
Czy kiedy pieją ptaszki swoją pieśń weselną?
Czy gdy się na róży krople rosy świecą,
Czy gdy z oczu mi ciągle łzy płyną na lico?
I dzwonek bez grzechu, i róża nie grzeszna,
I bez grzechu poranna pieśń ptaszków niewinna,
A ja grzeszę więc myślą choć rzadko czynami!
– Boże, ochroń mnie, ochroń przed memi myślami!

Po skończonych wakacyjach Wojtuś powrócił do miasta – do szkół. – Jakaż go wieść tam czekała! X. Xawery znajdował się z odebranym listem od pisarza ~~Dla~~ Baronostwa, pisany z rozkazu Pani Baronowej ~~w~~ którym Wojtusia ~~[illegible]~~ za jego dobroć ...

przyrzekła poczciwa pani nadal do ostatka opiekować się nim ~~[illegible]~~ jako sierotą ~~pod wychowaniem~~ stryja — gdyż jego Ojciec po krótkiej chorobie żyć przestał! — Łatwo sobie wyobrazić rozpacz Wojtusia — zatrzymalibyśmy się może zbyt długo przy opisie rozwoju umysłu jego aby czytelnik nie miał dokładnego sobie utworzyć wyobrażenia o głębokim smutku sieroty co umiał teraz to uczuć że jest sierotą — że sam jeden na świecie — i że gdy się nim kto opiekuje to już nie po ojcowsku ale z rodzicielskiego uczucia i powinności ale z łaski — Jednakże Panią Baronową uważał Wojtuś jakby zadziwiającą jakąś istotę na pocieszenie ludzi zesłaną z nieba — kochał ją dziecinną miłością jak matkę, każde wspomnienie ~~[illegible]~~ o niej było mu równie świętem jak myśl o nieboszczce Matce. — Wiersze które w tym czasie pisał tchnęły sierocym smutkiem i żałobą:

[illegible] [illegible] / a przypominają się / nawet [illegible] [illegible]

~~[illegible]~~ Jam już sierotą! — bez ojca, bez Matki,
Żebrak bez Nieba i bez własnej chatki —
Jam już sierotą! w całym świecie — wszędzie
Sierotą — ~~kto~~ się z ludzi cieszyć będzie
~~[illegible]~~
Gdy będę wesoły, ~~[illegible]~~ kto będzie dbał o to
By mnie w smutku pocieszył? — Jam sierotą!

W każdym prawie wierszyku jest wzmianka o Pani Baronowej jako o Aniele —

Tyś lepsza od Anioła! bo Anioł nie zlata
Choć widzi płacze ludzkie, z niebieskiego świata
A ty sama się troszczysz o szczęście sieroty! —

Od czasu do czasu poczciwa ona Pani Baronowa na ręce Xdza Ksawerego jakąś sumkę pieniężną przysyłała nadto na jego

potrzeby wystarczała. – Wszystko oczytał jak mógł i co mniejsze zdołał kupić sobie jaką przystępną książkę ~~jak~~ np. „Żywot Szczęsnowej" „Henryk Eichenfels" – „Robinson Kruzoe" itp. a wreszcie „Stolica Dawidowa" (tłumaczenia Ks. Karpińskiego który go zachwycił nad wszelkie wyrazy; ~~[illegible]~~ częste używanie tego poety smutkowego – o podobny go usprawił nastrój duszy – toż zarówno uczuciowe jak i zewnętrzny formy swych piosnek na nim wykształcał. – Posiadał także wszystko i „Złoty Ołtarzyk" książkę do modlitwy którą ~~z~~ modlitwy jednakże już mu nie wydawały się tak pięknemi jak niegdyś gdy jeszcze go zasilały nauki w kredensie przeczącego ~~[illegible]~~ ~~ten~~ „przewodnik do nieba". –

Jednostajnie upływały ~~[illegible]~~ mu dnie i miesiące na [illegible] i nauce – Zdał już examin z drugiej klasy ~~[illegible]~~ tez równie tak wprzódy tak a teraz pozwolono mu wstąpić do klasy trzeciej jedynie ze względu na prośby X-dza Katechety jego protektora, gdyż wszystko prócz Katechizmu i Historyi Biblijnej innych przedmiotów szkolnych ~~[illegible]~~ prawie zupełnie nie umiał. –

Minął już trzeci rok jego pobytu w mieście. Pewnego razu gdy ~~i przechadzał się po mieście~~ powracał ~~ze~~ ze szkoły zdało mu się z pośrodka naulicy znaną mu dobrze fizyonomię. – Przybliżając i

poznaje swego dawnego preceptora Mularza Jana. Niewidziawszy już od tak dawna nikogo z swojej dworskiej znajomych, ucieszył się Wojtuś nad wszelki wyraz i serdecznie go przyjął zapomniawszy o wszelkich przykrościach mu wyrządzonych w czasie jego terminowania w Kutach. – Pan Jan powitał go z pewnym rodzajem lekceważenia i obojętności która żywo dotknęła Wojtusia, lecz pomimo tego wypytywał go co słychać na wsi?

— „Co słychać? (odpowiedział Jan) ty nie wiesz? Pan Baron jak poczuł chorować, w parę miesięcy po twoim wyjeździe tak ciągle chorował aż przed miesiącem już skończył."

— „Co? Jaśnie Pan – mój i naszej dobrej Pani umarł?"

— „Ta, umarł jak we trzy dni po zgonie Księdza Proboszcza."

— „Co mówicie Panie Janie! Boże święty! i Ksiądz Proboszcz nieżyje?"

— „Ta, nieżyje." –

— „O Boże, Boże! mojej Dobrodziejki już nigdy nie zobaczę!" i zalał się łzami. „A coż nasza Pani?" –

— „Et! (odrzekł Pan Jan) Pani Baronowa czysta warjatka – mnie wygoniła – ja sam nie chciałem być dłużej – Jedzie teraz w Brzeżańskie do swej Matki – a z tamtąd do Lwowa...

Zasmuciły Wojtusia te wiadomości – codzień modlił się za duszę swego Pana i swego Dobrodzieja Xdza Proboszcza

i prosił Boga aby ~~mu i któri~~ pocieszył jego Dobrodziejkę
Panią Baronowę –
Gdy ~~mu przyszły~~ przez trzy miesiące nie doszła go
wcale przesyłka pieniężna od Pani Baronowej
a Ksiądz Xawery ~~u którego Wojtuś był~~ mu powiedział
że go dłużej na stancyi trzymać za darmo nie będzie
– pomyślał Wojtuś „moja Pana nieszczęśliwa – martwi się
śmiercią męża – zapomniała o mnie – ale później sobie
przypomni”.. i prosił X^dza Xawerego aby mu pozwolił
jeszcze ~~[illegible]~~ przez jakiś czas pozostać u niego „a Pani Baronowa pewnie
oddam zapłatę należną”. – Lecz minęło blisko
pół roku, czas examinów się zbliżał a pieniądze nie
nadchodziły. – „Oh gdybym mógł zdać przynajmniej
ten examin jeszcze i skończyć normalne szkoły!.. (myślał Wojtuś)
Dalej nie pójdę... bo wiele na to trzeba zdolności –
jestem ostatni w klasie ~~a w tym półroczu nawet~~
~~z religii także pierwszą klassę otrzymałem ba~~ bo też
i rozumiem ciężko do nauki – uczą mnie samych takich
rzeczy z których ~~[illegible]~~ nie będę korzystać w życiu..”
Tak było w rzeczy samej – Wojtuś był ostatnim w klasie
choć liczył lat przeszło 16 – był najstarszym w klasie.
Sąd o ucznia miał że wszystkich Uczniów najpilniejszy
a mimo tego pomimo wyobraźni ~~żadnej~~ wielkie
siły umysłowe były w nim zupełnie niewyrobione.
Wojtuś zawiele już marzył i myślał aby mógł
rzucić się poświęcić przedmiotowi. – Wszystko
zaś co uczono w szkole zasadzało się na pamięci ~~i~~ prawie bezmyślnej
uczenia

V.

Nawet katechizm i historya biblijna była wykładana
przez młodego pedantycznego katechetę w podobny sposób.
Dawniejszy katecheta a protektor Wojtusia zostawszy
kanonikiem wyjechał do Lwowa z wielkim żalem
Wojtusia — który w całem mieście nikomu już
zwierzyć się ni zaufać nie mógł. —

Wszyscy koledzy mówili do Wojtusia urągając;
— „Zeman ty rozumu że ty chodzisz do szkoły, ~~wołał~~
a przejdź przez examin, kiedy Twego protektora niema,
a wolał byś pójść służyć." Ale Wojtuś przesiedział
po całych dniach i nocach z największem
wytężeniem [Lecz wiecznie pochylony nad książką miał się wnet być po smutnem marzeniem młodzieńca] — Na miesiąc przed examinem Ks.
Xawery podskarbi sobie dobrze — zawołał go
i rzekł żeś go dłużej trzymać nie będzie (nie zostanie) bo
mu już pół roku nie płacą — „zbieraj się szybko
(krzyknął groźnie) zbieraj manatki i idź do diabła na wieś" —

Ledwo zdołał Wojtuś ubłagać rozgniewanego
Bakałarza w kapturowej oracie aby mu jeszcze dzień
miesiąc pofolgował. — ~~[illegible]~~ Wchodząca do pokoju
młoda owieczka o czarnych ~~[illegible]~~ ognistych oczach
złagodziła gniew Bakałarza — który zmaczawszy rękę ~~[illegible]~~ w
święconej wodzie, pobłogosławił Wojtusia i pozwolił
mu zostać w domu. —

Odtąd zdawało się nawet Wojtusiowi że go ~~[illegible]~~
Ks. Xawery bardzo polubił, gdyż okazywał się dla
niego szczególnie łaskawym i pobłażającym. — Często
przyciągał go do siebie za rękę, ~~głaskał~~ (gradior) jego

drugiego, same

który, błogosławił go, rozczulając się nad nim, przyciskał go do piersi, – całował go w czoło, w lica – oczy – usta – ~~[illegible]~~ – aż piękne były

* Wojtuś spał w naszej izdebce obok X^dza^ Xawerego, – w tym domu pokojach nikogo więcej nie było.

(oczy i usta u Wojtusia jak u panienki świeże, i rumiane lica, duże czarne oczy pełne wyrazu, usta jak korale. *)

Zarzucimy zasłonę nad dalsze sceny (w domu X^dza^ Xawerego) ~~[illegible]~~ ich ~~[illegible]~~ opis tylko odrazę i oburzenie obudzić by mógł....

— Wojtuś zachorował niebezpiecznie. X Xawery czy że się w nim po raz pierwszy obudził głos sumienia, czy że się bał aby się rzecz nie wydała – chociaż lekarza zawołać nie raczył, z największą starannością przez dzień i noc pielęgnował Wojtusia ~~i nikomu do jego łóżka przyjść~~ usługiwał mu sam i nikomu do jego łóżka przystąpić nie pozwalał. —

Wojtuś nie wiedział co się z nim stało – nie pojmował zbrodni jakiej się dopuścił Xiądz Ksawery gdyż ten, ~~[illegible]~~ naprzód jego niewinne i naiwne o tym skrupułki zwyobraźnienie, tak mu rzecz w świetle konieczności ~~wymalował~~ przedstawił, i zupełnie się przed dzieckiem usprawiedliwić umiał. —

Wojtuś wyzdrowiał lecz nie mogąc postępować w naukach przez ciąg swej słabości examinu nie zdał, ~~a gdy Pani Darowska sam przy~~ równie jak profesorowie tak i on sam winę ~~[illegible]~~ przypisywał jedynie swemu ~~braku~~ zdolności. — ~~A gdy Pani Daro~~ „Zawód ten mię sławnie" pomyślał A gdy Pani Darowa jemu przez niego pieniądze na utrzymanie

gdy nie nadchodziła, pewnego poranku Wojtuś zebrał swe manatki, związał w węzełek i podziękowawszy ~~[illegible]~~
serdecznie — ks. Xaweremu za wyświadczone Dobrodziejstwa — poszedł w drogę do rodzinnej wioski — ~~[illegible]~~

Góry odkryły mu widnokrąg a w dali zabłysnął smereczany las Skalnicy! jakże mu żywo biło serce gdy

Jakież nim uczucia miotały gdy ujrzał zdala szarzejące się chaty i zabłysnął mu krzyżyk kościółka — i zobaczył dworek wśród brzóz i strumyk zaszumiał ulubionej ~~Skalnicy~~! ... Po tak długich latach niewidzenia były ~~[illegible]~~ miejsca co tak wiele wspomnień mieściły dla niego — jakże i on się zmienił w sobie!

„Gdym stąd wyjeżdżał — jakież mnie owładały nadzieje! — Wszystko się rozwiało jak ta mgła poranna nad Skalnicą! Jam marzył że będę sługą bożym, kapłanem powszechnie poważanym — że będę ludzi nawracał do cnoty, a teraz gorzkie ~~[illegible]~~ doświadczenie przyniosłem z sobą co mi jak kamień cięży na sercu; — nie mam zdolności do nauki! — Jam był zbyt dumnym, ~~by~~ zarozumiałym aby się poświęcić zawodowi do którego mnie Ojciec przeznaczał a Bóg upokorzył moją dumę — —

„Ale niedość na tem! jam widział świat i ludzi tak piękne, tak uroczo — a teraz zowiała się moja [illegible] — nawet stan kapłański nie ma już dla mnie uroku tego co niegdyś — nawet modlitwa już mi tak serca nie zagrzewa, — i myślę często o Bogu, o niebie i przerażę się sam moich myśli bo myślę tak inaczej jak gdym ja nie o Bogu, nie o niebie myślał! — I dziwno mi że ~~gdzie Bóg jest że mogą być~~ Bóg miłosierny a w świecie tyle nieszczęśliwych — Bóg miłosierny a mnie serce pęka, Bóg miłosierny a mnie zabrał Ojca — przy go myśli niegdyś, i nie mam już nikogo ze znajomych, nikogo z moich Dobrodziejów!"

W istocie nikogo we wsi nie było ktoby poznał Wojciecha

(kiedy drobniejsze nieco)

(Ostatnie dworscy wszyscy zostali pozmieniani przez Panią Baronowę. — Powrót Wojtusia do kuźni — niepoznał go zrazu Kowal stary lecz gdy Wojtuś przypomniał mu kim jest — przyjął go życzliwie i ugościł kawałkiem chleba. Od niego Wojtuś dowiedział się że dawniejszy leśniczy, przyjaciel jego nieboszczyka Ojca zajmuje jeszcze swe miejsce. — Udał się Wojtuś do niego i prosił o gościnę na tak długo póki Pani Baronowa nie powróci z podróży. — Stary poczciwiec rozczulił się na widok sieroty po swym przyjacielu: „Zostań u mnie biedny chłopcze — póki sam chcesz — będziesz mi grzyby zbierać w lesie." — I został Wojtuś w tej małej chatce w lesie i wyręczał starego Leśniczego we wszystkiem jego zatrudnieniach — co temu naprzykład było i bardzo stąd chłopca polubił.

I znowu powrócił Wojtuś do dawnego życia, znowu marzył jak dawniej — lecz już nie jak dziecko ale jak młodzieniec — znowu biegał po lesie i na szczyt skalnicy lecz teraz ze strzelbą na plecach — znowu dumał godzinami nad grobem matki i zmarłego przyjaciela lecz teraz nie klęczał nad grobem we łzach i z gorącą modlitwą w ustach ale (usiadłszy na grobie z rękoma założonemi na piersi wzrokiem spoglądał w błękit ... „Niebo — tak marzył — wiecznie pogodne i czy mi wzrok, czy ból mi serce rozdziera. Czy tym co w niebie również tak wesoło i pogodnie jak niebo pogodne? O moja Matko! jeśli ty możesz spoglądać w głąb mojej duszy to płaczesz tam zapewne przed Bogiem!

Przedstawmy sobie dużą, jasną, świeżo pobieloną izbę, z trzema okienkami w małych na ogród warzywny wychodzących okienkach, z niską powałą, z podłogą często bardzo potrzebującą naprawy; i w tej izbie czarno pomalowany dębowy stół, także komody i kilka krzeseł a nakoniec sofa której pierwotnej barwy domyślać się trudno; na ścianach drewnianych kilka obrazów świętych, przedstawiających 4 [illegible] pokolenia i wszeteczności a będziemy mieli dokładny obraz głównej izby w dworku parochialnym w S., jaką była w r. 183[5]. —

[Tak jak prosi wszystko w ogólności trudno domyślać się jakiemi były za młodych lat jego]

Wejdźmy przez małą sionkę stanowiącą zarazem kuchnię dworku do owej izby, i zapoznajmy się z mieszkańcami tego zacisza. —

Na sofie przy dębowym stole siedzi chłopiec około 13 lat mający, zajęty czytaniem jakiejś książki w marmurkowej okładce; łokcie postawił na stole, lewą ręką podparł brodę a na prawej zwiesił krzepką główkę wsunąwszy palce między swe gęste, ciemne włosy. — Twarz jego trochę śniadawa, spalona od słońca a obecnie jeszcze bardziej zarumieniona wskutek zajęcia jakie w nim wzbudziła książka którą czyta. — Zajrzyjmy co też to za dzieło? Głoski ostro kończaste rażą nam oczy, dzieło jest zatem w języku niemieckim; wiersze pojedyncze to dłuższe to krótsze — zatem, to poezya. Obaczmy tytuł: jestto Chrestomatia niemieckich poetów dla szkół przepisana. — Chłopiec czyta właśnie „Walkę ze Smokiem" Schillera i rozmarzony fantastycznemi obrazami tej ballady powstał gwałtownie i chwyciwszy linię na stole leżącą zaczął nią wywijać w koło siebie jakoby machając nią i goniąc po pokoju smoka zwalczał i wtem zawołał: „ach czemuż nie ma takich w polskim języku!" Zdaje się że z literaturą cudzoziemską okoliczności lepiej mu pozwoliły się obeznać niż z swojską. —

Przeszedł się parę razy szybko w dziecinnem zakłopotaniu po izbie — wtedy stanął gdyż usłyszał zza drzwi od kuchni pokasływanie i głos przeciągły [illegible]:

– Maryna! a reverendę zaszyła?
– Już proszę Jegomości.
– A krowa się ma lepiej?
– Lepiej, proszę Jegomości; ja jej dałam
To pewnie Łatka naprawiała wołki na niej rzuciła
– Na wszech, że Pan Bóg wszystko uleczy –
A zamiotłaś izbę?
– Zamiotłam, proszę Jegomości.

Drzwi się otworzyły i do izby wszedł dopadający kiwać się dłoni z maskiem Ksiądz Proboszcz. Był to człowiek podeszłego wieku, niski, trochę zgarbiony, z twarzą niemającą wprawdzie piętna szlachetności ale pełną wyrazu prostodusznej dobroci. –

– A ty już jesteś Ksawerku? zapytał Ksiądz który mu całował rękę. – Do południa jeszcze daleko.
– Dziękuję Wielebnemu, już jadłem.
– Mam z tobą coś do pomówienia, Ksawerku. – Usiadł starzec na sofie a przyciągnąwszy swego siostrzeńca za rękę ku sobie tak do niego zaczął mówić poważnym tonem:
– Jesteś teraz Ksawerku w mieście wszystkiego, oddany nieledwie samemu sobie, bo twoja ciotka u której jesteś na stancyi niemoże tak czuwać nad tobą jak dawniej twoja matka czuwała póki nie wyjechała na wieś z Hrabiną. – Między twoimi kolegami muszą być i dobre, pilne chłopcy i łapserdaki; pamiętaj-że Ksawerku że ci co są sami nic nie umią zarówno innym których wszyscy chwalą i chcieliby ich także wciągnąć do łapserdactwa i włóczęgi po mieście. Strzeż się Ksawerku takiego towarzystwa. – Powiedz-że mi z kim ty najwięcej z twoich kolegów przestajesz?
– Siedzimy się razem z Michałem Trojżewskim
– Ah – jego ojca znam, to porządny człowiek – to musi i syn być taki. – A więcej z kim?
– Od ostatniego kursu chodzi z nami razem do szkoły Hrabia B. Przenosząc jak do szkoły przyjechał zapał się zapytał kto jest między nami prezentantem a gdy mu powiedziano że ja to zaczął do mnie gadać i chciał potem abyśmy wszystkie pensa w szkole razem robili ...
– Hrabia B. – to wielki Pan! Może to wieś za szczęście dla Ciebie Ksawerku.

— Ale gdzietam! Kiedy go tylko Profesor wywołał, to on zawsze nic nie umiał; dziwię się jak on mógł przejść przez examin. — A w szkole to takie figle płatał że nikt koło niego nie chciał siedzieć bo zawsze na kogo innego spadło. — A raz także zaczął wmyśl nim grubiańsko gadać że go aż kułakami poszturchali....

— Hrabia — źle się uczy?... aleś ty przecież do tej bójki nie należał?

— Nie, odrzekł chłopiec rumieniąc się.

— Pamiętaj mi Szczurku abyś się dobrze uczył. Widzisz: Hrabia — a śmieją się z niego bo się nie uczy, jakżeby się to dopiero z ciebie śmieli, którego Twój Ojciec był tylko rządcą. — F.

F. — Tato był Rotmistrzem! odrzekł chłopiec z dumą.
— Tak jest Rotmistrzem, ale z Rotmistrza ledwo został Rządcą. — A Bóg wie czem Ty będziesz! Przecież nie żołnierzem? — Lecz że się dobrze abyś mógł do urzędów pójść na Prawa a potem wstąpić. Kiedy w żaden sposób duchownym nie chcesz zostać! —

— O ja będę zawsze dobrze się uczył! — ja bym chciał przez całe życie być premiantem!...

Uśmiechnął się staruszek na to szczerenie swego siostrzeńca

— Całe życie nie będziesz w szkołach Szczurku. — Kiedyż się szkoły zaczynają?

— Od dziś za dwa tygodnie. —

— Kiedy już tak prędko, to ja Ci jutro odeślę Szczurka napowrót do Twojej Matki abyś jeszcze u niej był przez ten czas.... Ale Twój zielony surducik zupełnie już wytarty i podarty! — a na łokciach takie łaty! — Damci moją starą rewerendę a Twoja Matka każe Ci z niej zrobić nowy surdut..

Chłopiec uradowany pocałował kilkakrotnie rękę Wujów.

~~W dniej, i jasnej swiéco potrzebnej iżbe jaśnieje po im~~

Mieczysław Pawlikowski

Hipcio.

1875

Hipcio

Nowella

przez Mieczysława Pawlikowskiego
drukowana w Kronice
krakowskiej 1875 r.
3 odcinki numerowane
cyframi rzymskiemi.
Data - imię autora i korekta
ręką Miecz. Pawl. napisane.
W rękopisach poezyj jest
autograf wiersza zawartego
w tekście z datą 1868
Pierwotne imię Makary zamienione
w noweli na Hipolit. —

do

w

br
sch

tyr

pió
ryv
z

na
wło
pió

duż

wn

domach na rzecz gminy ubezpieczone.

a co więcéj, wierzymy wyjątkowo w szybkie jego urze-

HIPCIO.

Nowella.

przez Miecz. Pawlikowskiego

I.

On miał lat 15. — A ona? O niej będzie mowa w następnym rozdziale.

On miał lat 15, cztery włosy na brodzie puchem obrosłej i pół funta patrjotycznych poezji własnego utworu, schowanych w sienniku.

Nie dziw, że je chował. Byłoto w Warszawie, w lutym 1863 roku.

Na imię mu było Hipolit.

Siedzi przy swem czarnem biórku studenckiem, trzyma pióro w ręku. Przed nim ćwiartka białego papieru. Dogorywa łojowa świeca w mosiężnym lichtarzyku — zegar z kukułką bije godzinę jedenastą.

Trzyma w ręku pióro ale nie pisze. Podparł głowę na lewem ramieniu, palcami bezmyślnie rozczesywał długie włosy, które mu spadały na czoło, czarne włosy jak krucze pióra. I marzył.

W czarnych oczach dużo zapału, w smagłej twarzy dużo wyczytać determinacji, odwagi i zdrowia.

Dogorywająca łojówka dziwne rzucała światło i dziwne cienie na jego twarz młodocianą.

Sam był w swej izdebce. Weszła matka; — blada, wychudła, chora. Smutek i troska na jej twarzy. I nie dziw, wszak to było w 1863 r. Rozjaśniła czoło, obaczywszy syna z piórem w ręku o tak późnej godzinie.

— Hipciu, dziecko moje, ty jeszcze nie śpisz! Już tak późno! Dajże już pokój pisaniu. Świeca już gaśnie.

I pochyliła się nad jego głową, aby go pobłogosławić i pocałować w czoło na dobranoc, w czoło gładkie, jak zwierciadlana szyba jeziora. Przypatrywała mu się z lubością tym wzrokiem, jakim tylko matki patrzeć umieją.

— Jezus, Marja! — zawołała nagle, z komicznem jakiemś przerażeniem — prawdziwie już piąty! nie widziałam go jeszcze!... Czy mi się może tylko zdawało? Przybliżno się Hipciu do świecy... Prawdziwie, to rzecz niesłychana w tym wieku: jeden, drugi, trzeci... czwarty... i piąty!... Pięć już włosów na brodzie! Mój Boże!

I otworzyła drzwi na oścież do przyległej izby:

— Walenty! Walenty! już pięć!,..

Ale miasto odpowiedzi odezwało się z drugiego pokoju tylko głośne chrapanie.

— Już śpi Ojciec, ale jutro rano... A to co? Hipciu, ty masz łzy w oczach? co ci to dla Boga?

A Hipcio rzucił się do nóg matczynych i całował je namiętnie.

— Hipciu! Hipciu! co to znaczy?

— Pobłogosław mnie matko!...

— Jezus, Marja! dla czego?... Wszak ja cię co

skład komitetu przedwyborczego, nie może zadowolnić ogółu, jak to już wczoraj zauważano. Że zaś nie wszys-

J., Ks. Martyński Seb., Gralewski St., Więzownicki St.,

---

wieczór błogosławię, ale dla czegóż dziś się tak o to dopominasz? Co to znaczy? Hipciu, ty coś złego zamyślasz!

Chwila milczenia. Wreszcie rzekł Hipcio z szczerością:

— Nic złego mateczko. I dodał po chwili; Mama zapomniała, że to dziś moje imieniny...

— A Matko Boska! dalibóg zapomniałam! Prawda, jedenasty lutego, święty Hipolit! Imieniny twoje i urodziny, ty moje drogie dziecko, 15 lat skończyłeś dzisiaj! A jakaż ja, jaka! O wszystkiem człek zapomina w tych ciężkich czasach... nawet o własnem dziecku!

— O niech mateczka nie zapomina o mnie! rzekł smutnym jakimś głosem chłopczyna.

— I ty dlatego miałeś łzy w oczach, żem zapomniała? — zapytała z rozczuleniem i przytuliła głowę jego do piersi.

— Pobłogosław mnie matko!

— Dobrze, dobrze dziecko moje. Ale czemuż mówisz dziś do mnie *matko*, *matko*... tak ostro, a nie jak zwykle *mateczko*...?

— Oh, bo to najpiękniejszy wyraz na świecie: *matka!*

— Jak on to pięknie powiedział! — rzekła z podziwem. I przeżegnawszy go, zapytała żartobliwie: A jakiż wyraz najbrzydszy?

A z drugiej ~~strony~~ izby odpowiedział ktoś gromkim głosem bez namysłu:

— Moskal!

— Oho, stary nie śpi, a nibyto chrapał! — rzekła poczciwa kobieta i zapytała: Czy i ty tak myślisz Hipciu, że Moskal?

— Moskal mateczko — i...

— I co?

— I... *pieniądze!*

— Pieniądze? a to dlaczego?... Co to ci się roi po głowie! aj, aj! Już ja wiem, to wszystko w tych poezjach tak piszą! ten Mickiewicz, Kraszewski... no, no, nie będziesz ty tak zawsze myślał!...

— O zawszo mateczko, zawsze!

— Pleciesz dziecko, pleciesz. Jutro o tem pomówimy, a teraz idź spać.

Wycisnęła całus na jego czole, złożyła krzyżyk na niem i poszła.

Ale całus ten był jej ostatniem już pożegnaniem, i to błogosławieństwo ostatniem.

Nazajutrz z rana niebyło już Hipcia w domu. Z strzelbą skałkówką stał on na placówce w lesie. Odwaga w czarnem oku, rumieniec zdrowia na twarzy, pięć włosów sterczących na brodzie i spory pakiet wierszy własnego utworu w zanadrzu i w kieszeni tużurka.

Hipcio bił się jak lew, jak bohater.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

powagi zapewne, ale spokojny, prawie chłodny, prawie obojętny. Nawet kwiecista mowa prezesa Akademji Dra Majera nie zdołała rozwiać ciężkiéj atmosfery, ciężącéj niejako na wczorajszém posiedzeniu. Wyczerpujące sprawozdanie sekretarza akademji, prof. Szujskiego obznajomiło słuchaczy szczegółowo o działaniu akademji w roku

umieszczoną będzie kancelarja i archiwum uniwersyteckie, stanie na placu pozostałym po spalonéj bursie jerozolimskiéj przy ulicy Gołębiéj, naprzeciw domu Instytutu technicznego. W tym roku Magistrat tutejszy plac ten, nie spodziewając się rychłéj budowy, chciał kazać ogrodzić, na zapewnienie jednak, dane ze strony władz rządowych,

---

HIPCIO.

Nowella.

(*Ciąg dalszy.*)

II.

Minęło lat 12. Matka Hipcia spoczywa na powązkowskim cmentarzu i śni o mężu porwanym na Sybir i o synu w emigracji.

Ojciec Hipcia po kilku latach wygnania wróciwszy z Tomskiej gubernji do Warszawy, pomodlił się na grobie żony, sprzedał swoje ćwierć domu na Starem Mieście i pozbył resztę ruchomości, jakie mu po żonie poczciwa przechowała sąsiadka. Zostawił sobie tylko na pamiątkę zegar z kukułką i książkę do nabożeństwa, w której futerale znalazł zaklejony zwitek Hipciowych poezji, drobniutkiemi jak ziareczka maku literami na cieniuchnym odpisanych papierze. Zabrał z sobą te skarby i przeniósł się na resztę dni żywota do Lwowa, do p. Szymona, swego serdecznego od lat młodych przyjaciela i towarzysza broni z r. 1830, niegdyś dzielnego majstra profesji kotlarskiej, a dziś właściciela dwóch domów na Żółkiewskiem przedmieściu i sporego kapitaliku, a oraz małżonka pani Szymonowej i szczęśliwego ojca jedynaczki córki, prześlicznej 18-letniej panny Tereni.

Ta panna Terenia — to... *Ona.*

— A *On?* — On, to jest nasz bohater, p. Hipolit, 27-letni młodzieniec, siedzi przy biurku... nie, nie, ale przy biurze kolosalnych rozmiarów, i pisze. Przed nim rozłożone olbrzymie księgi — zapełnione cyframi i samemi tylko cyframi.

Rzecz dzieje się w komptoarze handlu hurtownego towarów kolonialnych *Breakfast and Company* w Londynie *Turtle Street N. 62.*

Widzimy go pochylonego nad biurem, włosy krucze krótko ostrzyżone, ubiór czarny, staranny, nawet wykwintny. Tyle widzimy zaszedłszy z tyłu.

A z przodu?... O, dalipan przystojny chłopiec! Śliczny, czarny wąsik na smagławej twarzy o wyrazistym profilu, takaż bródka hiszpanka. Rumieńcem wykwita zdrowie. W oczach tylko zasłoniętych okularami, inny

— Doniesliśmy niedawno, że z Warszawy wyruszy we wrześniu b. r. pociąg spacerowy do Włoch. Dowiadujemy się teraz, że podróż ta trwać będzie 7 tygodni i obejmie następujące miasta: Wiedeń, Triest, Wenecją, Rzym, Neapol, Florencję, Genuę, Turyn, Medjolan wresz-

— Wyszedł z druku nader starannie i ozdobnie wydany nakładem p. A. Nowoleckiego „Przewodnik po Krakowie.“ Pożyteczna ta książka, obejmująca około 20 arkuszy druku, zaleca się sama nietylko bogatą treścią ale i ceną bardzo przystępną. Książka ta powinnaby

---

jakiś, zmieniony wyraz. Inna z nich jakaś przegląda znać dusza.

Zachorował ojciec niebezpiecznie. Zatelegrafowano do Londynu. Przyjechał Hipcio do Lwowa, ale p. Walentego zastał już na katafalku. Cztery dni zabawił, Ojca pochował na Łyczakowie, odebrał z Kasy oszczędności drobną sumę, którą mu zostawił, poznał pannę Terenię i jej rodziców, zabrał z sobą fotografję ojca i matki i panny Tereni — i wrócił do Londynu.

...Ale, ale! O mało nie zapomnieliśmy powiedzieć, że zegar z kukułką darował na pamiątkę panu Szymonowi, że książkę do nabożeństwa swej matki dał pani Szymonowej, a pannie Teresie zwitek młodocianych swych poezji, które ona wszystkie już od dawna umiała na pamięć; że ostatniego dnia pobytu swego we Lwowie zasiągnął wiadomości o majątkowem położeniu pana Szymona, a nakoniec, że mu się panna Terenia bardzo podobała i że jej powiedział krótko a węzłowato: *Kocham i wrócę.*

A panna Terenia? Panna Terenia widziała w nim bohatera, męczennika narodowej sprawy, natchnionego poetę, męża czynu, wielkiego człowieka, ideał mężczyzny, a nadewszystko prześlicznego chłopca z czarnym wąsikiem. Odpowiedziała mu jeszcze krótszym i bardziej węzłowatym a niemniej znaczącym wyrazem:

— Pisz!

— O będę, najdroższa... ile tylko czasu mi starczy!

— Ale pisz wierszem!... Nie wystarczała jej proza, zachciało się wierszowanych oświadczeń dziewczęciu.

— Wierszem? — Ależ ja zapomniałem już wiersze pisać. Niepotrafię,

— O, tyś poeta... potrafisz, jeśli kochasz!... I dodała: Wierszem, wierszem koniecznie!

I pojechał pożegnany tem słowem.

Odprowadziła go poczciwa rodzina na dworzec kolei i na peron, a gdy po raz trzeci zadzwoniono i pociąg już ruszył z miejsca, rzuciła nań panna Terenia ostatnie spojrzenie, które mówiło: *Kocham!* i szepnęła raz jeszcze to błagalne słowo:

— Wierszem.

(Dokończenie nastąpi.)

żać do obsługi Bożéj. Bractwa z ołtarzami i obrazami świętych, poczciwi pracownicy różnych rzemiosł z cho-

parzu, Rynku, oraz w ulicach Florjańskiej i Sławkowskiéj. Najgustowniéj ubrano okna w ulicy Sławkowskiéj

HIPCIO.

Nowella.

—∘—

(Dokończenie).

III.

Widzimy tedy znowu p. Hipolita przy biurze kolosalnem, pochylonego nad rachunkową księgą, zaglądamy przez ramię: położył różową ćwiartkę papieru w kupieckich rachunkach — i pisze list...

Ale wierszem napisał tylko do Tereni. Do rodziców jej krótko napisał prozą. Oświadczył się o rękę jedynaczki i został przyjęty.

Nastąpiły listowne układy o oznaczenie dnia ślubu, o wyprawę, o posag i t. p. O zrzeczeniu się korzystnej posady w handlu pp. *Breakfast and Company* i o przeniesieniu się do Lwowa niechciał p. Hipolit słyszeć, zgodzili się tedy po dłuższem wahaniu rodzice i na to, aby im zabrał jedynaczkę aż za morze, — przyznać jednak należy, iż im się to obojgu wcale nie uśmiechało, a targowanie się przyszłego zięcia o posag także im nie było do smaku. Kręcili często głową starzy rozmawiając o Hipciu, a mówiąc o córce łzy mieli w oczach.

— Et! bo *ślipie* twoje to jak studnia na Marjackim placu! Czego tu *beczyć?*

— O wa! jaki mi zuch! A jegomość niema to *dutków* w oczach, czy co?

Panna jednak srodze była zakochana — trzeba się było zgodzić na wszystko. Żądali więc tylko starzy, aby państwo młodzi po ślubie spędzili jeszcze choć parę tygodni przy nich. Panna Teresa w liście do narzeczonego bardzo gorąco poparła to żądanie.

Wkrótce nadeszła odpowiedź, — list do panny Tereni — a więc oczywiście wierszem, tak jak sobie tego życzyła.

Odpowiedź brzmiała, jak następuje:

Byłaby to dla mnie radość,
Najdroższa moja Tereniu,
Gdybym mógł uczynić zadość,
Rodziców Twoich życzeniu.

Ty we Lwowie, ja w Londynie,
Trzy dni najmniej zajmie droga...

6 guld., na co się i leśny zgodził. Wskutek tego porozumienia sąd nie mógł naznaczyć większego odszkodo-

utrzymywane w niej brudy i nieporządki.

Powrót trzy dni, — tydzień minie
Nim powrócim moja droga!

Widzisz sama, że nie kłamię,
Niepodobna bawić dłużéj,
Wyperswaduj Papie, Mamie, —
Bądź gotową do podróży.

Z słowem dojdzie mnie szczęśliwem
Twa depesza elektryczna,
Parochodem, paropływem
Wnet przylecę moja śliczna!

Dzień mi oznacz i godzinę,
Kiedy ślub się nasz odbędzie,
A przylecę i przypłynę
Najszczęśliwszy w szczęsnych rzędzie.

Twój Hipolit, — Notabene:
Sto trzynaście! Powiedz Tacie
Niechaj sprzeda za tę cenę
Posagowe obligacje.

List ten podarty na drobne kawałeczki znalazł w ogródku p. Szymona, w altance, jeden z jego lokatorów, mój przyjaciel. Zebrał starannie wszystkie kawałki, złożył, zlepił gumą arabską i przysłał mi do Krakowa. Ja zaś popełniam wielką niedyskrecję drukując go, ale to tylko z wielkiej miłości dla czytelników.

Co się dalej stało? — Nie wiem. — Czy poszła panna Teresa za pana Hipolita? — Jeszcze nie. — Czy pójdzie? Nie wiem. — Czy prawda, że bywa teraz w domu państwa Szymonostwa pewien młody literat, pisujący lepsze nieco wiersze od Hipciowych? — Coś o tem słyszałem. — Czy prawda, że p. Hipolit od tego czasu już na czwarty list żadnej nie otrzymuje odpowiedzi? — Nie wiem.

— A cóż wacpan wiesz, panie nowelisto? — zapytają czytelnicy.

— Wiem to tylko, że cokolwiekby się stało, donieść o tem w swoim czasie nie omieszka *Kronika.*

Wiem i to także, że ile razy panna Terenia pomyśli o Hipolicie, — przed oczyma jej duszy jawi się nieproszony młody literacik o dwóch ciociach, a drewniany ptaszek na starym zegarze woła jak na przekorę:

— A kuku!... A kuku!...

1875.

[MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI]

DRUGA MIŁOŚĆ

NOWELLA.

[1883]

Druga miłość.
Nowella.
Ukazała się
w odcinku
Nowej Reformy
z roku 1883
w numerach:

132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
143
144
} odcinków dwanaście

Odbitki osobnej
nie miała nigdy.
Wyszła anonimowo
Napisana w r. 1881.

31

lewo, a zawsze ma za sobą zaufanie nieodpowiedzialnej i nietykalnej korony, tak że w praktyce ów wyżej przytoczony frazes wyjść musi na to, iż stoimy i stać chcemy przy każdym rządzie, ja-

stryackiemu przedstawić — chwila ta, kiedy byliśmy mu bezwarunkowo potrzebni do zawarcia ugody, nie byłaby minęła bez korzystnej dla nas zmiany politycznego stanowiska naszego. Zostaliśmy w tej

sprawiedliwości, przy którem tyle lat był sekretarzem, zainterpeluje z całym naciskiem komisarza rządowego w sejmie i domagać się będzie:

1) Wyłączenia z sądu obwodowego w Tarnowie, nowo otworzyć się mającego, sądu obwodowego w Jaśle. Sprawę tę przesłał p. Zawadzki

cznej, ale po prostu ambicya i duma młodego magnata, który nie mógł znieść tego, iż obok niego, w okręgu, w którym on mieszka, jakiś tam sędzia powiatowy, a nie on ma być posłem wybrany! Inaczej sobie tego wytłómaczyć nie możemy.

znają czytelnicy z treści wzmiankowanego artykułu.

„Któż nie zna naszego zwykłego toru w ostatnich dziesięciu lub dwunastu latach? Ogromna a fałszywa fermentacya w młodem naszem społeczeństwie, niezdolnem do samoistno-

---

DRUGA MIŁOŚĆ.

Nowella.

List do autora jako wstęp.

Kochany Przyjacielu!

Zawiele odemnie wymagasz. Wymagasz rzeczy zgoła niemożebnej. Nie mam na tę robotę czy zabawkę ani czasu, ani ochoty. Jako lekarz, jestem przez cały dzień zajęty, a często wzywany bywam do chorych i w nocy. Pojmiesz tedy, że obarczony będąc pracą, rad korzystam z każdej chwili wolnej, aby ją spędzić z żoną i jako nowożeniec nacieszyć się swem szczęściem. A Tobie się zachciało, żebym w tych nielicznych wolnych chwilach spisał Ci opowiedzianą nowelkę, tak, jak ci opowiedziałem! Dziwne żądanie! Pisać nowelki nie moja rzecz. Opowiedziałem Ci w czasie Twej choroby nie „nowelkę“, ale ustęp z rzeczywistego życia, aby Cię tem rozerwać. Czułem tego potrzebę, widząc Cię tak przygnębionym Twem cierpieniem. Czy mam za to pokutować? Bawiłem Cię, jak umiałem; lekarz różne przy chorym obowiązki pełnić musi, czasem nawet staje się jego nadwornym nowelistą. Dobrze! ale wtedy byłeś chory— teraz jesteś zdrów i obowiązek lekarza już się skończył. Nowellistą Twoim już być przestałem. Baw się teraz sam. Baw siebie samego i swoich czytelników. To Ci posłuży na zdrowie. Tobie, a może i im. Ordynuję Ci: pisz.

Z mego opowiadania możesz zrobić co Ci się podoba, nowellę, powieść, komedyę, dramat, tragedyę a nawet epopeję o 24 pieśniach. Bylem ja w niej był bohaterem — a raczej jednym z bohaterów, to sobie zastrzegam. Bo wszakże rzeczywiście nim byłem. A to się tak rzadko w życiu zdarza. Mnie się już po raz drugi nie zdarzy. A tak mnie opisz, jak najpiękniejszego z młodzianów. O moim krogulczym nosie ani słowa — abym się żonie podobał.

Nazwiska pozmieniasz oczywiście. Najlepiej jednak zrobisz, jeśli całe działanie przeniesiesz w odległe jakie kraje, do Norwegii, Buenos-Ayres, Sumatry, na przylądek Dobrej Nadziei, albo też w czasy odległe np. w czasy Faraonów egipskich *à la* Ebers, w czasy króla Popiela, a choćby przynajmniej wyprawy wiedeńskiej, o której tyle piszecie. W takim razie zrób z pana Błażeja baszę tureckiego: podobieństwo uderzające! A z poczciwego Teodora zrób derwisza, bohaterkę romansu zmień w odaliskę. Zostawiam Ci *plein pouvoir*.

Wątpię jednak, czy Ci się uda skleić z tego mego opowiadania jednolitą całość: życie nigdy nie jest tak jednolite, jak winien nim być utwór belletrystyczny. Przędza życia (jak wy ją nazywacie), nie snuje się jedną nieprzerwaną nicią, ale rwie się i nawiązuje co chwila nowym węzełkiem; snuje się raz na lewo, to znów na prawo, a nitka to złota, to biała, to czarna, to czerwona, to popielata. *Such is life.* I nie ma w życiu artystycznej całości, bo z różnobarwnych i luźnie tylko między sobą sklejonych składa się epizodów. Realiści i tak zwani „naturaliści“ pojęli to i kreślą życie takiem, jakiem jest: toż żaden z ich utworów. jako całość, nie odpowie nigdy wymogom piękna. Okruchy tylko Afrodit i Apollów znajdziesz w rumowisku rzeczywistego świata — całego posągu nigdy. Każdemu powieściopisarzowi, mem zdaniem, nasuwać się musi alternatywa: albo rzeczywistość, albo piękno. Wprzódy poświęcaliście rzeczywistość pięknu, dziś postępujecie odwrotnie. I tak źle i tak nie dobrze.... Ale, co mnie, lekarzowi, wdawać się w nieswoje rzeczy! Powiem ci tylko tyle, że utwory dawnej waszej szkoły nie przemawiają do mnie, bo w nich czuję brak prawdy, a utwory realistyczne nie podobają mi się, rażą moje estetyczne instynkty. Ale piszcie sobie jak chcecie — tylko mnie dajcie pokój i nie wymagajcie od lekarza, aby się stał nowellistą.

Sciskam cię serdecznie

Twój *Karol.*

I.

Działo się to...

— Za króla Popiela?

Nie, mylny domysł, łaskawa czytelniczko: działo się to znacznie później. Działo się...

— Za panowania króla Jana...

Nie wiem, o którym „królu Janie“ chcesz mówić łaskawa Pani, mieliśmy ich bowiem kilku. Zaręczam ci jednak, że działo się to później znacznie później

Krótko mówiąc, działo się to wtedy, gdy króla Popiela oddawna zjadły już myszy, a król Jan, oddawna panować przestał, ale, gdy natomiast dwóch pp. Popielów posłowało do sejmu krajowego Galicyi i Lodomeryi i Wielkiego księstwa krakowskiego. A działo się we Lwowie.

Chcąc zaś jak najdokładniej oznaczyć czas, w którym się to działo, powiem, iż działo się to rankiem owego wielce, a wielce pamiętnego dla stolicy nadpełtewskiej dnia, w którym pierwszy aeronauta, który tam zawitał, p. Damm, miał odbyć swoją drugą we Lwowie, wielkiemi afiszami po rogach ulic zapowiedzianą miastu, podróż nadpowietrzną. Lwowianie pamiętają te afisze, na których stało, że „pewna tutejsza osoba zgłosiła się do podróży niebios“ i wspólnie z panem Dammem uleci balonem; pytano, ktoby to był tą „tutejszą osobą“, rozmaite krążyły przypuszczenia i domysły, ciekawość była wielka.

Działo się to dnia 8 października 1878 r.

Ale to, co się działo w tym dniu pamiętnym, jest rzeczą tak powszednią, że działo się to samo nieraz i przedtem i za króla Jana i za króla Popiela i jeszcze dawniej, nawet i za owych czasów, kiedy najbardziej ucywilizowanym na świecie był „naród Karamoków“, opisany w pierwszym rozdziale „Powieści Wschodu i Zachodu“ dra Wojciecha Dzieduszyckiego. Jednem słowem, działo się to, co się zawsze działo i zawsze dziać będzie, gdzie są chłopcy i dziewczęta: dwoje ludzi się kochało.

Ale do rzeczy.

Przy ulicy Kurkowej, w ogrodzie Strzeleckim, czyniono już od rana przygotowania do nadobłocznej żeglugi. Balon ów, którym (jeśli prawda), miał niegdyś ulecić Gambetta z oblężonego Paryża, balon od rana nabrzmiewał i wzdymał się od napuszczanego weń gazu.

Przy ulicy Jagiellońskiej pod L... (parzystą), na drugiem piętrze, podobnież od rana nabrzmiewało i wzdymało się (jeśli się godzi tak mówić) serce panny Elżbiety od sprzecznych uczuć i niepokojów, trosk i smutków właściwych jej latom i jej płci.

Przy ulicy Kurkowej, dokoła balonu, chodził jego właściciel, prusak, pilnie czuwając, aby przy tem nabrzmiewaniu, gdzie nie pękł; — a przy ulicy Jagiellońskiej, ale pod innym znowu numerem (nieparzystym), w pokoju parterowym, od dziedzińca, chodził pan Teodor od kąta do kąta, myśląc ciągle o serduszku panny Elźusi i bojąc się, aby od znanej panu Teodorowi troski, nie pękło.

Balon coraz więcej manifestował tendencyi ulecenia pod obłoki; serce panny Elżbiety, a raczej serdeczna jej troska, unosiła jej duszę gdzieś w nadobłoczne krainy wyśnionego nieba — odrywając ją od tego padołu zimnej rzeczywistości.

A cóż robił rodzic właścicielki owego balonu-serca, innemi słowy, co robił szanowny „tatuńcio“ panny Elżbiety?

„Tatuńcio“ od rana namyślał się nad odpowiedzią, jaką da panu Bonifacemu, który wczoraj prosił o rękę Żusi dla swego Marcelka. Namyślał się, a jednak nie było się czego namyślać, bo odpowiedź nie mogła być wątpliwą. Jak może być wątpliwą odpowiedź na taką zaszczytną propozycyę, jeżeli popartą została nie dwuznacznem przypomnieniem długu, ongi zaciągnionego u proponującej osoby, długu, którego nie jest się w stanie spłacić.

A jednak namyślał się „tatuńcio“ i namyślając się, przygrywał sobie na drumli....

Nie chciej tego źle zrozumieć, szanowny czytelniku, użyliśmy bowiem tylko wyrażenia obrazowego, zasłyszanego od znajomych p. Błażeja; p. Błażej nie miał rzeczywistej stalowej drumli w swych rumianych, nieco obwisłych ustach, lecz tylko, wedle swego zwyczaju, wskazującym palcem lewej ręki szarpał przyspieszonym ruchem dolną wargę, co niesłychanie podobnym go czyniło do artysty grającego na tym instrumencie i nieobeznanych z tą jego nawyczką. łatwo mogło w błąd wprowadzić.

Przygrywał zaś na drumli w ten sposób p. Błażej zawsze wtedy, gdy w jakiem kłopotliwem znalazł się położeniu.

Ile razy pani Błażejowa przyszła do pana Błażeja z żądaniem, odnoszącem się do nadzwyczajnych i nieprzewidzianych wydatków domowych, pan Błażej, myśląc o pustkach swego pularesu, grał na drumli.

— Za kim pan będziesz głosować, za Wolskim czy za Dobrzańskim? — zapytał ktoś pana Błażeja w owym dniu, gdy Lwów miał przystąpić do wyboru jednego z ówczesnych współzawodników na delegata do Rady państwa. Pan Błażej grał na drumli.

— Co to *chabrus*, tatuńciu? — zapytała go raz panna Żusia, trzymając w ręku ostatni numer

syjskiej partyi rewolucyjnej, wyjaśniającym zachowanie się owego stronnictwa podczas koronacyi carskiej w Moskwie. Podajemy streszczenie tego manifestu według *Gazety Narodowej*:

Gazety Narodowej. Był tam właśnie jakiś artykuł o „koszerno-teutońskiej itd.“

Pan Błażej sięgnął niedowierzająco po gazetę, spojrzał na ten dziwny wyraz, wskazany mu paluszkiem Żusi, przypatrzył mu się przekrzywiając głowę na prawo i na lewo i... zaczął grać na drumli.

Nie wiedział stary poczciwiec co to *Chabrus*, ale wiedział o tem za to doskonale pan Bonifacy, ojciec Marcelka. Gdyby kto się taki znalazł, ktoby w interesie szerzenia oświaty podjął się wytłómaczyć panu Błażejowi co to *Chabrus*, pan Błażej zarazby pomyślał: Aha! *chabrus* to Bonifacy! I przyszłaby mu wtedy niezawodnie na myśl pożyczona od Bonifacego sumka i pogrążony w dumaniu o trudności wybrnięcia z tego długu, zacząłby grać na drumli. Biedny pan Błażej!

Nie chciał on się pokumać z familią pana Bonifacego i życzył swej jedynaczce lepszego losu jak zamęźcie z panem Marcelim, próżniakiem i hulaką a nawet i szulerem potrosze. Ojciec skąpy, syn rozrzutny — tak to bywa, jak wiecie.

Ale cóż? cóż? trzeba się poddać konieczności! Wczoraj wobec oświadczenia pana Bonifacego, skrzywiła mu się zrazu twarz, jakby się napił octu „siedmiu złodziei“, ale wnet się opamiętał i uprzytomniając sobie swe położenie wobec oferenta, starał się udać wielce uradowanego tą niespodzianką. Zdarzyło mu się przytem to, co zwykle się zdarza, gdy kto udaje, że mu się śmiać chce, podczas gdy wolałby zapłakać: chwytał powietrze przyspieszonym oddechem, jednym pędem wybiegł aż na sam kopiec Wysokiego Zamku i udając radośne wzruszenie, wyglądał tylko jak zadyszany od biegu. (C. d. n.)

Myśleć o tem może chyba ten, co nie wie, jak strasznymi są wypędzeni lokaje!

„Sytuacya jest tego rodzaju, że rząd ani naprzód ani w tył nie może zrobić jednego kroku. Nie pozostaje nic innego, jak terroryzować naród, zabronić mu mówić a nawet myśleć. Tym tylko sposobem można odwlec dzień obrachunku. Ale nie doprowadzi to do niczego! Do ucisku ludzie się przyzwyczajają, ma on zresztą swoje granice, które są bliższe, aniżeli się zdaje... Dzisiaj gdy ustało już kokietowanie z ludem i inteligencyą gdy ciemna, zimna noc rozpościerać się poczyna nad Moskwą a wszelkie szlachetniejsze popędy martwieją — sądzimy, że zbliża się już godzina obrachunku.

„Nigdy jeszcze nie było tyle wypadków obrazy majestatu, sporu i protestów przeciw obecnemu porządkowi rzeczy, jak minionego roku. Rozruchy antisemickie od Wisły aż do Donu noszą na sobie nie tylko ekonomiczny, ale i polityczny charakter. Nigdy jeszcze socyalne idee nie krążyły tak żywo w naszej armii i nigdy jeszcze nie miały miejsca tak częste wykroczenia przeciw dyscyplinie wojskowej, jak w ostatnich czasach. Jenerał Hurko przepowiada na jesień nowe rozruchy przeciw-żydowskie na południu.

„Tak, nigdyśmy jeszcze bardziej nie przypuszczali możliwości poważnego protestu ze strony ludu, jak właśnie teraz, w chwili pozornego spokoju! A opieramy się nietylko na powyższych symptomach, które mogą nie wystarczać, aby przepowiadać z nich ruch ogólny, — opieramy się na rozporządzeniach rządu, próżnych wszelkiej myśli przewodniej, wskazujemy na przerażający brak roztropnych i zacnych ludzi między sternikami państwa. W dwóch zaledwie latach zmieniła się trzy razy wewnętrzna polityka. Jest to nie bez znaczenia.

Manifest wskazuje następnie na okropne rozprzężenie stosunków społecznych w carstwie i tak kończy:

„Wszystko to wskaże społeczeństwu, dlaczego partya rewolucyjna zdąża do obalenia obecnego systemu. Gdy społeczeństwo milczy, gdy niezawisłe dzienniki padły do nóg lokai carskich, gdy ziemstwa ust nie otwierają, gdy droga do walki

---

o kwestyą chleba dla Wiednia i dla miast prowincyonalnych, które mają nadzieję otrzymania filialnych dyrekcyj kolei skarbowych. Gdyby kwestya ograniczoną była tem jej znamieniem, i obszarem wspomnianych miast, musiałby Wiedeń sam za siebie podjąć walkę, i nie mógłby mieć pretensyi, żeby przy tem liczyć na sympatye politycznych i narodowych sprzymierzeńców w państwie. Faktycznie jednak kwestya ta rychło wyrośnie po nad prostą kwestyą chleba, i dotknie szerszych interesów, obejmujących więcej, niż Wiedeń Pragę i Lwów. Wiedeń straci — to jest nieuniknione, Lwów i Praga zyskają, i tego im pożałować nie można; ale jak dr. Mauthner w Radzie m. Wiednia już wywiódł, wszelkie jest prawdopodobieństwo, że korzyść ta więcej będzie wyzyskaną w narodowym, niż w ogólnie ekonomicznym względzie“. Jest to zapowiedź wyraźna, że tam, gdzie chodzi o ekonomiczny interes Pragi — niemieccy posłowie z Czech nie będą mogli przyłączyć się do krzyków, podniesionych z Wiednia przeciw decentralizacyi. Może to być pośrednio bardzo użytecznem i dla naszej sprawy.

Zamierzona pierwotnie przez Niemców w Krainie polityka zupełnej abstynencyi, została obecnie już w części zarzuconą, albowiem co do wyborów z miast i miasteczek Niemcy postanowili w nich wziąć udział. Centralny komitet wyborczy niemiecki wydał odezwę pełną wykrzykników przeciw rządowi. To też prezydent krajowy Winkler, odpowiedział im w swym organie urzędowym, iż rząd żadnej przeciw nim presyi wywierać nie będzie, że każdy urzędnik może głosować nawet za przeciwnikiem rządu bez obawy żadnych złych dla siebie następstw

Pokrok dowiaduje się z zupełnie wiarygodnego źródła, że ostatnia konferencya ministrów węgierskich i austryackich ani urzędownie ani prywatnie nie zajmowała się sprawą decentralizacyi zarządów kolejowych. Równie i wiadomość o powołania Fanderlika na posadę radcy w ministerstwie oświaty uważa *Pokrok* za przedwczesną.

Kraków, 13 czerwca.

Towarzystwo oświaty ludowej. Nadzwyczajne zgromadzenie członków towarzystwa oświaty ludowej odbędzie się w sali rady miasta w dniu 26 b. m. o godzinie 6 wieczór; na porządku dziennym zmiana częściowa statutu.

Wiceprezydent namiestnictwa p. Filip Zaleski, tudzież namiestnikowa hr. Potocka odjechali wczoraj wieczorem do Lwowa.

Książe bawarski Arnulf, oraz książe saski Hermann z Weimaru, przybędę jutro do Krakowa pociągiem pospiesznym rano.

W sprawie pomnika Mickiewicza. Pod tym tytułem *Przegląd lit.-art.* zamieszcza w ostatnim numerze artykuł, który ze względu na jego żywotność podajemy chociaż w streszczeniu: „Trudno zaprzeczyć — pisze *Przegląd* — że projekt postawienia pomnika Mickiewiczowi na nieistniejącym placu obok nieistniejącego uniwersytetu „cieszy się (zdaniem pewnych pism warsz.) popularnością w Krakowie. Istotnie projekt „cieszy się,“ a z nim „cieszy się“ jego projektodawca; co więcej jest on tak „pocieszny,“ iż nie dziwimy się „popularności,“ jaką zdobył sobie w pismach... humorystycznych.

Słyszeliśmy, że na posiedzeniu komitetu przemawiali za owym projektem bibliografowie i fizyologowie, przeciw zaś profesorowie historyi sztuki i szkoły sztuk pięknych. Nie znamy treści ich przemówień. ale sam fakt kto był za, a kto przeciw, powinien już rozstrzygnąć wszelką wątpliwość co do estetycznej wartości projektu. Na tle gotyków pomnik renesansowy i na tle zieleni pomnik z bronzu — to dla każdego posiadającego poczucie piękna wydawać się już musi... nieco naiwnem.

Ależ, gdyby przeciw projektowi tylko to walczyło! Przedewszystkiem pytanie, jakie znaczenie społeczeństwo przypisuje pomnikowi Adama? Czy to ma być tylko pomnik dla poety, jako oddanie hołdu mistrzowi pióra, czy też nietylko dla poety, ale dla najwybitniejszego reprezentanta idei narodowej po r. 1831. Okoliczności nie pozwoliły nam mieć w ostatniej epoce wielkich wodzów i mężów stanu, ztąd poetom przypadło w udziale nieść sztandar narodowy, zagrzewać do wytrwałości, do walki duchowej, uczyć całe pokolenia miłości ojczyzny. Adam stał na ich czele, ztąd większa mu cześć i sława,

---

przy ulicy Gertrudy, o czem przedwczoraj donieśliśmy, woda stanęła na pół metra wysokości w suterynach zamieszkanych. Jak się dowiadujemy, katastrofa wywołaną została przez niestosowanie się przy zakładaniu fundamentów domu do przepisów policyjno budowniczych, skutkiem czego nawet magistrat nie zezwolił na zamieszkanie owych suteryn. Przeciw winnym została wzniesioną skarga na drodze sądowej.

Wianki. Celem urządzenia uroczystego obchodu „Wianków“ zawiązał się jak w roku zeszłym z inicyatywy Towarzystwa muzycznego krakowskiego komitet, który wszelkich starań dołoży, aby uroczystość ta, oparta na zwyczaju narodowym, jak najświetniej wypaść mogła.

Zależy to jednak w znacznej części nie od komitetu samego, lecz od udziału mieszkańców Krakowa tak w składkach na uzyskanie potrzebnego funduszu, jak i w samem puszczaniu wianków.

Zanim ogłoszonym będzie program uroczystości, komitet upraszając niniejszem o jak najliczniejsze składki oznajmia, że datki przyjmują instytucye i handle, w których znajdują się umyślnie w tym celu sporządzone i stampilą Towarzystwa muzycznego opatrzone listy składek oraz napis: „tu się przyjmuje składki na wianki.“

W Krakowie dnia 12 czerwca 1883 r.

Przewodniczący w komitecie Juliusz Kossak, zastępca przewodniczącego Ludwik Zawiłowski. Członkowie komitetu: Dr. Leon Cyfrowicz, Wincenty Eminowicz, Walery Gadomski, Teodor Gaydzicz, Franciszek Kröbl, Franciszek Lorenz, Ludwik Marynowski, hr. Sobiesław Mieroszowski, Adam Miłaszewski, Janusz Niedziałkowski, Stanisław Niedzielski, Tadeusz Romanowicz, Bronisław Ryx, Stanisław Serkowski, Artur Stein. Emil Szwarz, Maurycy Tlachna, Piotr Umiński.

Germanizacya. Młyn amerykański w Wadowicach używa, jak nam donoszą, niemieckich napisów i prowadzi manipulacyą po niemiecku, choć cała jego klientela jest polską. Co do napisów, oto corpus delicti: *J. Israelis Söhne, Amerikanische Kunstmühle Wadowice.*

Repertoar teatralny.

Czwartek 14 czerwca: „Trzpiot“, komedya Barcia.

Sobota 16 czerwca: „Frou-Frou“ pp. Mel-

nowne mianowanie dotychczasowego marszałka było aktem, wskazanym przez zdro-

dział krajowy w roku zeszłym wystąpił przed Sejmem z propozycyą składu Rady

Zdaniem *Kuryera*, do którego w całości się przyłączamy, nominacya p. Kowalskiego byłaby w wy-

warsztaty butwieją po strychach i po komorach, a na naukę tkactwa nikt tutaj już nie oddaje synów.

zabrali się do założenia biblioteki dla ludu przy szkole i własnemi składkami zgromadzili około

DRUGA MIŁOŚĆ.

2) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

— Kochany, kochany panie Bonifacy! (i ucałował go w lewy faworyt). Jakieś ty mnie ucieszył! (i ucałował go w prawy faworyt). Co za niespodzianka! prawdziwie ... nieskończenie ci wdzięczny jestem... taki to zaszczyt prawdziwy... wierzaj mi, prawdziwie... że ja sam nie wiem...

— A więc zgoda? już skończone? — bąknął *sotto voce* p. Bonifacy. Zawsze mówił on *sotto voce*, jak pewien barytonista ówczesnej lwowskiej opery, zachwalony przez przez pewnego recenzenta z tego właśnie powodu w pewnym lwowskim dzienniku.

Pan Błażej przestępywał z nogi na nogę, jakby chciał uciekać, a nie wiedział w którą stronę. Poruszał ustami, jakby chciał mówić, a nie wiedział co.

— A więc zgoda — powtórzył p. Bonifacy.

— No, co do mnie, oczywiście!... ale jeszcze moja żona... bo to taka niespodzianka! a to przecie zawsze matka, to i ona ma głos... a to kobiety, kobiety! one zawsze mają swe widzimisię... no! ale ona się zgodzi, jestem tego pewny... oho, z radością.

— To ja pomówię z jejmością — szepnął pan Bonifacy.

— O nie! nie!... Widzisz, to lepiej, abym ja sam wprzódy z nią pomówił.... Trzeba ją przygotować przecież... bo to widzisz, ona — nie wiem czy wiesz — miała projekt....

— Za Ucewicza? — dokończył zwykłym szeptem pan Bonifacy. I dodał: Przecież mój syn będzie miał więcej. Wielkie rzeczy: Ucewicz! Ucewicz! Kamieniczka na Żółkiewskiem i dworek na Bajkach... a mój syn....

— Ale wiem! wiem! — przerwał pan Błażej, całując go w oba faworyty po kolei. To pod tym względem nie ma porównania... ale...

— I ładny chłopak przecie jakich mało! — siląc się na dobitną wymowę, szepnął pan Bonifacy. Dwadzieścia sześć lat — a Ucewicz już za stary dla twej córki, ma około czterdziestki — szpak i z łysiną....

— Prawda! prawda!

— Chłopak mój się ustatkuje, jak się ożeni— już ja ręczę za to, ja!

— Ale ja nie wątpię! przecież już czas!... No, ale bo widzisz, kochany panie Bonifacy, to tak prędko nie można — bo ja nie chciałbym gwałcić woli mojej córki....

— Dla czego? — szepnął ojciec konkurenta.

— No... przecieżbyś sam nie chciał, aby szła za twego syna z przymusu, a bez przywiązania.

— Dla czego? — zapytał raz jeszcze z nieudanem zdziwieniem.

Pan Błażej nie umiał na to nieprzewidziane pytanie zformułować odpowiedzi. Uwolnił go od tego kłopotu pan Bonifacy i po chwili namysłu dodał: Ona się przywiąże... potem.

— Niech się lepiej poznają... zauważał pan Błażej.

— Po ślubie—zakonkludował Bonifacy i wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Ee, lepiej p r z e d ślubem — argumentował Błażej.

— Przeeed? — zadziwił się Bonifacy.

— Niech twój syn u nas bywa, no, choćby codzień—to się lepiej poznają i pokochają. Przecież twój syn musi się każdej pannie podobać— taki przystojny! Każdaby poszła za niego, aj! z pocałowaniem ręki.... No, ale to czasu potrzeba na to, czasu... Młodzi, to nie tak jak my, kochany panie Bonifacy, oni się tak prędko nie decydują: szust! i koniec. Dzisiejsza młodzież nie tak gorąco kąpana, jak my byli za młodu.—Oni tacy młodzi! mogą jeszcze trochę poczekać.... Wierz mi panie Bonifacy! kochany!

— Nie — szepnął niemiłosiernie oschłym tonem lichwiarz. — Oni się już rok znają a z tego, co mi syn mówi, widzę, że panna stroi ceregiele. Ja jutro przyjdę po odpowiedź.

I chwycił za kapelusz.

— Pojutrze! prosił gospodarz.

— Jutro! — odszepnął i podawszy końce palców panu Błażejowi, zabierał się do odejścia. Zatrzymał się jednak jeszcze i trzymając rękę na klamce drzwi, dodał: — A ja się odmownej, ani odraczającej odpowiedzi nie spodziewam. Przecież dałem ci tyle i daję ciągle tyle dowodów przyjaźni... z moją oczywiście stratą, że już, choćby przez wdzięczność powinieneś... Bywaj zdrów.

I wyszedł.

Rozmyślał nad tem nazajutrz przez cały ranek pan Błażej i... grał na drumli.

Marcelek był w samej rzeczy ślicznym chłopcem i mógł się dziewczętom podobać. Nietylko urody nieposkąpiła mu matka natury, ale i głos miał sympatyczny i pięknemi słowkami umiał trafiać do serc panieńskich; nie brakło mu nigdy romantycznego frazesu, a wygłaszał je z deklamacyą pierwszego amanta najlepszej sceny polskiej: przysiągłbyś, że się unosi i zapala najszlachetniejszym płomieniem najstalszej miłości w świecie. Czy to było zmyślenie? Było i nie było. Było o tyle, że czasem w dwóch pannach równocześnie się kochał i obie tą samą muzyką słodkich słówek kołysał i obie bałamucił i z żadną się nie ożenił i obie w końcu porzucił, Ale, gdy która zbałamucić się nie dała, pokochała kogo innego i za mąż poszła, wtedy Marcelek cierpiał naprawdę wszystkie męki wzgardzonego kochanka. Cierpiał — a więc kochał na prawdę: wszak powiedział któryś z naszych poetów, że cierpieć a kochać — to jedno.

A panna Elżusia? czy podobał się jej gładki kawaler? czy przychlebne jego frazesy znalazły odgłos w jej sercu?... Tak i nie. Poczciwe dziewczę oddało serduszko swoje dalekiemu krewnemu, zacnemu panu Teodorowi, człowiekowi już blisko czterdziestoletniemu, który urodą, ani wymową ująć jej nie mógł dla siebie. Ujęła ją jego pełna energii męzka postać, jego serdeczna dla rodziny przyjaźń, wspomnienia lat dziecięcych i stateczne jego od lat kilku, od powrotu z zagranicy, do niej przywiązanie. Czuła ona, jak ten człowiek ją kocha całą duszą i że, jeśli ona go nie zechce, to on już innej nie pokocha pewnie.

A jednak ile razy przyszedł z wizytą pan Marceli, a zdarzało się to co najmniej trzy lub cztery razy na tydzień, niekiedy częściej, choć tupnęła nóżką z gniewu, że wedle rozkazu ojca będzie musiała wyjść do salonu i „być z nim grzeczną“, jednak pochlebiały jej próżności te stałe jego zabiegi, którychby niejedna pozazdrościła jej rówiennica. Inne porzucał po kilku miesiącach konkurów, do niej smali cholewki już blisko rok.

Ilekroć znaleźli się gdzie sam-na-sam, a umiał pan Marceli zręcznemi manewrami dość często zdobywać sobie takie do swobodnego wynurzenia swych afektów sposobności, rumieniła się z gniewem Elżusia. On jednak z takim artyzmem wszczął wtedy zwykle nienawistne jej wynurzenia, tak ją magnetyzował drżącym od wzruszenia głosem, że mimowoli musiała słuchać i poddać się wreszcie tajemnemu działaniu magnetycznego jego spojrzenia, tych czarnych romansowych oczu, z których dziwne jakieś na twarz jego biły promienie. Rumieniła się, ale już nie z gniewu; sama nie wiedziała czemu, ale to już czuła, że jej miło słuchać tych oświadczeń i rozpacznych tych skarg po każdej odmownej z jej strony odpowiedzi.

I szczerem a nie bez współczucia wyrzeczonem było to słówko: „Wierzę!“, które Marcelkowi dostało się w odpowiedzi na jego rozpaczny wykrzyknik:

— Gdybym nieszczęsny choć tę miał pociechę, że pani wiesz, ile cierpię! że nie masz tego, co mówię, za niegodne aktorstwo! że mi pani wierzysz!

— Wierzę! — odrzekła i podała mu przyjaźnie rękę. Uzyskawszy w ten sposób to słówko „wierzę!“ chciał pan Marceli domagać się odrobiny "współczucia“, następnie paktu „przyjaźni“, skonstatować wreszcie wspólnie „pokrewieństwo dusz“, coby mu dało prawo żądania uczucia „siostry dla brata“ itd. itd. Strategia jak świat stara: uzyskawszy w i a r ę, wyżebrze się n a d z i e j ę, a m i ł o ś ć sama się wtedy zjawia. Niestety w tym wypadku strategiczne plany pana Marcelego udaremnione zostały. Rozmowę o „współczuciu“ przerwało wejście matki, czy ojca panny Elżusi — a przerwana taka rozmowa nie da się już łatwo nawiązać przy następnem spotkaniu. Czy może nie dość zręcznym był pan Marceli, czy więcej na baczności miała się panna Elżbieta, nie wiemy.

Oprócz tych strategicznych forteli doświadczonego w miłosnych imprezach bohatera, zmuszone było wytrzymywać codzienny szturm i nieprzerwane oblężenie serduszko panny Elżusi jeszcze ze strony panny Celiny, siostry pana Marcelego. Panna Celinka, ułomna, bo kulejąca na prawą nóżkę, o tyle była nieładną, o ile przystojnym był jej brat. Biedne, słabowite dziewczę, bez nadziei wyjścia zamąż, wszelkie skarby uczucia złożyło w siostrzanem do brata przywiązaniu i nadludzkie czyniło wysilenia, aby mu zjednać serce Elżusi. Czy jej się powiedzie? Obaczymy.

A pan Teodor? Nakreśliliśmy już kilkoma słowami portret pana Teodora i tuszymy, że mimo lat blisko czterdziestu, nieszczególnej urody i łysinki na głowie i szpakowatej brody, dość się sympatycznie postać jego zarysowała w pamięci szanownych czytelniczek. Właściciel kamieniczki na Żółkiewskiem i dworku „na Bajkach“, które to posiadłości przed kilkoma laty odziedziczył po swoim stryjaszku, pan Teodor Ucewicz jest oprócz tego podrzędnym urzędnikiem przy jednym z lwowskich banków, a aspiruje o posadę lepiej płatną tem goręcej, iż od uzyskania jej zależy możność uzyskania także ręki ukochanego dziew-

postanowimy, dokąd je wysyłać.

Bracia Rusini całej Galicyi! I wy

czy jest ich tam 9, czy 48, zawsze będą w mniejszości. Sama ordynacya wyborcza zapewnia Pola-

że był on przeciwny „polityce drażnienia i ukłuć szpilkowych“ i samo stwierdza potrzębę przeprowadzenia pojednawczych planów zmarłego.“ Albedyński nie długo urzędował w Królestwie polskiem, zaledwie trzy lata, a już w pierwszym roku obiegały pogłoski o wypracowanych przez niego projektach reform i o przedstawieniu takowych pod rozpoznanie sfer decydujących. Nieporządki w Rosyi nie zezwoliły zapewne na urzeczywistnienie się owego programu reform w pierwszej chwili, ale dziś, gdy uroczystości koronacyjne przekonały, iż nastała doba spokojnej pracy wewnętrznej należałoby zwrócić uwagę na memoryał zmarłego autora. Zarzuci kto może, powiada *Nowoje Wremja*, że zmieniły się czasy, że dziś kiedy Polacy podnieśli głowy i sami myślą o sobie, niestosowna jest chwila do wprowadzenia jakichkolwiek, choćby najskromniejszych reform. My nie podzielamy tego zdania. Reformy mogą i muszą być przeprowadzane równomiernie z surowem przestrzeganiem porządku; nawet ukrócanie choćby najdrobniejszych przekroczeń, nie powinno stawać na zawadzie wprowadzaniu ulepszeń i zmian, mających na celu zbliżenie Polski z Moskwą. Konieczność takiego postępowania, jasno wykazuje się z zestawienia obok siebie dwóch aktów monarszych: reskryptu do kuratora Apuchtina i późniejszego pisma do jenerała Albedyńskiego. Program w nich nakreślony, nie sprzeciwia się wcale wprowadzaniu pożądanych reform; śmierć zaś jenerała Albedyńskiego, daje sposobność zwrócenia uwagi na jego memoryał i projekta, dotyczące reform w zarządzie Nadwiślańskiego kraju“.

Przedwczoraj zamknięto sesyą parlamentu niemieckiego, który odbył 102 posiedzeń. Trzecie czytanie budżetu na rok 1884 i 85 szybkim odbyło się tempem. W żadnej jeszcze sesyi nie zachodziły tak gwałtowne sceny, najbardziej jednak sensacyjnym jest wypadkiem zupełne usunięcie się Benningsena, czem ks. kanclerz bardzo nieprzyjemnie ma być dotknięty. *Nordd. Allg. Ztg* przepowiada, że wskutek tego pretensye kościoła pójdą w górę.

nie nowego gimnazyum. chodzi przedewszystkiem o fundusze, któremi dysponuje Rada państwa.

P. Dobrzański w replice dał do zrozumienia, że udawanie się do delegacyi naszej najczęściej zawodzi, doświadczenie zaś poucza nas, że prośby wniesione wprost do korony, odnosiły skutek pożądany.

Merytoryczne załatwienie całej tej sprawy nastąpi później, a tymczasem uchwalił komitet na wniosek p. Simona, przekazać protest ks. Nowakowskiego komisyi finansowej do zbadania i zdania sprawy.

Wniosek większej doniosłości i znaczenia politycznego poruszył p. T. Kulczycki. Wiadomo, że wiedeńska rada miejska, składająca się wyłącznie z centralistów i naszych zaciętych wrogów politycznych, uchwaliła na „Kahlenbergu“ ustawić pomnik z napisem odnoszącym się do historycznego wypadku z d. 12 września 1683 r. Pominąwszy już tę okoliczność, że na tym napisie tylko mimochodem jest wzmianka o królu Janie III, dopuściła się wiedeńska rada miejska jeszcze rażącego fałszu, wspomina bowiem na tym napisie tylko o jakichś *polnische Hilfsvölker*, a ani słówkiem nie wspomina o wojskach polskich, których bohaterstwu zawdzięcza dzisiaj nietylko Wiedeń ale całe chrześciaństwo, iż nie jęczy pod jarzmem ottomańskiem. Imieniem komisyi historycznej wnosi tedy p. Kulczycki: „Komitet wystosuje przedstawienie do Rady stoł. m. Wiednia z prośbą o sprostowanie błędnego i z faktami historycznemi niezgodnego napisu“. Wiadomo dalej, że rząd (nb. „sprzyjający krajowi“) rozpisał konkurs artystyczny celem ustawienia pomnika w kościele św. Szczepana. Artyści przedłożyli szkice swych prac; z tych premiowano trzy szkice a jeden z nich zostanie niewątpliwie wykonany i jako monument ustawiony w kościele. Na wszystkich premiowanych i niepremiowanych szkicach, wykonanych przez artystów niemieckich, ustawiono postać Sobieskiego (jeżeli jakieś *monstrum* w kozackiej czy tatarskiej czapce, Sobieskim nazwać można) na ostatnim planie, gdzieś w kącie, po za wszystkimi *Kurfürstami* i generałami. Takiego lekceważenia naszego bohater-

krajowych i kościelnych w bogatych strojach narodowych.

Dziś interesa i stosunki handlowe rzeźników zupełnie zaniemogły; tego roku czterech rzeźników sprzedało swoje kamienice, zabytki lepszych czasów, niektórzy wegetują tylko kredytem bankowym, kilku wreszcie jest na łasce i utrzymaniu cechu samego, oprócz bowiem nielitościwie wymierzonych podatków zarobkowego i dochodowego, wysokich opłat konsumcyjnych, wygórowanych czynszów z mieszkań, sklepów, jatek i wszelkich opłat w rzezalni, konkurencya ze stratą w dostawianiu mięsa dla wojska i szpitali krajowych, a co najbardziej domokrąstwo z mięsem, wprowadza do reszty rzeźników w najfatalniejsze położenie.

Domokrąstwo z mięsem sprzawia, iż niektórzy majstrowie i czeladnicy rzeźniczy krakowscy trudnią się nim pokątnie, robiąc własnym kolegom szkodliwą konkurencyę, a publiczności przynosi częstokroć szkodę.

Mięso dostarczane z Podgórza, Piasków-wielkich, Mogiły, Zwierzyńca, musi być tańszem od mięsa z bydła bitego w Krakowie z następujących przyczyn:

1) Rzeźnik poza Krakowem żyje taniej już o różnicę w podatku konsumcyjnym od wszystkich wiktuałów wprowadzonych.

2) Płaci mniejszy czynsz z mieszkania i z lokalów.

3) Płaci zaledwie piątą część podatków i dodatków jak w Krakowie.

2) Nie opłaca żadnych podatków gminnych i kwaterunkowych.

5) Nie opłaca należytości od rzezalni i wielu tym podobnych opłat.

6) Nie opłaca żadnych należytości do cechu na utrzymanie gospody cechowej, na utrzymanie starców, kalek i chorych.

7) Bije bydło sanitarnie nie oglądane, a sprzedaje częstokroć i mięso z padliny lub dobitego bydła.

Jeżeli się zważy, iż cech rzeźniczy jest dla miasta bardzo użytecznym, że członkowie tegoż nie są nigdy miastu ciężarem, należy go w granicach prawnych wziąć w opiekę, poprzeć i po

---

częcia. Taki mu bowiem postawili rodzice panny warunek, wiedząc, że szczupłe jego dzisiejsze dochody z obdłużonych realności i skromna pensyjka na utrzymanie przyzwoite żony wystarczyćby nie mogły. Kazano panu Teodorowi czekać, on czeka i wzdycha.

Ale teraz, co teraz uczyni po oświadczynach pana Bonifacego? Wie on już o nich i wie o decydującym powodzie, ktory może skłonić pana Błażeja do oddania swej jedynaczki panu Marcelkowi.

Biedny pan Teodor. Od rana chodzi w swoim pokoiku parterowym od dziedzińca przy ulicy Jagiellońskiej pod L... (nieparzystą), chodzi niecierpliwie od kąta do kąta i myśli, i wymyśleć nic nie może i serce mu się kraje.

Dziwni ci kochankowie — czterdziestoletni!

Dziwne te dni słoneczne u schyłku lata i w początku jesieni!

Gdy na wiosnę czasem zachmurzy się niebo i rzęsistym zapłacze deszczykiem, czy wtedy komu smutno? Czujemy wtedy wszyscy, że po tej słocie tem bujniej zazieleni się łąka, tem więcej z niej kwiatów wonnych podniesie główki uśmiechnione. Nie liczymy ulatujących dni pogodnych, bo wiemy, że ich jeszcze wiele przed nami. Nie czujemy ich ubytku, bogaci jesteśmy.

Ale gdy tych dni słonecznych już niewiele, gdy suchym liściem zaszeleści wietrzyk, niebo się zachmurzy i mgły jesienne snuć się zaczną po polach, gdy minie dzień słotny i drugi i trzeci, wtedy dziwny jakiś smutek osiada nam na sercu, żal jakiś ciężki. Czujemy, że słotny dzień każdy — to strata już niepowetowana. Czujemy, żeśmy postradali ostatnie słońca uśmiechy, i że zacznie się już jesień, dżdżysta, mglista, posępna zwiastunka zimy.

Tak i w sercu człowieka.

O wiośnie życia zawód w miłości okupić nam trzeba straszliwą burzą rozpaczy, burzą pełną błyskawic i piorunów, które jednak śmiertelnym rzadko bywają pociskiem, a po których najczęściej tem piękniejsza ku nam zaśmieje się pogoda. W miejsce róży, którą wicher nam złamie, tem piękniejszy nazajutrz rozkwitnie nam pączek w czarownym młodości ogrodzie.

Ale gdy wiosna przeminie, i lato przeminie, i czarowne kwiaty nadziei uwiędną, wtedy ostatni ten kwiatuszek, który ku nam obróci swą główkę, ostatni, który się nam uśmiechnie, droższy nam stokroć nad wszelkie róże widziane w życiu, więcej ma dla nas uroku i woń milszą nad wszystkie. Wietrzyk, który nim zakołysze, chmurka, która nad nim zawiśnie, pszczółka, która nad nim ulata — wszystko w nas budzi niepokój. Dzień chmurny i dżdżysty przeraża nas i nieutulonym napawa smutkiem... bo my wiemy, że tych dni pogodnych i tego kwiatu już tak dla nas niewiele. Jesień... jesień już bliska!

Tą tęsknotą jesieni tchnęły myśli i uczucia p. Teodora. Kochał tą miłością dojrzałego męża, niezdolną burzliwych uniesień, ale głęboką jak morze. W tem morzu całą zatonął duszą.

Czy pierwszy raz kochał w życiu?

Nie pytaj o to szanowna czytelniczko. A jeżeli kiedy w twem życiu, mężczyzna, którego włosy srebrem już zaczynają połyskać, powie ci, że cię kocha, i że tyś pierwszą jego miłością...—nie wierz mu. On albo kłamstwem chce zdobyć twe serce, albo i ciebie wcale nie kocha, skoro w wieku wiosennych uniesień nikogo nie był zdolny pokochać.

Miłość dla Żusi, nie była pierwszą Teodora miłością. Kochał on, kochał już raz całą namiętnością młodocianych uczuć, ale kochał raz jedyny w życiu.

Marylka było jej na imię. (C. d. n.)

zgody.

Czyż przeto zgoda możliwą nie jest?

nej, najpilniejszą w Galicyi jest sprawa szkolna z powodu zgrozą przejmującego stanu oświaty,

najdokładniej przedstawiać powierzchnię i objętość izb szkolnych, wysokość i szerokość okien,

to nie zadziwia; albowiem pominąwszy nawet powszechną między Niemcami liberałami w Au-

---

DRUGA MIŁOŚĆ.

3) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

Studentem był wówczas. Kochali się oboje, ale nie wyznali sobie miłości swojej. Nie potrzeba było wyznań: wiedzieli dobrze, że się kochają i nie wątpił o tem kto ich widział razem. Oboje byli biedni, oboje marzyli o dalekiej, dalekiej przyszłości, która ich kiedyś połączy. I wierzyli oboje, że będą sobie wierni. I mówili z sobą często o przyszłości, ale tylko o j e g o przyszłości: o ukończeniu nauk, o zdobyciu stanowiska i kawałka chleba. I mówiąc o tem z sobą, poczciwie patrzali sobie w oczy i rozumieli się dobrze. Czasem ścisnęły się ich ręce przy tej rozmowie, czasem ona skraśniała na twarzy.... I to wszystko.

Aż przyszedł dzień rozłąki. Niespodzianie przyszedł. Burzliwy to był dzień. Gwałtowny wicher miotał liśćmi drzew, zrywał je i unosił daleko.— Po latach wielu, gdy przypomniał Teodor tę chwilę, zdawało mu się, że jeszcze słyszy ten szum wichru i w tym szumie głosy towarzyszy, z którymi wybierał się w drogę i płacz serdeczny Marylki pierwszy i ostatni. Zdawało mu się, że czuje na ustach swoich jej łzy i całus pożegnalny...

Daleko go losy zaniosły. I rzadko tylko skąpe w obczyznie dolatywały go wieści z domu, pozdrowienia od rodziny, od przyjaciół, znajomych i... Marylki.

I mijał rok za rokiem. Kochał, tęsknił, pracował. Ale po kilku latach niepokój jakiś zaczął rosnąć w jego sercu: zdobył się na odwagę, napisał do niej list. Wysławszy go, sam się przeląkł śmiałości swojej. Ale niedługo czekał na odpowiedź. Każde słowo jej listu anielską w jego duszy zagrało muzyką. Czuł się najszczęśliwszym z ludzi.

Trzy lata trwało to szczęście. Po trzech latach listy dochodzić przestały.

Z dniem każdym rosła jego obawa o jej zdrowie, o życie. Pisał list za listem — napróżno.

A potem nadeszła dlań chwila wielkiej boleści: doszła go wieść, cięższa stokroć, niżby nią była wieść o jej zamążpójściu, albo o jej śmierci....

Wolałby był, aby była umarła. Byłby mógł czcić jej pamięć i kochać umarłą.

A on nią pogardzić musiał.

Taką była pierwsza jego miłość.

Zgasła ona — ale bol po niej długo w sercu jego pozostał i jakimś smutkiem powlókł jego myśli na zawsze.

Mijały lata — i zdawało się, że zahartowane ciężkiemi życia kolejami serce, niezdolne już pokochać kobiety.

Gdy po śmierci swego stryja, odziedziczywszy kamienicę i dworek we Lwowie, wrócił z zagranicy, nie zapytał nikogo o Marylkę. Obawiał się długo, aby jej nie spotkać. Przyspieszał kroku, gdy mu się zdawało, że podobna koło niego przesunęła się postać. Obawy były płonne. Wypadkiem dowiedział się wreszcie pewnego razu, że Marylka od kilku lat już nie żyje. Wieść ta przejęła go tak bolesnem uczuciem, jakby śmierć jej wszelkie zmazała przewiny. On ją jeszcze kochał.

Taką była p i e r w s z a jego miłość. Gorycz po niej została, zwątpienie i apatya.

Trzeba było Elżusi, aby rozbudzić życie w jego zmartwiałem sercu. Pokochał ją d r u g ą miłością — a kochał tak, jak się kocha ostatnią w życiu nadzieję.

Ale poznamy go bliżej w rozdziale drugim.

III.

Rozdział trzeci. — A gdzież rozdział drugi? —

Opuściliśmy go, szanowny czytelniku, a winniśmy teraz na początku trzeciego usprawiedliwić ten niezwykły w powieściopisarstwie postępek. — Otóż, domyślisz się może przyczyny tej luki w naszem opowiadaniu, gdy ci podamy w krótkości treść opuszczonego rozdziału.

Pierwsza część jego zawierała dwugodzinną rozprawę pana Teodora z Ickiem Buttergold, bardzo nudną a interesów pieniężnych dotyczącą. Druga część zawiera szczegółowy opis ich bytności w domu narożnym od Rynku i ulicy Trybunalskiej, w kancelaryi notaryalnej pana Franciszka Wolskiego, oraz układania, spisywania i podpisywania kontraktu kupna i sprzedaży. Ta także niezbyt zabawna. — Z trzeciej i ostatniej wreszcie części rozdziału II dowiedziałbyś się czytelniku, że pan Teodor sprzedawszy kamieniczkę na Żółkiewskiem i obciążywszy długiem nowym swój dworek „na Bajkach“, dostał do ręki gotówkę i poniósł ją niezwłocznie na ulicę Sykstuską do domu przynarożnego na drugie piętro od frontu. Mieszkał tam p. Bonifacy.

Po co tam zaniósł ową sumkę p. Teodor, domyślicie się z łatwością szanowni czytelnicy, gdy wam powiem, że po jego odejściu szepnął pan Bonifacy sam do siebie:

— Masz babo redutę! Nie ma już po co iść do Błażeja! Kiedy zapłacił — i to przez Ucewicza, to już córki nie da... Ale do diaska, radbym wiedział, zkąd on wziął pieniądze!...

Tymczasem zakochany po uszy Marcelek, niewiedząc co się święci, pewnym był pomyślnego skutku swoich konkurów i myślał o wyekwipowaniu się i o prezencie ślubnym Poczynił już nawet przedwstępne do tych obstalunków kroki. Poczem udał się do szanownego swego rodzica.

A tu — gdyby mi pan Lam pożyczył swego pióra — nakreśliłbym arcykomiczną scenę między ojcem i synem, w której ten ostatni żąda pieniężnego zasiłku i nie tylko spotyka się z odpowiedzią odmowną, ale nadto dowiaduje się o niespodziewanym obrocie rzeczy, że nie dostanie ani pieniędzy ani panny.

Pan Lam pożyczyć mi swego pióra nie chce. I tę zatem scenę zmuszony jestem opuścić. Wracam do państwa Błażejowstwa.

Pani Błażejowa płacze, panna Elżusia płacze, pan Błażej gra na drumli...

Nie ma rady! Czuje to pan Błażej, czuje pani Błażejowa, czuje to Elżusia.

A pani Błażejowej sto razy na myśl nasunęła się ciocia Kundzia: gdyby jeszcze do niej się udać, gdyby ją o pomoc poprosić?... Ale nie, to nadaremne! Ciocia Kundzia ma wprawdzie ładny folwareczek w rzeszowskiem a oni jedyni jej krewni. Ale ciocia Kundzia taka skąpa! Udawali się już do niej kilka razy dawniej, będąc w trudnem położeniu, a nigdy im pomódz nie chciała, choćby to bez wielkiej ofiary mogła była uczynić. Zbija grosz do grosza i kiedyś to się może dostanie Elżusi — ale kiedy? Nim słońce zabłyśnie, rosa oczy wyje. Wspomniała nawet raz coś o swoim testamencie, pokazując Elżusi swoje brylantowe kulczyki. Kto wie, może tylko te kulczyki jej zapisze a resztę zabiorą jezuici, którzy już się podobno wkręcili w jej zaufanie. Nie ma co liczyć na ciocię Kundzię: Elżusia musi pójść za mąż, wbrew swemu sercu, za tego Marcelka!

A Elżusia płacze i patrzy z ciężkim wyrzutem na swoich rodziców. którzy takiej od niej wymagają ofiary. Ach, czemuż jej ojciec nie wydał za Teodora, gdy się przed rokiem oświadczył o jej rękę! Czemuż mu postawił warunek uzyskania lepszej posady! Onaby chętnie z nim poprzestała na najskromniejszem utrzymaniu, na suchym kawałku chleba. Pracowałaby, szyłaby na maszynie, dawałaby lekcye muzyki — i byłaby szczęśliwszą, niż w dostatkach, które ją czekają. jako panią Marcelową. Ach, czemuż jej ojciec przed rokiem nie wydał! Teraz już zapóźno, teraz stać się musi ofiarą ojcowskiego długu! Biedna ona, biedny pan Teodor!

Nie ma rady!

A w bramę domu wszedł tymczasem z rozpromienioną twarzą p. Ucewicz. Twarz miał rozpromienioną, jak każdy poczciwy człowiek, który zacny jakiś spełni czyn i ocali ukochanych swoich od grożącego im nieszczęścia.

Ale nie, nie tylko zadowolenie z pięknego czynu malowało się na twarzy p. Teodora. Malowało się na niej jeszcze coś więcej... Powiedzieliśmy „coś więcej“, a może należało powiedzieć: c o ś m n i e j. Nie mogła uszczęśliwiać p. Teodora świadomość poświęcenia na jakie się zdobył, bo wykupienie rodziny pana Błażeja z niewoli pana Bonifacego nie było poświęceniem: nie dla nich on to zrobił, ale najegoistyczniej dla siebie samego; onby stokroć wolał wszystko oddać, co miał, i życie własne oddać, niż widzieć Elżusię żoną nienawistnego rywala.

Szybko wbiegł w bramę, aby powiedzieć strapionym przyjaciołom: nie martwcie się, nie płaczcie, jesteście wolni, wyswobodziłem was... i siebie samego. Nic za to nie żądam — tylko tyle, aby Elżusia nie była zmuszoną iść za mąż wbrew własnej woli. Nie żądam wdzięczności, bom ja sowicie już wynagrodzony tą myślą. żem ją wybawił z niewoli. Moją być już teraz nie może, bo już teraz na prawdę nie starczy mi majątku na zaspokojenie choćby najskromniejszych potrzeb. Nawet prosić teraz nie mogę: „czekajcie, póki nie zdobędę jakiego stanowiska i lepszej posady“. Nie godziłoby się teraz prosić o to, bom ja ich wierzyciel. Nie mogę przecież korzystać z tego stosunku, jak chciał korzystać pan Bonifacy.

Biegł po schodach pan Teodor i myślał: Powiem im tylko tyle — „jesteście wolni! zapłaciłem wasz dług!...“ Tak! ale to będzie tak brzmieć, jakbym im chciał powiedzieć: Teraz ja wierzycielem waszym!...

I zatrzymał się w połowie piętra

— Nie, ja do nich pójść nie mogę... Ja im tego sam nie mogę powiedzieć. Wszak się oni i tak o tem dowiedzą!... Ach, jakżeby mi to miło było uwiadomić ich o tem samemu i świadkiem być tej niespodzianki... Jakiemiż ślicznemi oczyma spojrzałaby na mnie Elżusia! O, ona mnie

interesów kraju całego.

W tej samej sprawie donoszą z Pragi do *N. Wien. Tagblatt*, że czescy przywódcy noszą się

Tymczasem jak donosi berliński korespondent do *Frankfr. Ztng.* motywa Bennigsena były zupełnie inne. Jeszcze w poniedziałek przeszłego tygodnia Bennigsen był tak stanowczo prze-

aby nie tracić czasu na układach z A l b a ń c z y k a m i, lecz dać im krótki termin do zupełnego poddania się, a po bezskutecznym jego upływie, powstanie stłumić bronią.

Wien. Allg. Ztng. dowiaduje się z Skuturi, że H a f i s basza przybył z wojskiem pod Tuzi, dla dania odsieczy obsadzonym przez powstańców wojskom tureckim. Spodziewają się, że sporny obszar Czarnogóry wkrótce się podda, gdyż Albańczykom zaczyna brakować amunicyi i kierownictwa. Szpitale wojskowe przepełnione rannymi. Telegramy są ściśle cenzurowane.

Sprawy miejskie.

***Kraków**, 15 czerwca.*

Posiedzenie Rady miejskiej odbyło się wczoraj pod przewodnictwem prezydenta miasta, dra W e i g l a, w celu załatwienia spraw zaległych z ostatniego posiedzenia.

Przed rozpoczęciem obrad zabrał głos r. m. dr. Faustyn J a k u b o w s k i i w dłuższem przemówieniu skreślił dotychczasową skuteczną działalność marszałka, dra. Zyblikiewicza w dwóch kierunkach, mianowicie: na polu oświaty, tudzież rozwoju ekonomicznego kraju i przedstawił następujący wniosek naglący: Najjaśniejszy monarcha raczył powtórnie zamianować dra Mikołaja Z y b l i k i e w i c z a marszałkiem krajowym.

Nominacya ta w obec licznych i rzetelnych zasług, jakie marszałek krajowy położył dla kraju, prawdziwą wszędzie wywołuje radość. O wiele większą być ona musi w naszym grodzie, któremu przez tyle lat tak dzielnie przewodniczył i do którego zawsze jest serdecznie przywiązanym. Rada miasta uchwala przeto: Wyrazić panu marszałkowi krajowemu, dr. Mikołajowi Zyblikiewiczowi, z powodu jego powtórnej nominacyi szczerą swą radość i serdeczne życzenia.

Wniosek ten podpisany przez wszystkich obecnych radców został przez aklamacyę przyjęty. Prezydent oznajmił, że zaraz po otrzymaniu wiadomości o powtórnem zamianowaniu dra Zyblikiewicza marszałkiem, udał się do niego do ho-

ostatniem posiedzeniu w sprawie konsensów szynkowych. Z odpowiedzi tej wynika, że w ostatnich trzech latach orzekł magistrat przeciw trzem dzierżawcom konsensów utratę prawa wykonywania tego przemysłu. Konsens przez to jednak żaden nie ubył. Co do ograniczenia konsensów do pewnego maximum, jakie miało być ustanowione za prezydenta Dietla, to magistrat oświadcza, iż takiej uchwały w protokołach Rady nie znaleziono. Przemysł szynkowy jest obecnie w następujący sposób wykonywany:

W rękach dzierżawców jest 6 konsensów na oberże, 65 na traktyernie, 1 szynk w handlu, 49 szynków wódczanych, 1 szynk miodu, 3 szynki piwa, 9 konsensów na szynk piwa własnego wyrobu, 31 kawiarń. W ręku zaś właścicieli konsensów są: 13 oberż, 24 traktyerń, 29 wyszynków w handlach, 16 szynków ord., 9 cukierń, 16 winiarń, 4 szynki miodu, 10 szynków piwa, 31 kawiarń. Ogółem 152 właścicieli konsensów prowadzi osobiście proceder, 165 zaś konsensów jest w ręku dzierżawców.

R. m. C h r z a n o w s k i oświadcza, że uchwała Rady stanowiąca *maximum* szynków istnieje i przedstawi ją na następnem posiedzeniu, a nadto żąda, aby w razie dopuszczania się jakiego przekroczenia szynkowego przez dzierżawcę był odpowiedzialny także właściciel konsensu.

Z porządku dziennego przedstawił r. m. dr. D o m a ń s k i sprawozdanie połączonych sekcyj ekonomicznej, skarbowej i komisyi sanitarnej w sprawie c z y s z c z e n i a d o ł ó w k l o a c z n y c h, k a n a ł ó w i ś l u z w m i e ś c i e K r a k o w i e z następującemi wnioskami: 1) czyszczenie dołów kloacznych, śluz i kanałów, o ile to w tych dwóch ostatnich przypadkach jest możliwe, odbywać się będzie sposobem pneumatycznym; 2) doły kloaczne będą w przyszłości równie jak śluzy i kanały czyszczone kosztem miasta; 3) postanowienia te wchodzą w życie najdalej z dniem 1 stycznia 1884; 4) wzywa się magistrat, aby wypracował i przedstawił w ciągu dwóch miesięcy projekt wywozu śmieci i popiołu z miasta.

Wnioski te przyjęła Rada bez rozpraw.

R. m. dr. Faustyn J a k u b o w s k i przedstawił do uchwały projekt instrukcyi dla rewidenta

W sprawie pomnika Mickiewicza coraz ciekawsze wychodzą na jaw rzeczy. Otóż jakaś „poważna strona“ skarży się w pewnem pisemku, że radcy Rzewuskiemu pozostawił komitet t y l k o trzy tygodnie czasu na przedłożenie projektu uregulowania poleconego przezeń placu. Jakto? więc wnioskodawca nie zbadał wprzód tej kwestyi dokładnie i nie jest w stanie w przeciągu trzech tygodni przygotować projektu uregulowania? Nam się zdaje, że kto z podobnym wnioskiem występuje, powinien z góry być przygotowany i bardzo ładnie podziękować, jeżeli mu trzy tygodnie czasu pozostawią do tego, z czem już przyjść powinien.

Taż sama „poważna strona“ zapewnia, że jeden z „najzasłużeńszych mężów“ oświadczył się za placem między budynkami niwersyteckiemi, ponieważ dawniej młodzież uniwersytecka czytywała dzieła Mickiewicza ukradkiem, a jeżeli teraz nie skorzystamy, to mogą zmienić się czasy i nie będziemy mogli postawić pomnika przy uniwersytecie. Ależ „najzasłużeńszy mąż“ zapomniał, że nietylko młodzież, ale cały naród czytał Mickiewicza „ukradkiem“ i że ogół ani w dzisiejszych, ani w „minionych czasach“ nie chce pomnika w miejscu nieodpowiedniem.

Najzabawniej jednak wygląda artykuł i plan sytuacyjny, nadesłany *Kuryerowi Warszawskiemu* przez jednego z „członków“ komitetu, który, jak się pokazuje, nie wie zupełnie o co chodzi i za czem chce głosować. Podaje on do wiadomości ogółu projekt p i e r w o t n y radcy Rzewuskiego, który przez samego wnioskodawcę został cofnięty i nad którym już nawet dyskusyi być nie może. Dobrych ma ten projekt popieraczy, jeżeli sami nie wiedzą co popierają. Wesołe!

Z Towarzystwa strzeleckiego. Pojutrze jako w pierwszą niedzielę po uroczystości obioru króla kurkowego odbywać się będzie na strzelnicy — jak chce zwyczaj — współubieganie się członków Tow. o medal.

Bezpieczeństwo publiczne. Wczoraj wieczorem o godz. $11^1/_2$ pani X. wracająca do domu z swym służącym, została napadniętą na plantacyach w kółku na przejściu między ulicą Wiślną a ulicą Straszewskiego przez dwóch włóczęgów, którzy szli za nią od Rynku, domagając się natarczywie jałmużny.

---

kocha; nie powiedziała mi tego nigdy, ale ja czuję, że ona mnie kocha! A ten stary poczciwiec ucałowałby mnie po swojemu... a matka — poczciwe kobiecisko — spłakałaby się z rozczulenia i w dowód wielkiej łaski, zarazby mnie swoim zwyczajem poczęstowała konfiturami własnej roboty... Ale nie, nie, nie wypada, abym ja im sam o tem powiedział; toby wyglądało, jakbym im chciał rzec: no, teraz czy chcecie, czy nie chcecie, musicie oddać mi Elżusię... Nie, nie....

I oparty o poręcz schodów, dumał niezdecydowany: iść, czy nie iść?

— Czyż mi nie dość szczęścia. żem ją oswobodził!

I westchnąwszy począł schodzić na dół. — —

W sieniach minął się z listonoszem. — Listonosz zadzwonił do mieszkania pp. Błażejowstwa i oddał list odresowany do pani Błażejowej.

List z stemplem poczty Rzeszowskiej, był tej treści:

„*Wielmożna Pani!*

„Niech się WPani nie boi, ale muszę WPanią przygotować pomału do bardzo smutnej wiadości. Jak Pan Bóg wszechmocny ze świętą Opatrznością postanowi zabrać kogo do swojej wiekuistej chwały, to już musi stać się przenajświętsza jego wola. Nieboszczka pani nic nie chorowała, ale wczoraj położyła się spać całkiem zdrowa po kolacyi a dzisiaj rano obudziła się już umarła na tamtym świecie; żeby jej Pan Bóg dał koronę niebieską. Proszę Wielmożnej pani mnie samemu żal, trudno, trzeba się z wolą świętą boską zgodzić. Pieniądze i obligacye pozamykałem do szafy, żeby ludzie nie rozkradli, bo to jak kto umrze to się różnie na świecie dzieje a ja za to odpowiadam jako ekonom. Niech Wielmożni Państwo przyjeżdżają, aby być na pogrzebie, bo ja wiem, że jak się znajdzie testament, to już pewnie tak jak nieboszczka pani mówiła. Jest tam napisano, żeby WPaństwo mnie wypłacili legat, za który mi Wielmożna pani Nieboszczka obiecała jeszcze za życia swego za moje dziesięć lat ciężkiej służby. Niech jej za to Pan Bóg wszechmocny z najświętszą Opatrznością da najdłuższe życie na tamtym świecie a po śmierci koronę niebieską Amen. Całuję rączki Wielmożnej Pani.“

Uniżony sługa
Mateusz Rzerzupkiewicz
dzesięcioletni ekonom Wielmożnej nieboszczki pani.

W połowie odczytywania hieroglifów p. Rzerzupkiewicza, wybuchnęła pani Błażejowa dziwnym jakimś płaczem.

— Co się stało? — zawołał przestraszony p. Błażej.

— Co mamie? — zawołała Elżusia.

A pani Błażejowa odrzekł przez łzy:

— Poczciwa ciocia Kundzia!

— Czy to od niej list?

— Nie; ale umarła — dodała pani Błażejowa z rozczuleniem.

— Umarła? zawołał równocześnie z Elżusią p. Błażej, ale (przebacz im zacna czytelniczko), ani ojciec ani córka nie wymówili tego wyrazu z tym smutkiem, z jakim to powinno było nastąpić wedle zasad przyjętych w cywilizowanym świecie. Wielką jest jednak u nas siła nawyknienia do tego co p r z y s t o i w towarzyskiem życiu, toż oboje usłyszawszy nawzajem swój wykrzyknik, poczuli niewłaściwość tonu, z jakim się im tenże mimowolnie z piersi wydobył i chcąc zadość uczynić prawidłom przyzwoitości, powtórzyli raz jeszcze ten sam wyraz na nutę żałobną:

— Umarła!...

— Umarła! potwierdziła raz jeszcze pani Błażejowa. (C. d. n.)

dzeniu szkół miejskich i wiejskich elementarnych z dnia 12 stycznia 1808 r. (p. Zbiór uchwał i

zarządu autonomicznego.
Dążeniom tym przeciwstawiały się wielkie tru-

zaprowadzenia potrzebnych dla handlu zbożowego ułatwień.

nister skarbu", że sprawozdaniem posejskiem, które jak zwykle więcej było mową agitacyjną

narodową polityką jest narzucanie wszystkim

DRUGA MIŁOŚĆ.

4) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

I znowu ojciec z córką, oboje, nie wiemy już czy właściwie, czy niewłaściwie, powtórzyli z rozrzewnieniem pierwsze słowa pani Błażejowej:

— Poczciwa ciocia Kundzia!

W samej rzeczy, ciocia Kundzia, która nigdy nie chciała im pomódz w kłopotliwem położeniu, nie mogła nic poczciwszego zrobić, jak przenieść się do wieczności, pozostawiając im swoje obligacye i swój folwarczek. Nie mogła stosowniejszej do tego obrać pory.

Czy tylko istotnie rozporządziła majątkiem na ich korzyść? Z listu ekonoma należy się tego spodziewać. Widocznie słyszał on coś od swej pani o osnowie jej testamentu i musi wiedzieć, że w testamencie uczyniła dla nich spory zapis, skoro bezzwłocznie po jej śmierci do nich się zgłasza.

— Trzeba tam pojechać mężu! dziś jeszcze!— zawołała przedsiębiorcza pani Błażejowa.

— Aha! pewnie że dziś! — potwierdził pan Błażej.

— Mamo! mamo! — zawołała Elźusia u kolan matki, całując jej ręce z uniesieniem — mamo! ja już teraz nie pójdę za pana Marcelego?

— Nie, dziecko, nie!

I z płaczem objęła jasnowłosą jej główkę pani Błażejowa, składając na niej gorące macierzyńskie pocałunki.

— Nie cieszcie się jeszcze — wtrącił pessymistycznie pan Błażej.—A jeśliby jezuitom wszystko zapisała?

— Ach Błażku! przecież choć tyle nam się dostanie, aby ten dług spłacić.

Pan Błażej grał na drumli: brm! brm!

— Brm! Brm!... W każdym razie odpowiezieć trzeba będzie Bonifacemu, że nic nie możemy teraz postanowić, bośmy zmartwieni śmiercią ciotki....

— Ależ Błażku! po co tego! powiedz mu odrazu, że mu nie damy Elźusi i koniec.

Pan Błażej niedowierzał snać jeszcze testamentowi, bo zaczął znowu grać na drumli.

Koniec końców wybrali się oboje starzy do miasta celem zrobienia przygotowań do podróży. Elżusię postanowili zostawić w domu na czas swej nieobecności we Lwowie, pod opieką dobrej znajomej, wdowy po profesorze gimnazyalnym, którą zamierzyli uprosić, aby na tych kilka dni sprowadziła się do ich mieszkania. Pociąg kolei odchodzi przed godziną piątą; o czwartej najpóźniej trzeba już wyjechać z domu. Rzecz wymaga pośpiechu; czasu mają niewiele.

Poszli, Elżusia zostawszy samą, otarła resztki łez i na przekor jej żalowi za „poczciwą ciocią Kundzią", twarz jej promieniała niezwykłem jakiemś szczęściem, czy niezwykłą szczęścia nadzieją. Przed oczyma jej duszy jawiły sie co chwila zacne i sympatyczne rysy pana Teodora „Jakże on się ucieszy, gdy się dowie, że już nam nic nie grozi!... Jeśli ja będę bogatą — to już wtedy przecież tatuńcio nie każe mu dłużej czekać!... Tatuńcio powie: ja nic nie mam przeciw temu, jeśli moja żona zezwoli.... A mama: ja się nie sprzeciwiam — ale spytaj pan Żusi.... I będzie się mama śmiać, śmiać, jak to powie— bo mama dobrze wie.... A on się wtedy obróci do mnie.... A ja? ja mu nic nie powiem, tylko nim słówko powie, obie mu ręce podam serdecznie.... Mój Boże! jakże on się ucieszy!...

I spojrzała do zwierciadła poprawiając włosów, wesoła, uśmiechnięta, szczęśliwa, urocza Chmurka jakaś przeleciała jej po czole: „A pan Marceli?... biedny pan Marceli!... Ee, dobrze mu tak!.... Ale mi go przecież żal. On mnie także szczerze kocha. Cóż on temu winien, że ja go nie chcę! Żal mi go. On będzie rozpaczać za mną.... Biedny! — żeby sobie tylko co złego nie zrobił, bo on gotów.... Taki szaleniec!"

IV.

W ciągu tego monologu panny Żusi, odezwał się u drzwi dzwonek. Maryna pobiegła otworzyć. I usłyszała Żusia następujący dyalog w przedpokoju:

— Są państwo? — zapytał dźwięczny głos męzki.

— *Ta, ino co* wyszli.

— Wyszli? — powtórzył chrapliwy głos panny Celiny. — A panienka jest?

— *Taże*, jest.

I pomijając formalność anonsowania się, weszła do pokoju panna Celina, a za nią jej braciszek.

Dość im było spojrzeć na pannę Żusię, aby się domyśleć, że wizyta ich była jej niezbyt pożądaną. Wybiegła naprzeciw wchodzącym, z tym wyrazem wymuszonego zadowolenia, do jakiego w świecie cywilizowanym, jako „dobrze wychowana" panna czuła się obowiązaną. W Chinach... ale o Chinach innym razem opowiemy. Wszak zgoda?

Ucałowały się dziewczęta; kulejąca Celinka, zadyszana od wyjścia na drugie piętro, usadowiła się w fotelu i łzawemi oczyma badawczo patrzyła w niebieskie oczęta Elżusi. Marcelek uścisnąwszy podaną mu rączkę drżącą dłonią, jak przystoi nieszczęśliwemu kochankowi w romansie — usiadł i powłoczysto-melancholijnem spojrzeniem czytać się zdawał księgę przeznaczenia w zarumienionej twarzyczce „okrutnicy".

— Przyszedłem — rzekł mdlejącym, przerywanym teatralnie głosem — przyszedłem usłyszeć z ust pani... mój... wyrok śmierci....

— Wyrok śmierci? — zapytała z wymuszonym śmiechem okrutnica, jakby nie rozumiała wcale o co idzie.

— Elźusiu!... błagająca litości zachrypiała rozpaczliwym tonem Celinka i złożyła ręce, jakby do modlitwy.

— Moja droga... nie rozumiem.... Cóż to za wyrok śmierci?

— Wiem już, pani, że mój los się dziś rozstrzygnął... wyszepnął tragicznie Marcelek.

Głębokie westchnienie *à la* Romeo, przerwało mu dalszy tok słów.

— Już pan wiesz? zkąd pan wiesz? czy mama powiedziała? spotkaliście może moich rodziców? zapytała szybko Żusia.

— Nie pani, ale któżby nie zrozumiał, co znaczy to nagłe odesłanie w dniu dzisiejszym długu, jaki ojciec pani zaciągnął u mego ojca.... Zrozumiała to odpowiedź na wczorajsze oświadczenie się o rękę pani... Oh wierzaj mi pani, że...

— Jakto? mój ojciec odesłał? już odesłał?— wykrzyknęła Żusia z rozpromienioną twarzą, nieumiejąc zataić swej radości.

— Dziś rano, przez pana Ucewicza — objaśniła Celinka.

— O wierzaj mi pani — ciągnął dalej zaczętą tyradę Marcelek.

— Przez pana Teodora odesłał? — przerwała mu znowu Żusia, zarumieniona od szczęścia.

— Tak, dziś rano Nie udawaj Żusiu że nie wiesz...

— Dziś r a n o? dziś r a n o, mówisz?.. przez Pana Teodora?..

I niemogła pozbierać myśli. Jakto? Ojciec dług odesłał przed otrzymaniem listu o śmierci cioci? A przecież dziś rano taki był u nas jeszcze smutek, a ojciec zdecydowany był wydać mnie za Marcelego?

— Żusiu droga! czyż ty sądzisz, że mój ojciec chciał tym długiem zmusić twoich rodziców, aby...

— O wierzaj mi pani, że choć bolesną nad wyraz wszelki była odmowa, boleśniejszym stokroć był ten sposób jej wyrażenia!... Wierzaj mi Pani, że daleką od mego ojca była myśl niegodnej pressyi, aby jako wierzyciel... Oh, Pani to sztylet w samo serce... to śmierć!

Ale Żusia nic nie słyszała.

— Więc to p. Teodor odniósł tę sumę? dziś rano?...

I zdawało jej się. że całą zrozumiała już zagadkę. To on! to on, niewiedząc nic jeszcze o śmierci cioci Kundzi, wydobył gdzieś tę sumę, pożyczył może u lichwiarzy, może sprzedał swój dworek i kumieniczkę na Żółkiewskiem — zrujnował się, aby j ą wybawić z niewoli... To on!

I łzami rozrzewnienia napełniały się jej oczy coraz więcej i więcej, aż dwie duże krople z przepełnionej czary spłynęły po twarzy.

— Żusiu! ty płaczesz?... Żal ci go przecież! O patrz, patrz Marcelku, ona płacze! ona cię kocha! Ona cię kocha — tylko sama siebie nie rozumie... O moja Żusiu!

I rzuciła jej się na szyję.

Żusia wyrwała się gwałtownie, jakby uścisk Celinki po tych wyrazach był zniewagą, jakby jej słowa były spotwarzeniem tych świętych łez, które jej inne wycisnęło uczucie.

— Nie, Celinko, ja pana Marcelego nie kocham!... Ja nie z żalu płaczę...

— O nie udawaj Żusiu! ty masz anielskie serce!...

— O pani jesteś aniołem! pani wiesz ile ja cierpię... pani masz litość nad nieszczęśliwym!... Słodko mi będzie umierać z tą myślą, że na mój grób samotny *kapnie* łza mego anioła...

Rozęśmiała się Żusia.

— Śmiejesz się pani! — zawołał Marcelek tragicznie.

— Po cóż pan masz umierać?

— Cóż dla mnie warte życie bez ciebie panno Elżbieto!

— Znajdziesz pan inny ideał — zakochasz się i ożenisz.

— O nie! o nie!... wydeklamował patetycznie p. Marceli i pochwycił się lewą ręką za serce. — Rwie się, czuję jak rwie się ostatnia nić i która mnie z życiem wiązała!

I zakrył oczy prawą dłonią, jakby chciał łzy swe utaić. Ruch ten był nadzwyczaj efektowny i celu nie chybił.

— Marcelku! Marcelku! — i poczciwa siostra objęła jego głowę w swe ręce, a dwie strugi najprawdziwszych łez wytrysły z jej oczu.

— Dla mnie tylko śmierć! — jęknął pan Mar-

omyłka w rachunku. W tych 58 milionach bowiem jest galicyjskich pieniędzy podatkowych 6 do 7 milionów. Powtóre nie może p. P l e n e r nazywać to „naszemi“ pieniądzmi, nie ma cechy

Według wiadomości otrzymanych z Wilna ingress biskupa Hryniewieckiego odbył się tam w d. 3 bm. Ks. Hryniewiebki przybył do miasta o godzinie 8 rano z Petersburga i odrazu przez na-

---

celi — i obiema dłońmi twarz zasłonił. Był to manewr bardzo praktyczny, gdyż widząc suche źrenice desperata nieuwierzonoby jego szlochaniu. Szlochał biedaczysko na sucho za tym parawanem rąk własnych — i uwierzono mu.

— Bóg mi przebaczy! — szepnął jakby sam do siebie...

— Marcelku!.. Marcelku!.. — rozpaczliwie lamentowała nad jego pochyloną głową siostrzyczka. — Czy słyszysz Żusiu, co on mówi! I ty masz serce?!..

Wzdrygnęła się Żusia: a nużby zakochany Marcelek zabił się na prawdę?..

O naiwności panieńska!

Nie wiem, jaki obrót wzięłaby dalsza rozmowa, gdy w tem ozwał się dzwonek zapowiadający nowych gości albo powrót państwa Błażejowstwa.

Czul Marcelek, że mu czasu tracić nie wypada. Przestał szlochać, wyciągnął z kieszeni chustkę i spiesznie ocierając suchuteńkie oczy a mrugając niemi, jakby chciał cisnące się łzy powstrzymać, pochwycił rękę panny Elżbiety:

— Więc pani żadnej mi już nie zostawiasz nadziei?..

— Czyż ja panu robiłam kiedy nadzieję? — odrzekła Żusia prawie z wyrzutem.

— Ha! dobrze więc!.. bądź pani szczęśliwą... jeśli potrafisz...

Porwał za kapelusz, ukłonił się — i spotkał się we drzwiach z wchodzącą do pokoju panią profesorową i jej córką, które na czas niebytności państwa Błażejów miały się dla towarzystwa Elżusi do ich mieszkania sprowadzić. Przyszły właśnie, aby się w tej mierze bliżej porozumieć.

Pani profesorowa Lobedowiczowa i panna profesorówna Matylda (*vulgo* Mańcia) Lobedowiczówna, nie są to osoby, z któremiby autor niniejszej nowelki rad bliżej zapoznać szanownych czytelników. Zniewolony dawną zażyłością i obowiązkami koleżeństwa szkolnego z nieboszczykiem, ś. p. prof. Leokadyuszem Lobedowiczem, musiał on po śmierci profesora przez czas jakiś zajmować się uregulowaniem interesów tej rodziny i dość często w towarzystwie tych dam przebywać, a nie pamięta, aby się kiedy w życiu bardziej znudził. Powiemy więc tylko, że obie te panie są małego wzrostu, dobrej tuszy, przysadkowatej budowy, mają szerokie twarze żółtej cery, małe niezbyt kształtne zadarte noski, malutkie usteczka o grubych, nieco naprzód wydętych wargach i duże, bardzo duże blado-siwe oczy, mocno na wierzch wysadzone, w których zwierciedli się serdeczna, poczciwa — bezmyślność. Nie są one pozbawione całkiem wykształcenia, ale tak się zachowują, jakby nie miały żadnego. Mają jednak pewną, nader rzadką u płci pięknej cnotę: małomowność. W towarzystwie liczniejszem, w którem się znajdują mężczyzni, patrzą tylko ludziom w oczy i milczą, milczą jak dwa posągi. Milczenie to przerywa u nich tylko czasem huczny a niespodziewany wybuch śmiechu lub głośne syknięcie, mające u nich znaczenie wykrzyknika zdziwienia. Tak samo sykał ś. p. profesor Lobedowicz, ile razy w klasie otrzymał od gimnazyalisty zadziwiająco dobrą lub zadziwiająco złą odpowiadź na jakie przez siebie zadane pytanie: „Ssssss!“ Zresztą mógłeś do nich przemawiać jak Cicero, jak Demostenes w jakimkolwiek przedmiocie, patrzały na ciebie szeroko rozwartemi oczyma, wzroku z ciebie nie spuściły, słuchały z natężoną uwagą i — milczały. A gdyś skończył, szepnęły sobie jakieś słóweczko na ucho, ty zaś nie doczekałeś się od nich innego wyrazu prócz następujących wykrzykników: „E, nie może być!“, „A to dopiero!“, „Co prawda, to prawda!“, „Ha, no, to i tak!“, „Sssss!“

(C. d. n.)

Marszałek krajowy,
Mikołaj Zyblikiewicz. w. r.
Członek Wydziału krajowego,
dr. *Józef Wereszczyński*, wr.

Wydział krajowy królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Ks. Krakowskiem, podaje niniejszem do powszechnej wiadomości, że w dniu 2 l i p c a b. r. b a n k k r a j o w y o t w a r t y z o s t a j e, mianowicie wskazany w § 2 lit. B. statutu o d d z i a ł b a n k o w y. — Bliższe szczegóły w tej mierze zawierać będą osobne ogłoszenia banku krajowego.

We Lwowie 15 czerwca 1883.

Marszałek krajowy,
dr. *Mikołaj Zyblikiewicz*,
Członek Wydziału krajowego,
dr. *Józef Wereszczyńskl* w. r.

P. K a r o l R o g a w s k i ogłasza następujące pismo:

P. Tadeusz Pilat wytoczył w piśmie swojem istny proces przed sąd publiczny — jak się wyraził. przeciw komitetowi centralnemu przedwyborczemu dla zachodniej części kraju, za to: że komitet, oznajmiwszy mu telegraficznie, iż w tej części kraju jest wielu uzdolnionych obywateli, których zasiadanie w Sejmie byłoby pożądanem i użytecznem krajowi, — wyraził wskutek tego życzenie, aby p. Pilat swoją kandydaturę postawił w okręgu, zkąd dotychczas posłował, a o tem zawiadomił wyborców w Sądeckiem.

Skargę taką stara się p. Pilat ubarwić jasnym akademicznym wywodem, iż szanowni wyborcy obwodu sądeckiego od dłuższego już czasu, jako na swego kandydata, r e f l e k t o w a l i na niego. Komitet jednak krakowski i n s y n u o w a ł p. Pilatowi, aby kandydował w jednym ze wschodnich okręgów wyborczych, m o t y w u j ą c i n s y u a c y ą tem, że na zachodzie nie ma dla niego miejsca.

Nie jest, a zwłaszcza mojem zadaniem, stawać w obronie centralnego komitetu krakowskiego, tem więcej pod względem wybrania stósownego czasu uchwały komitetu ,co do p. Pilata. Komitet, spodziewać się wypada, wiedział przecież, dlaczego w tym wypadku tak, a nie inaczej uchwalił. Skoro jednak p. Pilat powołując się na swój dotychczasowy udział w Sejmie, wspomniał w piśmie swojem,

szkół i kościoła, wydane następne rozporządzenie: Z polecenia pana ministra spraw duchownych nakazujemy panu we wszystkich szkołach swego obwodu, w których na mocy naszych rozporządzeń z dnia 7 i 27 kwietnia b. r. dla nauki religii polskich dzieci język niemiecki zamiast polskiego zaprowadzony został, dawny stan, jaki miał miejsce przed wydaniem rozporządzenia z dnia 7 kwietnia r. b. n a t y c h m i a s t p r z y w r ó c i ć i d o n i e ś ć n a m w p r z e c i ą g u t r z e c h d n i ż e t o n a s t ą p i ł o. W całej swej mocy mimo to pozostaje wykonanie pierwszego ustępu rozporządzenie z dnia 7 kwietnia r. b. dotyczące nauki religii mającej być udzielaną dzieciom niemieckim.“ Podpisano *Seligon*.

Tym sposobem wykład nauki religii w języku polskim został przywrócony. Mimo to jednak nie należy się cieszyć i pamiętać o obowiązku własnej obrony i roboty, jeżeli to drobne ustępstwo ma wyjść na dobre.

Do *N. fr. Presse* telegrafują ze Lwowa, że przywódcy Rusinów postanowili n a w i e c r u s k i z a p r o s i ć t a k ż e n o w o m i a n o w a n e g o w i c e m a r s z a ł k a ks. biskupa S y l w e s t r a S e m b r a t o w i c z a. Jeżeli się wiadomość ta sprawdzi, to byłaby ona bardzo pomyślnym objawem. Znane są powszechnie ugodowe i pokojowe dążenia administratora metropolii lwowskiej. Niepodobna przypuścić, aby aranżerowie wiecu ich nie znali — to też zapraszając biskupa udowodniliby, że nie chcą z góry wykluczać wszelkich głosów w tym duchu, w jakiem ks. Sembratowicz jedynie wystąpić może. Jakkolwiek wielką jest zaciekłość skrajnej partyi, głos biskupa bez echa przebrzmieć nie może. Zaproszenie go na wiec mogłoby znacznie przyczynić się do uciszenia nadmiernie rozbudzonych namiętności.

Słowo dowiaduje się, iż b i s k u p s t w o s t a n i s ł a w o w s k i e obrządku gr. kat. dotąd ze względów oszczędności nie obsadzone, ma być dotowane częścią dochodów metropolii lwowskiej i wkrótce aktywowane.

Według *Neue freie Presse* delegacyom wspólnym, które zbiorą się w październiku zostanie przedłożony kredyt dodatkowy na r. 1883 o p o k r y c i u k o s z t ó w w y s ł a n e j d o M o s k w y

tego parlamentu.

Precedens powstały przez uchwalenie dwuletniego budżetu i jego skutki występują dopiero teraz w samowiedzy wszystkich stronnictw, które zdecydowały się na tę dobrowolną ofiarę. W trzeciem czytaniu przepędzono budżet w ciągu kilku godzin przez Izbę, a przeciw głosowała tylko partya ludowa i socyalni demokraci. Liberalni daremnie pocieszają się tem, co powiedział Rickert, że przykład jak powstała ta uchwała dwuletniego budżetu, będzie odstraszającym na przyszłość.

S e j m p r u s k i odroczony do 21 bm., ażeby w tym czasie komisya dla przedłożenia kościelno-politycznego ukończyła swoje obrady. Skład komisyi jest taki, że na 21 członków, 6 jest konserwatywnych, 3 wolno-konserwatywnych, 3 narodowo-liberalnych. Po ustąpieniu Bennigsena rozstrzygnie oczywiście większość złożona z centrum i konserwatystów. Bennigsen miał zapytać kanclerza, czy przedłożenie kościelno-polityczne jest ostatniem słowem na tej drodze; w takim razie kanclerz może liczyć na poparcie narodowo-liberalnych. Kanclerz miał odpowiedzieć, że to nie koniec. Natychmiast po rezygnacyi Bennigsena miał ks. Bismark audyencyę u cesarza. Ostatnia próba narodowo-liberalnych powstrzymania akcyi sprawiedliwości na polu kościelno-politycznem rozbiła się. Konsekwencyą winno być wytworzenie rządu odpowiadającego ściśle większości na jakiej się odtąd rząd opierać ma. To też konsekwentnie zapytuje poseł Windhorst, dlaczego na ławie rządowej nie zasiada dotąd żaden minister katolicki?

W stronnictwie n a r o d o w o - l i b e r a l n e m smutek po odejściu jedynej może wyższej politycznej głowy, jaką był Bennigsen. Doktrynerstwo i rozbicie, skazują nadal to stronnictwo na bezproduktywność polityczną. Oglądają się za widomym szefem *Gaz. Kol.* pisze, że wprawdzie G n e i s t najuczeńszy, lecz lubi chodzić własnemi drogami, więc na kierownika nieodpowiedni. Zdaje się, że rola szefa stronnictwa narodowo-liberalnego przypadnie byłemu ministrowi finansow H o b r e c h t o w i.

R e f o r m a s ą d o w n i c t w a we Francyi zajmuje całą prasę. Wybór komisyi Senatu, zapowiada zmiany uchwały zgromadzenia narodowego.

DRUGA MIŁOŚĆ.

5) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

Zasadę milczenia, jak utrzymują ich znajome, przełamują one tylko wtedy, gdy się znajdą w towarzystwie terkotliwych i rozgadanych niewiast, gdzie wszystkie mówią równocześnie a żadna żadnej nie słyszy. Wtedy i one mówią, mówią, aby za wszystkie nagadać się czasy, ale co mówią, to chyba tylko im samym i Panu Bogu wiadomo.

Obie te panie weszły, widocznie mocno zażenowane widokiem panny Celiny i wychodzącego właśnie Marcelka. Przywitały się milcząc i usiadły, wpatrując się w Celinkę jak w słońce.

Niepodobna było Celince w ich obecności nawiązać przerwaną z Elżusią rozmowę. Żegnając się jednak, odprowadzona do przedpokoju, rzuciła jej się raz jeszcze z płaczem na szyję. Żusi żal jej się zrobiło, uścisk przyjaciółki serdecznem odwzajemniła ucałowaniem. Wtedy Celinka egzaltując się, pochwyciła jej rękę i mimo jej oporu gorące na niej składała pocałunki. Żusia poczuła na swej ręce łzy poczciwego dziewczęcia. Heroiczny to środek — łzy; zwilżyły się niemi i Żusine oczy.

— Żusiu! Żusiu!... ulituj się jego rozpaczy!... ty go nie znasz!... On sobie co zrobi!... Całe życie będziesz sobie potem wyrzucać!... Takabyś była z nim szczęśliwa!... On cię tak kocha!... Żusiu! namyśl się jeszcze... Ja nie tracę nadziei!

Nowe uściski — nowe łzy — i Celinka kulejąca odeszła, ostatnie błagalne na przyjaciółkę rzucając spojrzenie.

W sieniach czekał na nią braciszek, gryząc niecierpliwie w białych jak kość słoniowa zębach, wirgińskie cygaro, które mu co chwila gasło... Bez pomocy jego ramienia ułomne dziewczę z trudnością tylko mogłoby zejść ze schodów.

V.

Godzina obiadowa dawno minęła a państwo Błażejowstwo nie wracali z miasta. Już to, jak się obywatel miejski czy wiejski wybierze z swoją połowicą po sprawunki do sklepów, preliminarz czasu na to przeznaczonego i preliminarz wydatków zawsze okaże się niewystarczającym, co najmniej dwa razy tyle wyda się grosiwa i co najmniej pięć razy tyle spotrzebuje czasu, niż się zamierzało. Taka to już właściwość charakteru narodowego. Nakupi człek przy narzucającej mu się sposobności mnóstwo „fatałaszków“, o których nie myślał, o których mu się nawet nie śniło, dopóki ich na własne nie obaczył oczy, mnóstwo bagatelek tanich na pozór, ale „zgoła zbytecznych a nawet niepotrzebnych wcale“, Tak się stało i tym razem zacnemu p. Błażejowi i jego szanownej małżonce. *A conto* spodziewanego dziedzictwa po ś. p. cioci Kundzi, nakupili więcej przedmiotów niż obszerne kieszenie paletota pana Błażeja pomieścić mogły i wracali do domu z pełnemi rękoma, z pełnemi kieszeniami, z pełną torebką i z próżnym pularesem; Przywołany ekspres niósł za niemi cały kram towarów, bez którychby się wybornie obeszło, — a miał co dźwigać. Oprócz przedmiotów, niby to na drogę służyć mających, były tam i różne sprawunki do domowego użytku i upominki dla Żusi, kupione „przy sposobności... bo taniej wypada“.

Ale nie krytykujmy ich, bo to już taki „zwyczaj narodowy“.

Maryna, dzierżąca w swoim ręku władzę wykonawczą wydziału kulinarnego pod dyrekcyą panny Żusi, była w rozpaczy.

Wiedziała, że obiad się zepsuje bez najmniejszej winy z jej strony. I obiad się zepsuł.

Wiedziała, że otrzyma za to sutą burę od pana Błażeja, i sutą burę otrzymała.

Pani Błażejowa była nieco wyrozumialszą i chcąc przerwać gderliwe kazanie swego szanownego małżonka, wysłała Marynę z kluczem na strych po kuferek podróżny, który tam od niepamiętnych czasów złożony na składzie, rozpamiętywał odbyte przed ćwierć wiekiem podróże, opowiadając o nich licznej rodzinie myszy, która go obrała za mieszkanie.

Zdziwił się wielce biedny kuferek, gdy go żylaste ręce Maryny ruszyły z miejsca, zdziwiły się myszy tem naruszeniem spokoju swego domostwa, zdziwiła się Maryna, zajrzawszy do jego wnętrza, zdziwili się państwo Błażejowstwo na widok zniszczonego sprzętu, który im przed 26 laty służył raz tylko do poślubnej podróży i odtąd zupełnego używał wywczasu. A gdy kuferek okazał się się starym gratem nie do użycia, a winę jego zniszczenia przypisano brakowi dozoru ze strony Maryny, ta zaś głośno objawiła zdziwienie swoje z powodu tak niesprawiedliwego zarzutu, zdziwili się raz jeszcze państwo Błażejowstwo jej zuchwalstwem w zaprzysięganiu swej niewinności wobec tak oczywistych winy dowodów. Pani profesorowa dziwiła się, że „zuchwalstwo“ sług lwowskich zadziwiać jeszcze kogo może a Żusia dziwiła się, że się wszyscy dziwią, gniewają, irytują i radaby odpowiedzieć rodzicom i zadziwić ich wiadomością o spłaceniu wierzytelności p. Bonifacego przez pana Teodora, ale nie mogła na to znaleźć sposobnej chwilki.

— Mamciu!... tatkuńciu!... Zaczyna Żusia kilkakrotnie napróżno, chcąc wyjednać sobie posłuchanie. Ale oboje państwo Błażejostwo nie widzieli i nie słyszeli swej jedynaczki, zajęci przygotowaniem do podróży na koniec świata — aż w Rzeszowskie. Przy pani Lobedowiczowej Żusia tajemnicy swej zdradzić nie chciała, czekała na stosowną chwilę, ale w obec zamętu i zakrętu, jaki zapanował w domu przed tak wielką wyprawą, chwili tej, doczekać się nie mogła.

Państwo Błażejostwo wyszli do miasta za kupnem nowego kuferka. Przy tej „sposobności“, znowu kilka innych niepotrzebnych kupiło się gracików.

Powrót tryumfalny do domu w asystencyi czeladnika sklepu p. Stromengera, niosącego kuferek. Zaczęło się pakowanie rzeczy. Payer i Wejprecht wybierając się do bieguna północnego na odkrycie ziemi Franciszka-Józefa, mniej byli niezawodnie zakłopotani i przejęci ważnością przygotowań do swej wyprawy od pp. Błażejowstwa.

Rozgardyasz nie do opisania. Pan Błażej znosi swoje rzeczy, pani Błażejowa swoje. Wyścielono kuferek staremi numerami *Gaz. Narodowej*. Pani Błażejowa ukląkłszy na ziemi, z systematycznością kobiecą zaczęła składać w jednę połowę kuferka bieliznę. Pan Błażej klęka z drugiej strony i w drugą połowę wrzuciwszy swoje suknie, siłą pięści ugniata, aby się pomieściły. Żusia klęcząc z boku, podtrzymuje przegrodę tekturową, przedzielającą obie połowy kufra. Profesorowa z córką stoją nad tą grupą, nieruchome, jak dwa Sfinksy, wpatrzone w wnętrze kufra. Czasem tylko na widok gwałtownej manipulacyi pana Błażeja, raz jedna, to znowu druga wyrazi zdziwienie swoje syknięciem, tak, jak w podobnych razach czynił to śp. Lobedowicz.

— Sssss!

— Sssssss!

— Ależ tatkuńciu, tak się wszystko pomnie!

— Co ty wiesz! czyś ty kiedy podróżowała!

— Ależ Błażku, całą połowę kufra zapełniłeś twemi rzeczami; gdzież ja moje suknie pomieszczę?

— W tamtej połowie — odparł pan Błażej i stękając ze znużenia, boksował dalej swoje ubranie, które w żaden sposób pomieścić nie chciało.

— Ależ w tej połowie nasza bielizna! Ja ci mówiłam, że to kufer zamały, uparłeś się. Cóż teraz będzie?

Pan Błażej odburknął coś niecierpliwie i przysiadłszy na klęczkach zamyślił się nad swojem dziełem. Znać, trudność pomieszczenia rzeczy w kuferku tak małej objętości przekonała go namacalnością faktu, że jego połowica miała słuszność. Pofałdował czoło, zamilkł i zaczął grać na drumli.

Pani Błażejowa i Żusia w obec groźnej sytuacyi uderzyły na alarm. Nadeszła Maryna i także zaczęła rezonować. Gwar powstał, a wówczas profesorowa i profesorówna nie miały już skrupułu przełamać milczenia. Wszystkie pięć gadały równocześnie. Pan Błażej grał na drumli.

Uradzono wreszcie, aby kufer odnieść do sklepu i dopłaciwszy, zamienić na większy.

Jeszcze raz udali się państwo Błażejostwo do miasta, tym razem w asystencyi stróża kamienicznego, niosącego kuferek.

W pół godziny wrócili z kufrem potężnych rozmiarów. Po drodze, przed hotelem angielskim zamówili fiakra na godzinę czwartą.

— Sssss! — zasyczała profesorówna z podziwu na widok kolosalnego kufra.

— Oto tak, to ale! — zawołała profesorowa.

Zaczęło się powtórne pakowanie.

Tym razem zajęła się tem sama pani Błażejowa z Żusią. Pan Błażej podawał tylko rzeczy, które chciał zabrać i krytykował „kobiece pakowanie“. Pani Błażejowa składała i wyjmowała napowrót rzeczy, prostując i gładząc każdy fałdzik: była to robota Penelopy i zabierała sporo czasu. Pan Błażej, coraz nowe części swej garderoby przynosił z szafy.

— Mój, mój Błażku! — proszącym tonem zainterpelowała go połowica: Po cóż ty aż trzy pary pantalonów zabierasz?

— A jak się podrą?

—Dlaczegóżby się miały podrzeć?

— Któż wie, to na wsi.

— To i cóż?

— Dla czego?

— Czy ja wiem dla czego? — odparł niecierpliwie p. Błażej i zaczął przygrywać na drumli.

Przypuszczeń swoich nie umiał z większą wyjaśnić precyzyą, miał jednak jakieś instynktowne poczucie, że na wsi trzeba się zaopatrzyć w trzy pary dolnej części ubrania. Może sobie przypomniał wakacyjne na wieś w młodości wycieczki, gdy mu z powodu ostrych kołków w płotach i trzy pary nie mogły wystarczyć.

Pani Błażejowa nie uznała jednak tej potrzeby i zabrała tylko jednę zapasową parę.

— *Taże*, proszę państwa, już fiakier zajechał! obwieściła wpadając do pokoju Maryna.

— Gwałtu! a my jeszcze nie spakowani!

— Ssssss! (C. d. n.)

...nika wiedeńskiego *Tribune*, wyrażający się bardzo przychylnie o Polakach w ogóle, o Sobieskim zaś i armii polskiej, która w r. 1683 uratowała Wiedeń — w szczególności. Co do wspomnianej broszury polemicznej, uchwalił komitet prosić p. Ł. Tatomira o napisanie krótkiego dziełka polemicznego, a prócz tego, uchwalono na wniosek dr. J. Żulińskiego postarać się o to, aby w d. 12 września r. b., we wszystkich dziennikach krajowych i zagranicznych, głównie zaś niemieckich, francuskich, włoskich i t. d., pojawiły się artykuły objaśniające zwięźle, a prawdziwie znaczenie uroczystości, obchodzonej w tym dniu przez cały świat polski i przez całe chrześciaństwo. Zapadła w końcu ważna uchwała, która naprawiła błąd powstały nie z winy centralnego komitetu. Gdy uchwalano wydanie obrazku pamiątkowego dla dziatwy, położono główny nacisk na to, aby na tym obrazku była uwidocznioną także postać lwowskiego biskupa gr. kat. ks. Szumlańskiego, który odbył całą kampanię wiedeńską i otrzymał nawet ranę w obojczyk. Dla niewiadomych przyczyn, pan Kossak, pominął na obrazku ks. Szumlańskiego. Komitet uchwalił przeto jednogłośnie, na wniosek ks. kanonika Zabłockiego, sporządzić natychmiast kopię z portretu ks. Szumlańskiego, znajdującego się w tutejszej kapitule obr. gr. kat. wydać tę kopię co najmniej 25,000 egzemplarzach i obrazek ten, wraz z sporządzonymi już obrazkami, przedstawiającymi Jana III pod Wiedniem, wydać między dziatwę szkolną w d. 12 września r. b.

Przegląd polityczny.

***Kraków,** 18 czerwca.*

N. freie Presse wyzyskuje nasz sobotni artykuł w sprawie ruskiej, jako dowód, że Polacy nie chcą zgody z Rusinami. Zła wiara chyba już dalej nie idzie. Temu samemu dziennikowi donoszą ze Lwowa o wiecu ruskim i o dalszych zamiarach Rusinów co następuje:

„Na wiec ruski we Lwowie, ma przybyć ...

... gach padły na niego głosy nieumiarkowanych Słoweńców?

Z Berlina donoszą, że przyjęcie kościelno-politycznej noweli, w brzmieniu, jakie jej nada komisya, zapewnione jest w Izbie. Również ze strony Izby panów nie ma obawy opozycyi. Sejm ma być z końcem miesiąca zamknięty.

Stan sprawy francusko-tonkingskiej budzi coraz mniej obaw jakiegoś wielkiego zawikłania. W tonie reprezentantów Francyi i Chin jest dużo groźby, co jednak nie wyklucza pokojowego rozwiązania. Że na takie rząd francuski liczy, najlepszym tego dowodem, że rozmiary ekspedycyi są wcale ograniczone i korpus ekspedycyjny nie przejdzie 5000 ludzi, a rząd stara się nie przekroczyć przyznanego mu pięciomilionowego kredytu. To nie przeszkadza, że jak donosi *Nowojorski Herald* z Shangai, Tricou miał wręczyć wicekrólowi Li-Hung-Szang ultimatum francuskie: Francya odrzuca władzę zwierzchniczą Chin nad Anamem, grozi wojną, najmniejszy ruch wojska w kierunku Anamu uważać będzie za *casus belli* i żąda natychmiastowej odpowiedzi. Z drugiej strony donoszą o rozmowie ambasadora chińskiego markiza Tseng z interviewerem *Nowojorskiego Heralda*, która potwierdza w zupełności to, co poprzednio sprawozdawca agencyi Havasa od reprezentanta Chin usłyszał. Tseng miał z całą stanowczością oświadczyć, że Chiny nigdy nie pozwolą na atentat przeciw ich prawom do Anamu, że powieści o „piratach“ są piaskiem rzucanym w oczy Europie, gdyż to jest armia Anamu, że Francya łudzi się, jeśli sądzi, że ma do czynienia z samym Anamem. Chiny podejmą wojnę, gdy same chwilę stosowną wybiorą, a to samo wystarczy, żeby Francyę w fatalne położenie wprowadzić i zmusić do trzymania wielkiej armii w Tonkingu.

Wynik wyborów gminnych w Rzymie dowodzi, że program polityczny rządu zwyciężył zupełnie w kraju. Liberalni i rzymscy konserwatyści połączyli się w walce przeciw ultrarewolucyonistom. Rada wyszła z listy kompromisowej. Na 25 kle-

... dentów, aby raczyli umożliwić wykonanie powyższej uchwały przez zezwolenie zdjęcia swych portretów artystom malarzom ku temu uproszonym“.

Wniosek ten będzie traktowany według regulaminu.

Radny dr. Madejski imieniem komisyi specyalnej przedłożył program obchodu jubileuszu króla Jana III. Uroczystość obejmie dwa dni: 11 i 12 września b. r. Pierwszego dnia o godz. 10 zrana odbędzie się nabożeństwo żałobne w kościele archikatedralnym rl. za poległych pod Wiedniem r. 1683 i za spokój duszy króla Sobieskiego. Po nabożeństwie nastąpi pochód do rynku, gdzie na kamienicy niegdyś Sobieskiego — dziś Ponińskiego — będzie odsłoniętą tablica pamiątkowa z marmuru i z odpowiednym napisem.

Po południu o godz. 4 zebranie w sali ratuszowej z przemowami prezesa komitetu jubileuszowego, marszałka i prezydenta miasta, potem wykład historyczny prof. Tatomira i kantata choralna. Galerye zarezerwowane dla kobiet. — Wieczorem bankiet kosztem uczestników.

Nazajutrz dnia 12 b. m. o godzinie 6 zrana pobudka „Harmonii“. O godzinie 10 nabożeństwo dziękczynne i obchody we wszystkich szkołach, poczem pochód na rynek dla złożenia wieńców pod tablicą pamiątkową. Po południu pochód na Wysoki Zamek dla odsłonięcia kamienia pamiątkowego, mającego stanąć na cyplu góry zwróconym ku Zniesieniu, gdzie Sobieski odparł był nawałę Turków. — Wieczorem iluminacya miasta.

W celu jednak utrwalenia pamiątki świetnej przeszłości naszej, miasto postawi na jednym z placów miejskich pomnik królowi Janowi III, a licząc na pomoc kraju, uczyni początek w kładce na to, przeznaczając 10.000 złr., składanych co roku dnia 12 września po 1000 złr. w kasie oszczędności.

Oprócz tego przyczyni się kwotą 1000 złr. do funduszu centralnego komitetu obchodowego w zamian za 10.000 egzemplarzy obrazków pamiątkowych dla dziatwy szkolnej.

Co do pomnika, zastrzega sobie Rada stanowczy wpływ i decyzyę względem wyboru miejsca i co do ułożenia warunków konkursu artystycznego.

Nad wnioskiem postawienia pomnika wywiązała

... wiadomienia.

Sprawy miejskie. W poniedziałek posiedzenie tajne Rady w sprawie obsadzenia posad nauczycielskich i sprawy osobiste, odnoszące się do urzędników miejskich. We wtorek posiedzenie komisyi kanałowej. We środę posiedzenie komisyi akcyzowej i sekcyi ekonomicznej. We czwartek posiedzenie pełnej Rady miasta w sprawach niezałatwionych na ostatniem posiedzeniu. W sobotę posiedzenie komitetu obchodu jubileuszu Jana III.

Wodociągi. Sprawa wodociągów znajduje się w stadium ostatecznego orzeczenia przez znawców geologów i geognostów co do obfitości źródeł regulickich, zkąd woda ma być pobieraną; otóż z przyjemnością konstatujemy, że już temi dniami zjechać mają do Krakowa zaproszeni z Wiednia znawcy profesor Suess i inżynier Michacz z Wiednia; poczem należałoby się oglądnąć za częścią finansową tej sprawy tj. za pozyskaniem odpowiednich kapitałów potrzebnych do tak wielkiego dzieła, jakiem jest wodociąg z Regulic. Możeby i tu znalazł się środek uwolnienia od kapitału obcego przez emisyę własnych komunalnych obligów.

Jeszcze w sprawie morderstwa ś. p. Słowika. Dowiadujemy się, że podobno wszystkie bilety wstępu na rozprawę Wasilewskiego i Czarnomskiego zostały już rozebrane. Sama bowiem sprawa, będąca u nas prawdziwą *cause celèbre*, a szczególnie ciekawe szczegóły obrony Czarnomskiego, które ma podnieść znany obrońca dr. Bolesław Czerny — zapowiadają wielką senzacyą.

Celność strzelców krakowskich. Jak celnie nasi strzelcy krakowscy strzelają, potwierdza następujące zestawienie ze strzelania królewskiego. Przez cały tydzień strzelania do koguta drewnianego padło ogółem 1344 strzałów, nim ostatni kawałek zestrzelił obecny król kurkowy p. Jacek Matusiński; z tych było trafnych ogółem 1129 (z bellerem 30), a tylko 215 strzałów padło po za tarczę.

W dniu wczorajszym odbyło się strzelanie o medal za najlepszy strzał — od dziesięciu lat nie pamiętają tak pięknie trafnego strzału, jaki dał udekorowany medalem prof. dr. Jerzy Goebel. — W przyszłą niedzielę odbędzie się strzelanie o dar p. prof. dr. Goebla, a w następną o dar zakupiony przez Towarzystwo strzeleckie za najlepszy strzał.

Dzięki dzisiejszemu zarządowi Towarzystwo strze-

... ażeby tam zarządził poszukiwania archeologiczne. — W tych dniach Hamdi doniósł do Konstantynopola, że na wzgórzu Nimrodowem *(Tel-Nimrod)* pod Urfah położonem, znalazł szczątki bardzo starożytnych budowli, pomników, nagrobków itp. Wskutek tego doniesienia udaje się do Urfah kilku archeologów europejskich, ażeby znalezione zabytki zbadać na miejscu i odfotografować.

TEATR.

(Ostatni gościnny występ p. B. Leszczyńskiego.)

Gdy już repertoar obwieścił, że na ostatni występ obrał sobie p. Leszczyński „Frou-frou“, zrobiono nam oryginalne zapytanie. „Proszę szan. Redakcyę — pisała do nas jakaś piękna rączka — zechciej objaśnić mnie, w jakiej też roli wystąpi p. Leszczyński? bo przecie nie zamyśla być... Gabryelą, a w całej sztuce nie ma innej roli, którąby na seryo podjąć można podczas występów gościnnych, stanowiących pewien rodzaj popisu dla artysty, zwłaszcza na występie — pożegnalnym. Chociaż więc uśmiech łamie mi usta, muszę wierzyć, że nasz sympatyczny gość przywdzieje w sobotę sznurówkę — i z atletycznych kształtów Otella stanie się nagle... wiotką — jak gałąź wina powiewną Gabryelą!“

Niestety na przekór tym wszystkim, co dobry humor miłują, p. Leszczyński lubo grywa role po najpierwszych znakomitościach europejskich, nie chciał jednak jako Frou-frou robić konkurencyi Sarze Bernhardt. Wzgardziła także tą rolą p. Hoffmann — zapewne ze względu, że Krakowianie widzieli w wzmiankowanej sztuce Modrzejewską, a po niej chcieć wywołać senzacyę, to przedsięwzięcie nieco zbyt ryzykowne, szczególniej dla artystki — przyświecającej Krakowowi pierwszorzędną gwiazdą...

Wystąpiła przeto jako Gabryela p. Kałużyńska. Podziwialiśmy istotnie odwagę artystki, ale przekonaliśmy się zarazem, że nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. Wszelka pyszałkowatość śmieszy i nikt dotąd nie zrobił na niej interesu — ale pewnego rodzaju ufność w swe siły, jest rzeczą arcyzbawienną, posuwa nas bowiem naprzód i wykazuje stopień naszych uzdolnień. P. Kałużyńska nie zamyślała zapewne pobić w sobotę ani Sary Bernhard, ani też Modrzejewskiej, chciała tylko spróbować swych sił — i to jej wyszło na dobre. Jako

wach. „Klamka pańska“ jeszcze coś zna- | — oba te odcienia prawicy znaleźć po- | mogą.“

DRUGA MIŁOŚĆ.

Nowella.

(Dalszy ciąg.)

— Bo też ty okropnie marudzisz Wikciu z twoją systematycznością!... To *kobiece pakowanie*, to aż się wszystko przewraca we mnie na ten widok.

— Ale już, już skończyłam.

— Prędzej, prędzej bój się Boga!

— Ale już, już....

— Kolej nie czeka.

— Zaraz, zaraz.

Dokonała wreszcie pani Błażejowa wielkiego dzieła.

— Masz teraz! kufer nie chce się zamknąć!

— Ssssss!

Pan Błażej położył się plackiem na ziemi, aby dociec powodu, dla którego skobel nie chciał wejść w wycięty na jego pomieszczenie podłużny otwór w zamku. Stękał przy tem, jakby chory, ciężką złożony niemocą.

— Nie dochodzi — rzecz prosta! Zbyt opakowany twemi fatałaszkami.

— Ależ Błażku! zaledwie jedną dla siebie zabrałam suknię.

— Może bielizny za wiele?

— Nie, nie.... Ale on się zamknie; trzeba tylko dobrze przycisnąć z góry. Ja nie mam siły.

— Siądź na kufer! — zakomenderował małżonek.

Pani Błażejowa usiadła. Skobel zniżył się o kilka milimetrów, ale daleko jeszcze było do zamku.

— Mało. Niech i pani profesorowa siądzie! — komenderował dalej p. Błażej.

— Ha, no, to i tak! — I usiadła profesorowa obok pani Błażejowej. Obie kobiety były dobrze zbudowane i dobrze żywione, toż zaledwie na tej kanapce improwizowanej pomieścić się mogły obok siebie. Ugniatał wieko kufra spory ciężar, osoby ich reprezentowały niezawodnie przeszło 150 kilo. Skobel zniżył się o kilka milimetrów, ale od zamku zawsze jeszcze znaczna oddzielała go przestrzeń.

— Uff! — stęknął pan Błażej: — nie dochodzi!

— A to dopiero! — lamentowała profesorowa.

— Cóż będzie? cóż będzie! — desperowała pani Błażejowa.

— Ssss! sssss! — syczała raz po razu panna Matylda.

Pan Błażej otarł pot z czoła i znowu legł jak długi na ziemi, aby obserwować ruchy skobla, który nie mógł się dostać do swego otworu. Obie panie siedziały nieruchomo na kufrze, oczekując z niepokojem dalszej komendy p. Błażeja.

— No, skaczcie teraz!

— Co, czy doszło? — zawołała uradowana pani Błażejowa i zerwała się z kuferka na równe nogi.

— Ale gdzie tam! niedochodzi! Siadajcie panie i skaczcie!

— Jakto?

— Siadajcie i podskakujcie siedząc, to skobel zaskoczy....

I uśmiechnął się pan Błażej, zadowolony genialnością swego pomysłu. Zawahały się obie. P. Błażej się niecierpliwił.

— Prędzej! prędzej! nie róbcie panie ceregieli....

Maryna wpadła do pokoju:

— *Taże*, fiaker przysłał stróża, że będzie późno....

— Ssssss!

— No, siadajcie na miłość boską! — zaklinał rozpaczliwie pan Błażej.

— Ha, no, to i dobrze! — zdecydowała się profesorowa.

Siadły.

— Skaczcie teraz!

Podskoczyły. Żusia i profesorówna wybuchły pustym śmiechem.

— Ale fe! tak na nic! — gniewał się pan Błażej: — mocno podskakujcie! mocno! całym ciężarem z góry!

Podskoczyły.

— A co?

— Jeszcze nie!

— Sssss.... Nie może być!

— Aj, do wszystkich dyabłów!

— Tylko nie sadź dyabłami Błażku! — prosiła żona.

— Do wszystkich.... Trzeba coś wyjąć z kufra. Wstawajcie!

Wstały. Pan Błażej kufer otworzył i wyrzucił z niego leżącą na samym wierzchu żółto-czekoladową parę pantalonów.

— No, siadajcie panie teraz.... Podskakujcie! a z góry! z góry! całą siłą!

Podskakiwały, raz, drugi, trzeci, w takt obie, jak na komendę. — Żusia i profesorówna śmiały się, jak szalone.

— Żusiu, nie śmiej się! — krzyknął z gniewem pan Błażej, podnosząc głowę z prochu. — To mi przeszkadza!

Ale panny zanosiły się od śmiechu aż do łez.

A podskakując ustawicznie, głosem przerywanym, jak u klusującego jeźdźca, wołały matki:

— Nie śmiej się Żusiu!

— Mańciu fe, nie śmiej się tak!

I podskoczyły raz jeszcze.

— A co?

— Jeszcze nie, ale już bardzo blisko!

Obie niewiasty podskoczyły i usiadły jeszcze raz z całą energią. I w tej chwili słychać było zaskoczenie skobla.

— Chwałaż Bogu! — zawołał wielkim głosem pan Błażej i obrócił klucz w zamku: — Zamknięte!

— Aaaaa! — wstając z siedzenia, odetchnęły obie jego współpracowniczki, jakby im kamień spadł z serca.

Wybiegł pan Błażej do przedpokoju:

— Maryna, wołaj stróża, niech znosi kuferek! Chodźmy, chodźmy!

— Błażku, czy nic nie zapomniałeś?

— Nie, nie. Spiesz się tylko, bo to ostatni czas!

I wciągając na rękawy paletot, wołał pan Błażej: Wikciu, na miłość boską! Wikciu spiesz się! spiesz się!

— Jam gotowa... Bądź zdrowa Żusiu! dziecko moje drogie!... — I przycisnęła ją pani Błażejowa do serca, składając krzyżyk na jej czole i całując ją z czułością. Łzy jak groch padały z oczu poczciwej kobiecie.

Na widok łez matki, Żusi także łzy w oczach zabłysły. Było te jej pierwsze w życiu rozłączenie z matką. Rozpłakały się obie w głos.

— Masz tobie! wstydziłybyście się płakać! Czyż to na tak długo wyjeżdżamy? na kilka dni! no, no, dość już tych czułości! Wikciu, bo się spóźnimy!

Pani Błażejowa zaczęła się żegnać z profesorową, zaklinając ją na wszystkie świętości, aby do ich powrotu tak troskliwie opiekowała się Żusią, jakby własną córką. Pan Błażej żegnał się tymczasem z jedynaczką. Gniewał się na zbytnią czułość żony a jemu samemu łzy stanęły w oczach, jakby się za morze wybierał.

— Moja ty pieszczotko! — I całował ją i gładził dłonią po twarzy, po głowie.

Wyrwał się wreszcie z ramion kochającej córki.

— Chodźmy! chodźmy! aj, te baby!

Porwał laskę i parasol, związane razem czerwoną krajką, zarzucił na ramię wyjęte z kufra żółto-czekoladowe pantalony, pochwycił torebkę żony i przecisnąwszy się z tem przezedrzwi zaczął schodzić ze schodów. Pani Błażejowa szła naprzód, za nią p. Błażej, za nim Żusia, chcąc się jeszcze przy wsiadaniu do fiakra pożegnać, za Żusią profesorowa, za profesorową jej córka, za panną Matyldą Maryna.

— Prędzej! prędzej! — naglił na żonę pan Błażej.

W połowie piętra zatrzymał się jednak:

— Aj do dyabła!

— Nie sadź duszko dyabłami!

— Zapomniałem pieniądze...

— Sssss!

— Ej Błażku, Błażku! a pytałam cię, czyś czego nie zapomniał!

— To trudno, kto ma tyle rzeczy na głowie! odburknął i obróciwszy się na miejscu, pospieszył na górę.

— Jakie szczęście, że sobie tatkuńcio zawczasu przypomniał!

— Aj, co prawda to prawda! — przytakiwała profesorówna.

Zadyszany wrócił p. Błażej. Obaczywszy, że żona czeka go na schodach, zawołał srodze zirytowany:

— Jeszczeście nie zeszły! Ale na miłość boską z temi kobietami!... Obaczysz, że się przez ciebie spóźnimy!

To samo utrzymywał fiakier. Pomimo jego przepowiedni, chwila czułych pożegnań i rozstania przedłużyła się jeszcze kilka minut przy wsiadaniu.

— Dostaniesz na piwo, ale pędź! pędź co koń wyskoczy.

VI.

Poprzedni rozdział nie posunął akcyi w naszej nowelce ani na krok dalej. Przeczytałeś go szanowny czytelniku całkiem niepotrzebnie. Aby cię za tę cierpliwość twoją wynagrodzić, posuwamy teraz rzeczy siłą pary ku rozwiązaniu.

Kraszewski z kilku pomocnikami zbiera wiadomości i materyały do skreślenia obecnego stanu sił i organizacyi wojskowej Niemieckiego cesar-

---

Państwo Błażejowstwo nie spóźnili się na pociąg. Posuwają się ku celowi swej podróży z szybkością czterech mil na godzinę.

Jadą szczęśliwi, ukołysani błogiem marzeniem o swem przyszłem dziedzictwie.

— Karczochy warte ze czterdzieści tysięcy? — zapytał pan Błażej, przysuwając się do ucha swej połowicy, aby go towarzysze podróży nie słyszeli.

— Oo więcej!

I po chwili dodała z uśmiechem filuternym, kokietując swego małżonka, poczciwa pani Błażejowa:

— Pan dziedzic!...

Pan Błażej nic nie odpowiedział, machnął nawet ręką w powietrzu, jakby mu nic na tem nie zależało, ale niedwuznaczny uśmiech zadowolenia rozsiadł się na jego twarzy.

„Pan dziedzic!“ powtarzał sobie w duchu i przesuwała mu w myśli wyobraźnia różne sceny przyszłego panowania. Ekonom Rzerzupkiewicz zdejmuje przed nim nisko czapkę i tytułuje go *Jaśnie Panem*. Służba wybiega z dworku wystraszona, oczekując jego rozkazów. Arendarz ofiaruje swoje usługi i prosi, aby mu wypuścił propinacyę. Gromada z wójtem na czele przychodzi, aby go powitać; chłopi ściskają go za kolana. Proboszcz prezentuje się nowemu kolatorowi.. nauczyciel wiejski z dziatwą... wszyscy występują z przemowami... trzeba będzie coś odpowiedzieć... I zasępiły się rysy pana Błażeja, twarz przybrała wyraz srodze zakłopotany. Mimowoli zaczął grać na drumli... (C. d. n.)

---

puszczenia podaje korespondencyę z Drezna, w której tamtejszą wilę Kraszewskiego opisuje jako bardzo uroczy zakątek, „jakby stworzony dla poety i myśliciela, nietylko do marzeń, ale i do — konspiracyi“. Otóż konspiracya miała tam według tej korespondencyi odbywać się na wielką skalę. Miano tam znaleźć przy rewizyi klucz do pisma szyfrowego i całą listę związkowych w Polsce, Inflantach i sąsiednich guberniach, między którymi jest zwłaszcza wielu studentów uniwersytetu dorpackiego. Nieprawdopodobieństwo tego doniesienia jest widoczne. Gdyby znaleziono taką listę przy rewizyi, odbytej przed ośmiu dniami, już byśmy chyba wiedzieli coś o aresztowaniach w Królestwie i innych krajach polskich. Przy znanych ścisłych stosunkach między pruską a rosyjską policyą — rzeczy takie idą piorunem. Dalej pisze korespondent:

„Głównie polują władze na niejakiego Aleksandra Stalewskiego, który ma być autorem buntowniczych manifestów (ależ od wielu bardzo lat nie pojawiły się w Polsce buntownicze manifesty! Red. *Ref.*), które starano się rozszerzyć w tutejszych (drezdeńskich) kołach studenckich, skutkiem czego policya miała baczne oko na polskich i rosyjskich słuchaczy tutejszej „szkoły książęcej“. O treści denuncyacyi, nadesłanej do berlińskiej policyi, obiegają najbardziej awanturnicze pogłoski, tak n. p. mówią tu o zamachu projektowanym na czas pobytu cara w Warszawie“ i t. p. Konopaccy, których korespondent przedstawia jako ludzi „wprawdzie gwałtownych i ekscentrycznych ale szlachetnych“ mieli mieć jakieś przeczucie grożącej im denuncyacyi, bo byli zupełnie do podróży przygotowani, i oddali cały zarząd swej fabryki cygaret swemu pierwszemu urzędnikowi. Aresztowanie Bogdanowicza miało nastąpić na rekwizycyą rosyjskiego posła w Berlinie. „Z przychwyconych listów jest on w najwyższym stopniu podejrzany, że nadużył swej znajomości tajnych rosyjskich stosunków wojskowych, że

uzyskać ulgę co do udzielania nauki w języku niemieckim. Dla czegóż liberalne partye niemieckie dały się uprzedzić klerykałom w tym choć tak bardzo drobnym, częściowym akcie sprawiedliwości? Tego, naturalnie nasuwającego się pytania *Tagblatt* sobie nie stawia — ale przeciwnie zaznacza, że „między Niemcami w Poznańskiem i w ogóle w całych Prusiech ten krok ministra oświaty najboleśniejsze wywołał zdziwienie“. Czyż mogą Niemcy austryaccy wystawić gorsze świadectwo niemoralności i ubóstwa umysłowego swoim braciom *vom Reich*? Najboleśniejsze zdziwienie z powodu, że dzieci będą się uczyć religii w ojczystym języku! Policzek nielada dany zdrowemu rozsądkowi, uczciwości, najprostszej zasadzie uszanowania praw ludzkich! Dowód — że naród myślicieli jest w moralnym i umysłowym upadku!.

Wszystkie czeskie dzienniki omawiają we wstępnych artykułach nowe wybory do Sejmu. *Narodni Listy* donoszą z dobrego źródła, że komitet przedwyborczy stronnictwa konserwatywnego rozporządza taką masą pełnomocnictw z niefideikomisowej większej posiadłości, iż większość ma zupełnie zapewnioną. *Pokrok* donosi znowu z Wiednia, że słoweńska większość Sejmu kraińskiego nie zatwierdzi wyborów z większej posiadłości, gdzie wybrano liberałów.

Wiener Ztg ogłasza nominacyę Prucha biskupem w Budziszynie. Prucha należy do stronnictwa czesko-narodowego.

Dzienniki dalmatyńskie cieszą się z wyników wyborów do sejmu dalmatyńskiego i konstatują rozwój idei narodowej, gdyż w gminach wiejskich nie wyszedł żaden Włoch, zresztą partya narodowa wszędzie znaczną ma większość.

Dziś rozpoczęła się ostateczna rozprawa w sprawie Tisza-Eszlar. Prezydentem trybunału jest Kornis, wotantami Russu, Gruden i notaryusz Simon, prokuratorem Szeiffert, obrońcami adwokaci: Eötvös, Funtak, Friedmann, Szekely i Neumann. Na ławie oskarżonych zasiada 15

Bennigsena stało się publicznie wiadomem, oświadczył hrabia Limburg ze Stirum, że dla konserwatystów stanowi projekt rządowy niepodzielną całość, i że główny przycisk położą na przyjęcie art 4. W kilka dni oświadczył jednakże tenże sam hrabia Limburg w komisyi, że przyjęcie art. 4 nie jest już dla konserwatystów *conditio sine qua non* przyjęcia lub nieprzyjęcia.

Powodem tej zmiany jest ta okoliczność, iż narodowo-liberalne stronnictwo odmówiło sojuszu i oświadczyło, że nie może się zgodzić na projekt rządowy za cenę art. 4. W ten sposób stało się, że artykuł 4 został w komisyi obalony wspólnemi głosami katolików, konserwatystów i postępowców.

Poseł Windhorst zapytuje p. ministra, czy rząd gotów jest celem skutecznego przeprowadzenia obecnej ustawy, wykonać ustawę z d. 31 maja 1882, to znaczy:

1) przywrócić archidyecezyom poznańsko-gnieźnieńskiej i kolońskiej, oraz dyecezyom monasterskiej i limburskiej prawowitych arcypasterzy;

2) oraz w tychże dyecezyach znieść ustawę obroczną?

Na to odpowiedział p. Gossler, że jeżeli nowa ustawa przejdzie, to samo przez się nastaną wszędzie pokojowe i uporządkowane stosunki.

Słowa ministra znaczą tyle, że wtedy tylko nastąpią uregulowane stosunki, jeśli Kościół zgodzi się na artykuł 4, czego tenże uczynić nie może.

Berlińska *Post* w imieniu kół konserwatywnych wyraźnie oświadcza, że wobec uporu narodowo-liberalnego stronnictwa rząd pruski gotów zgodzić się na projekt rządowy nawet bez artykułu czwartego.

Zaś *Germania* wyciąga wniosek z szybkiego załatwienia przedłożenia kościelno-politycznego, że tylko z współdziałania konserwatystów i centrum, ustawodawstwo może iść naprzód. Jeśli zaś większych zmian projektu rządowego nie dało się uzyskać, a przedstawiciele centrum w komisyi głosowali za wnioskiem, tylko zastrzegając sobie wolność głosowania stronnictwa w plenum, to dlatego, że rząd, chociaż nadziei dalszej rewi-

na ramieniu, będą walczyć obok siebie, ramie do ramienia, nie dla obrony gwałtu, ale dla sprawy ludzkości. Cauzio-Garibaldi zięć „szabli Italii“ mówił o unii Italii z republiką francuską — o *revanche* i zakończył wykrzykiem: „*vive la France*“, co wywołało frenetyczne oklaski i wołania. Hr. Douville-Maillefeu proponuje postawienie pomnika Garibaldiemu na granicy włosko-francuskiej, jako symbol unii dwóch narodów. — Wśród wołań na cześć Italii, odwetu, odebrania Alzacyi i Lotaryngii i na pohybel Niemcom — a nawet Austryi skończyła się manifestacya.

Sprawy sądów krakowskich.

Rewizyę sądu delegowanego cywilnego wykończył pan radca Czyszczan przedwczoraj, ograniczając się wyłącznie do agendy tegoż sądu za rok 1882 i 1883. Obszerny operat rewizyjny został już przedłożony prezydentowi sądu krajowego wyższego do aprobaty wniosków. Operat domaga się powiększenia liczby adjunktów, rozdziału pracy innego jak dotychczas i przydzielania praktykantów świeżo do sądu wstępujących do biór pomocniczych celem wyuczenia się manipulacyi; — o podziale sądu tego na dwie sekcye: miejską i wiejską, operat podobno nie wspomina — o co się upominać na każdym kroku nie przestaniemy, — zwłaszcza, iż Lwów już od dwunastu lat ma 2 sekcye w sądzie delegowanym.

Jutro rozpoczyna p. Czyszczan rewizyę Sądu krajowego karnego w Krakowie. W sprawie tej wkrótce podamy ważne i obszerne wnioski, wykazując wszelkie braki tak w sądzie śledczym, jak i orzekającym.

W dniu dzisiejszym wyjechał p. radca dr. Prokop na rewizyę sądu powiatowego w Chrzanowie. Rewizya ta ma trwać sześć tygodni; równocześnie ma być rozstrzygniętą kwestya otwarcia nowego sądu powiatowego w Jaworzniu.

Z powodu zajęcia się dzienników krajowych sprawą wewnętrznego urządzenia sądu i obsadze

krok pierwszy, pojdzie rząd dalej aż do zupełnego przeniesienia zarządów kolejowych do kraju. My niestety przeciwnie nie spodziewamy się tego, czego się p. Kopp pod nat... wpływem Wiednia ... Innemi słowy, rozdaje roboty wiedeńskim przemysłowcom, czyni zamówienia u wiedeńskich kupców i przedsiębiorców, a przy studyów, dla tego tylko, ażeby waszym robić miejsce. My chcemy tylko sprawiedliwości i powrotu do naturalnego, a przez waszą hegemonią skrzywionego porządku klubów, a więc w każdym razie absolutna większość. Cyfra ta jeszcze wzrośnie, ponieważ *Gazeta Narodowa* zaliczyła do Stańczyków kilku posłów, który stanowczo do nich nie należą. jowy (marszałek L., hr. Wodzicki) sprawozdanie co do niesienia pomocy ludności wyzyskiwanej przez lichwę i podźwignięcia jej z ekonomicznego upadku. Uchwały i zasadnicze myśli ankiet, pominął Wydział kompletnie i przedłożył projekt

---

DRUGA MIŁOŚĆ.

7) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

Hm!... a nieboszczce trzeba suty sprawić pogrzeb... tak się należy. Aj, aj, co to będzie kosztować! Zaprosić duchowieństwo z okolicy, choć kilku księży... aj, możeby się bez tego obeszło? Eh, nie, nie obejdzie się! I sąsiadów, którzy się zjadą trzeba będzie ugościć „po szlachecku“... hm, hm, po szlachecku... To także koszt!... No, trudno inaczej! A Wikcia pewnie zechce, aby nieboszczce jaki grób wymurować, może pomnik postawić? Na co jej tego! co jej z tego przyjdzie! To będzie dyabelnie kosztować!... hm, hm... Ha, trudno, trzeba będzie po szlachecku... Ale jak?...

I znowu koncert na drumli.

A gdyby nieboszczka jezuitom zapisała majątek?... Aj!...

Pogrążonego w tych dumaniach zwróciły uwagę ciągłe przytłumione chichoty i szeptania trzech młodych towarzyszy podróży, którzy naprzeciw niego siedzieli. Widocznie spostrzegli oni coś nadzwyczaj zabawnego w postaci lub ubiorze pana Błażeja bo wiele razy który z nich spojrzał na niego, miał taką minę, jakby się dusił od śmiechu. Zadziwiony tem pan Błażej, zrobił przegląd swego ubrania — ale wszystko znalazł w porządku. Przygładził włosy, podkręcił wąsy, poprawił krawatkę. Nic to wszystko nie pomogło. Poczerwieniał na twarzy z konfuzyi i oburzenia, bo czuł, że się śmieją z niego, nie majac żadnej do tego słusznej przyczyny.

Zauważyła to także i pani Błażejowa. Srodze ją to ubodło. Zrobiła i ona przegląd toalety własnej. Wszystko w porządku. Spojrzała raz jeszcze na męża — i zarumieniła się po uszy; pan Błażej trzymał ciągle w ręku, przewieszoną przez ramię jak u żyda handelesa dolną część ubrania, koloru żółto-czekoladowego, która w sposób wcale nieestetyczny ułożyła się w fałdy.

Przechyliła się do ucha mężowskiego i zwróciła uwagę na powód śmiechu młodych owych podróżnych.

Skonfundował się pan Błażej, zwinął inkryminowany przedmiot w węzełek i rzucił na siatkę nad głową. Czuł się jednak w obowiązku wytłómaczyć się przed towarzyszami podróży:

— Bo to, proszę panów, my jedziemy na wieś.

Pani Błażejowa uczuła całą niedorzeczność tego usprawiedliwienia, chcąc je zatem lepiej umotywować, objaśniła:

— ... aż w Rzeszowskie!

— Aż w Rzeszowskie! — z udanem zdziwieniem powtórzył jeden z młodych ludzi.

— Tak, tak! — potwierdził pan Błażej.

— Ah, to co innego, to się nie ma co dziwić!

— A co? prawda? — wpadł mu w słowo p. Błażej, tryumfującym wzrokiem spoglądając na żonę. I dodał po chwili:

— Trzeba się zaopatrzyć, co? prawda?

— Oh! co trzeba, to trzeba! — potakiwał towarzysz podróży.

Pani Błażejowa zdrowym rozsądkiem kobiecym czuła, że to całe wyjaśnienie nie ma żadnego sensu i domyślając się drwinek w tem potakiwaniu młodych paniczów, uznała za najlepszy sposób wybrnięcia z tej niedorzecznej rozmowy, olśnienie ich ważnością celu podróży:

— Bo to my jedziemy odbierać majątek....

— Po ciotce... dodał pan Błażej.

— Ah, to tembardziej! — zawołał młodzieniec z poważną miną. Jego towarzysze dusili się od śmiechu.

Pan Błażej domyślił się wreszcie teraz już także drwinek. Poczerwieniał z gniewu i zapytał kategorycznie:

— Dla czego: tembardziej?

— No, bo państwo jedziecie odbierać majątek.

— To i cóż?

— Rzecz prosta: trzeba się zaopatrzyć na wszelki wypadek....

— Ah tak! — ułagodził się pan Błażej.

Tak się zawiązała rozmowa między pp. Błażejowstwem a ich współtowarzyszami podróży. Rozprawiano o Rzeszowie, o tamtejszym słynnym hotelu pod *Luftmaszyną*, o gospodarstwie wiejskiem, o polityce, o dziennikarstwie o teatrze, a wreszcie o zamierzonej w tym dniu napowietrznej wyprawie p. Damma.

Tymczasem w ogrodzie Strzeleckim balon p. Damma nadął się już do olbrzymich rozmiarów i gotów do podlotu, targał sznury, które go do ziemi wiązały.

Licznie zgromadzona publiczność oczekiwała z niepokojem chwili, kiedy żeglarze wsiądą do kosza i ulecą pod obłoki. Czy według zapowiedzi prusak znalazł ochotnika, który mu zechce towarzyszyć — różne krążyły pogłoski. Lepiej świadomi rzeczy zapewniali, że ta zapowiedź afiszowa była tylko środkiem reklamy.

Między spektatorami widowiska poznajemy naszych znajomych: pana Teodora i pana Marcelego. Spotkały się ich spojrzenia. Uśmiech jakiś złośliwy przemknął przez usta pana Teodora. P. Marceli spuścił oczy.

Tymczasem inna scena odbywała się na drugiem piętrze przy ulicy Jagiellońskiej, w domu pod L. (parzystą).

Po schodach darło się w górę na drugie piętro wątłe, blade, chorowite dziewczę, kulejąca Celinka. Trzymając się obu rękoma poręczy, mozolnie, z schodu na schód darła się w górę ostatniem, rozpaczliwem sił wytężeniem, jakby po najniewygodniejszej drabinie. Krople potu spływały jej z czoła, piersi podnosiły się i opadały gwałtownie przyspieszonym oddechem; ze źrenic szeroko rozwartych przeglądała śmiertelna jakaś trwoga; szerokie usta, przetworzone nieestetycznie dla zaczerpnięcia powietrza, — blada twarz szarpana nerwowem co chwila drganiem.

Na zdrowej nóżce opiera biedna ciężar ciała, a ułomną, krótszą, stawia o jeden schód wyżej, chwyta się wtedy oburącz poręczy i zawieszona prawie na niej, usiłuje postąpić krokiem naprzód. Zdrową nogę stawia obok chorej i znowu chorą, bezsilną, na stopień wyższy podnosi. Ze schodu na schód, ze schodu na schód, dwadzieścia kilka na pierwsze piętro, dwadzieścia kilka na drugie — bez pomocnej cudzej ręki, zadanie dla niej okropne, nad siły! W połowie drugiego piętra zatrzymuje się co chwila; już jej się wydaje, że nie wydoła, mdło jej, nóg nie czuje, ręce mdleją, ale wspomnienie jakieś straszliwe elektryczną przebiega ją iskrą, zrywa się i dąży w górę — spieszy się, spieszy. Byle dotrwać do końca, byle dostać się na tę Łomnicę i wyrzec słowo, które jej drga na ustach — i omdleć lub umrzeć potem...

Nareszcie!... Już u celu!... Uchwyciła za rączkę dzwonka i szarpnęła z całej siły. Szarpnęła raz i drugi i trzeci, raz po razu. W całej kamienicy rozległ się odgłos dzwonka. Maryny w domu nie było. Profesorowa odeszła z córką do swego mieszkania, aby oddać ekspresowi pościel do przeniesienia. I jeszcze raz zabrzmiał dzwonek, gwałtownie szarpnięty przez Celinkę. Wystraszona otwarła jej drzwi Żusia.

— Żusiu! — wrzasła rozpaczliwym głosem i upadła jej do nóg.

— Celinka?... Co ci jest? co się stało? — przerażona jej widokiem, zapytała panna Elżbieta.

Zamiast odpowiedzi biedna dziewczyna głośnem wybuchła łkaniem. Dławiło ją słowo, które wyrzec miała.

Pochwyciła ją Żusia w ramiona, starała się podnieść ją, obsypała pieszczotami.

— Żusiu! Żusiu! — wyjęknęła wreszcie Celinka — Żusiu! na miłość Boską!... biegnij... biegnij, póki czas...

I nie mogła powiedzieć więcej.

— Dokąd mam biegnąć?

— Do Strzeleckiego ogrodu... póki czas!...

— Po co?

— Marcelek... chce się zabić... polecieć balonem... skoczyć... tu... tu!

I pokazała palcem na sufit.

Dreszcz zimny przeszedł Żusię od stóp do głowy. Nie potrzebowała długo odgadywać przyczynę przestrachu Celinki. Przestrach ten udzielił się jej. Wierzyła w miłość Marcelka, uwierzyła w szalony zamiar i nie namyślała się długo. Powidzmy raczej: nie namyślała się wcale.

Wyrwała się z objęć Celinki i rzuciła się do sieni ku schodom, zbiegła z nich, jakby ją śmierć goniła — albo sumienie.

Nie przyszło jej na myśl, że nie ma na głowie kapelusza, ani rękawiczek na rękach, że wychodząc na ulicę, trzeba się ubrać w paletocik, że to jesień, że zimno.

Jej było gorąco. Serce uderzało gwałtownie, fale krwi napędzało do głowy.

Biegła. Biegła co tchu, co sił...

Biegła. Mijała przechodniów, którzy się na nią oglądali. Mijała znajomych, którzy przystawali po drodze ze zdziwieniem. Ona nie widziała nikogo, nie słyszała, gdy ją znajome osoby zatrzymać chciały zapytaniem, co się stało i dokąd tak biegnie. Od czasów dziecięctwa, gdy z towarzyszkami zabawy biegała za rozpędzoną obręczą w pojezuickim ogrodzie, nigdy jeszcze nie biegła tak szybko. Minęła ulicą Jagiellońską, przebiegła Wały. Koło kościoła OO. Jezuitów, wpadła w bramę przechodniej kamienicy Andriolego i dziedzińcem domu dostała się na Rynek. Biegnie, tchu jej brakuje, biegnie dalej rynkiem ku kościołowi OO. Dominikanów i wąską uliczką obok arsenału ku Szkarpom. (C. d. n.)

we 1) czy instytucya hipoteczna dla posiadłości włościańskich potrzebna i na czasie, 2) oraz na wezwanie, aby Wydział zbadał środki założenia centr. instytucyi finansowej dla Tow. zaliczkowych i kas oszczędności powiatowych, zwołał Wydział w listopadzie 1878 ankietę *ad 2* złożoną, do której weszli: Baum, Gross, T. Pilat, rektor Biliński, Skałkowski, Pajączkowski, Fr. Zima i Alfred Zgórski. Ankieta zgodziła się przeciw instytucyi centralnej dla Tow. zaliczkowych, jako bez uprzedniej reorganizacyi nie przedstawiających dobrego materyału. Za to wskazała środek podniesienia kredytu dla Towarzystw w austro-węgierskim Banku.

Ankieta dla założenia instytucyi hipotecznej obradowała od listopada 1878 do czerwca 1879. Weszli w skład jej: hr. H. Wodzicki, Gross, Pajączkowski, hr. W. Russocki, dr. A. Rappoport, Pilat, H. Kieszkowski, M. Gnoiński i A. Gorajski. Rezultatem było uchwalenie statutu Galicyjskiego krajowego zakładu hipotecznego. Wydział kraj. wysłał dr. T. Pilata do Sląska dla zbadania działalności śląskiego Banku krajowego.

W projekcie statutu rozszerzono kredyt hipoteczny dla mniejszej własności i na realności miejskie, większe posiadłości tabularne oraz na pożyczki dla gmin i powiatów. Czynności bankowe eskont i reeskont weksli, lombard, przyjmowanie wkładek kapitału na książeczki oszczędności i asygnaty kasowe, na rachunek bieżący — rozszerzono przez wprowadzenie zaliczek na płody rolnicze na podstawie warrantów czyli listów składowych. Ankieta zwołana przez namiestnika uznała za jeden z najważniejszych środków podniesienia handlu zbożowego a tem samem i rolnictwa, zakładanie publicznych składów. Charakterystycznym był spór w komisyi bankowej, o kwestyę, czy mają być eskontowane weksle Towarzystw zaliczkowych, czy i weksle prywatne. Przeciw temu ostatniemu wnioskowi przemawiali Russocki, Gnoiński, Pajączkowski, Kieszkowski, który to ostatni dowodził, że obcy kapitaliści stracili u nas krocie na zakładaniu fabryk, które się utrzymać nie mogły, więc nie można myśleć o wytworzeniu przemysłu siłami szczupłemi jednej instytucyi. Za wnioskiem Rappopor-

lują z gliny lub rzeźbią z drzewa. Mają rekreacyę i gimnastykę. Ta przemiana pracy umysłowej z pracą ręczną utrzymuje równowagę — dzieci nie są znużone, przeciwnie są wesołe i zdrowe. U nas w braku odpowiednich szkół każdy najuboższy rękodzielnik, każdy służący lub stróż szarpie się, ażeby dzień o głodzie i chłodzie posyłać do gimnazyum — a jezeli im się uda ukończyć je, a potem i uniwersytet, to po jakich 14 latach nauki osiadają na lodzie. — Bo nie żeby była hyperprodukcya inteligencyi, jak ktoś mylnie powiedział, — ale jest hyperprodukcya ludzi ubiegających się o posady biurowe, o zarobek piórem a brak zdolnych pracowicych i rzetelnych rzemieślników, brak przemysłowców i gospodarzy wiejskich. Potrzebie tej należy zaradzić wprowadzając do szkół ludowych pracę ręczną, a oprócz tego zakładając odpowiednie szkoły, w którychby dzieci od 12 do 15 lat oprócz nauk umysłowych i moralnych — nauczyły się pracować i nabraby wprawy do pracy rękodzielniczej jaka ich w przyszłości czeka, a dziewczęta nsuczyły się szycia. kroju, gospodarstwa domowogo, i t. p.

Korespondencya „Nowej Reformy".

Lwów, 19 czerwca.

(=) Mnożące się w zastraszający sposób pożary teatrów (w r. 1882 zgorzało 43 na obu półkulach) i połączone z niemi straszne nieszczęścia i olbrzymie straty, zwróciły w ostatnich czasach uwagę wszystkich władz i rządów, dbających o bezpieczeństwo życia swoich obywateli, aby ile możności ograniczyć skutki możliwych katastrof, i w tym względzie wysilono się na wszelkie ostrożności. Teatr hr. Skarbka we Lwowie należy bezsprzecznie do najlepiej urządzonych co do bezpieczeństwa osób znajdujących się w amfiteatrze na wypadek pożaru, z wszystkich bowiem miejsc znajduje się tyle wychodów, tak wygodnych i bezpiecznych, że chyba zupełnie bezmyślny lub ślepy mógłby paść ofiarą. Kiedy po wielkiej katastrofie w Ringteatrze tutejsze władze bardzo sumiennie i rygorystycznie przeprolongacie, grożącej nieszczęściem miastu. W tym celu należy już obecnie wydać stanowcze orzeczenie, że teatr hr. Skarbka, po wygaśnięciu przywileju stanowczo i nieodwołalnie zamkniętym zostanie.

Tak stanowcze orzeczenie musi wywołać sprawę wybudowania teatru we Lwowie.

Wobec długiego terminu dziewięcio-letniego, mogłoby się wydawać, że zawcześnie jest dzisiaj poruszać tę sprawę Gdy się jednak zważy, ile to jeszcze wody upłynie, zanim sprawą tą zajmą się kompetentne koła, jeżeli się uwzględni, że na utworzenie komitetu budowy, narady przygotowawcze, opracowanie programu, ogłoszenie konkursu, ocenę tegoż etc. etc. przygotowanie do budowy, licytacye, wreszcie na budowę samą — liczyć trzeba najmniej sześć lat, — to pozostaje tylko trzy lata na przeprowadzenie takich czynności, jak zdecydowanie, kto ma budować i zkąd fundusze mają być wzięte. Pewną jest rzeczą, że ostatnie pytanie nie łatwo zostanie rozwiązanem, i dużo czasu upłynie, zanim nastąpi stanowcze postanowienie.

Mam nadzieję, że powyższa sprawa wkrótce przedłożoną zostanie przez magistrat radzie miejskiej, która niechybnie gorliwie się nią zajmie, wskazanem jest jednak, aby pisma lwowskie poruszyły ją również w łamach swoich i tym sposobem wywołały dyskusyą bardzo pożądaną i pożyteczną w tak ważnej sprawie.

Wiedeń, 19 czerwca.

(=) *Nulla dies sine linea!* Nie ma dnia, żeby w obozie *Deutsch-nationalów* nie rozbrzmiewały się hasła wojownicze przeciw Polakom. Dziś komisya Sejmu Dolno-austryackiego dmie w surmy wciąż jeszcze z okoliczności decentralizacyi kolejowej. Zdumienie ogarnia, gdy się czyta sprawozdanie jej o tej sprawie, którego autorem jest poseł Kopp. O różnych rozmaitościach, które w sprawozdaniu tem nadobnie są powiązane w jeden wianek, a zarazem o jadowitości kwiatków, o zaciekłości tonu, w jakim p. Kopp się rozpisuje, niech świadczą frazesy o „mocarstwie pol-

dziwaczniejsze pomysły. I tak kilka dzienników porannych otrzymało ze Lwowa telegraficznie następującą bajeczkę: „Marszałek krajowy dr. Zyblikiewicz udał się wczoraj pospiesznym pociągiem do Wiednia, w celu wstawienia się u Najjaśniejszego Pana za aresztowanym w Berlinie Kraszewskim." Ponieważ Kraszewski, o ile wiemy, jest poddanym zagranicznym i aresztowanie go nastąpiło za granicą, z telegramu powyższego pokazuje się tylko to: że nie ma tak wielkiej niedorzeczności, której nie uczepiłyby się chętnie dzienniki, łaknące sensacyjnych wiadomości."

Polit. Coresp. zaś pisze: „Podług doniesień kilku dzienników tutejszych, udał się marszałek krajowy dr. Zyblikiewicz do Wiednia, w celu wstawienia się na audencyi u Najaśniejszego Pana za aresztowanym w Berlinie Kraszewskim. — Dr. Zyblikiewicz, który obecnie jest już w Wiedniu, upoważnił nas do oświadczenia, że doniesienia te są zupełnie bezzasadne. Dr. Zyblikiewicz był dzisiaj na audyencyi u N. Pana w celu, aby podziękować za nominacyę swą na marszałka krajowego."

Czy uwięzienie byłego kapitana pruskiego Hautscha jest w związku ze sprawą, dotychczas nie wiadomo. Ma to być człowiek prawdziwie imponujący, miły, zdolny. Odznaczył on się dziełem o broni palnej w armii pruskiej i w ogóle jest uważany jako znakomity znawca techniki broni palnej. Po wojnie francusko-pruskiej wstąpił on do służby telegraficznej. Przed dwoma laty porzucił służbę rządową i mieszkał w Berlinie na stopie dość zbytkowej.

Kuryer Warszawski zamieszcza co następuje:

Drezno, 19 czerwca (godzina 12 minut 40 w południe).

Kraszewski zamknięty jest ciągle w więzieniu berlińskiem. (Depesza ta, którą otrzymaliśmy z najpoważniejszego źródła, nie zgadza się w zasadniczym punkcie z wszystkiemi doniesieniami pism berlińskich, które doniosły, iż Kraszewski niezwłocznie został wysłany do Drezna i w piątek tam już przybył z eskortą. Za prawdziwością powyższej depeszy zdaje się przemawiać okoliczność, że p. Rosstaeuscher, nadprokurator drezdeński, udał się do Berlina i dotąd tamże bawi. *Przyp. Red.*)

cia wszystkich sławiańskich narodów. Na wschodzie jednak nowe pojawiają się fakta: małe narody na południowym wschodzie Europy, które dotychczas spierały się ze sobą i współzawodniczyły, Bulgarzy, Grecy, Rumuni — zdają się dążyć do zbliżenia i zjednoczenia swych interesow, jako jedynego środka zapewnienia swej niezależności.

Długa nieco droga jaką obrał ks. Aleksander bulgarski w swej podróży do Moskwy — była znacząca. Jeżeli, jak przypuszczają, Rosya sama spowodowała tę podróż i tendencye, które się nią objawiły — to można ztąd wnioskować, że pod warunkiem wzajemności ze strony Austryi zrzeka się Rosya pochłonięcia małych państw. Przyszłość jest niezawodnie pochwalna — ale ta myśl jest pocieszająca, że świat Lewanty wreszcie skłonnym jest do kompromisów, zamiast się wzajemnie na korzyść Niemiec rozdzierać. Można i należy się spodziewać, że coś podobnego stanie się we wschodniej połowie austryacko-węgierskiej monarchii, w Translitawii. między Madziarami. Sławianami i Rumunami. Bardzo chytra polityka popchnęła Austryą na wschód, aby się starła z Rosyą. Ale w miarę, jak na tej drodze posuwa się naprzód, staje się coraz bardziej sławiańską. Miejsce niemieckiego zajmuje duch inny, przeciwny. Co się stanie w sławiańskiej Austryi z podstawą potrójnego przymierza? Czy się ta podstawa nie zmieni? Polityka, która do tego rezultatu doprowadziła, może nawet w odniesionych korzyściach znaleść skałę, o którą się rozbije. Dokąd ona żegluje? Do — niewiadomego.

Henri Martin.

Przegląd polityczny.

Kraków, 20 czerwca.

Organa urzędowe pruskie w W. Ks. Poznańskiem nie myślą o szczerem wykonaniu rozporządzenia ministra Gosslera. Oto co w tej mierze donosi *Dziennik Poznański*:

Z rozporządzenia wydanego przez tutejszą regencyą pod dniem 12 b. m. na mocy rozkazu

wscho-
le n-
któr
wodni-
się dą-
resow,
iezale-

sander
– była
sama
się nią
że pod
zrzeka
yszłość
yśl jest
skłon-
należy
jemnie
się we
monar-
i. Sła-
olityka
tarła z
posuwa
iańską.
prze-
stryi z
ta pod-
go re-
niesio-
rozbije.

rtin.

wca.

oznań-
iu roz-
w tej

szą re-
rozkazu

zentacya oświadcza się przeciw ustawie, ale do władz szkolnych, których zadaniem Telegram p. Zienkowicza nadszedł wczo- sorowie i docenci prawa). Obrońca może po-

DRUGA MIŁOŚĆ.

8) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

Zajętej jedną myślą nie zwrócił uwagi tłum ludzi, który ją spotkał w tem miejscu, dążący w stronę przeciwną. Dobiegła do schodów obok studni, wiodących do Szkarpy. I tam pełno ludzi. Przeciska się między niemi, wybiega po schodach... Tchu jej braknie... Przycisnęła ręce do piersi, zatrzymała się chwilkę.

Tu dopiero spostrzegła tę tłumną procesyę ludzi, wracających od strony ulicy Kurkowej, od Strzeleckiego ogrodu. Wszyscy spoglądali ku niebu a niektórzy wskazywali ręką ku obłokom.

Zdrętwiała — zdawało jej się, że grom w nią uderzył. Nogi się pod nią zachwiały, serce w piersi bić przestało. Nie śmiała spojrzeć ku górze w tę stronę, w którą wskazywali ludzie.

Stała jak martwa, jak przyrosła do miejsca, jak postać z kamienia.

Nagle zdawało jej się, że ją ktoś woła po imieniu. Drgnęła, usłyszawszy własne nazwisko. I nieśmiała się obejrzyć, jak winowajczyni.

— Panno Elżbieto! — stroskanym głosem przemówił do niej po raz wtóry pan Teodor.

— Panno Elżbieto! — powtórzył raz jeszcze, jakby budząc ją ze snu.

Ocknęła się. Poznała go. Spojrzała dziwnym wzrokiem i nie witając, zapytała lakonicznie:

— Poleciał?!

— Poleciał — odrzekł najspokojniej w świecie i wskazał ręką na obłoki. W niedoścignionej dali, dziesięćkroć wyżej nad wieżami miasta, ulatał balon. U spodu jego chwiała się uczepiona łódka.

— Ah! mój Boże! mój Boże! — jękła i zakryła oczy obiema dłońmi.

Pan Teodor nic nie rozumiał, nie umiał sobie wytłumaczyć tego wykrzyknika.

— Co pani jest? — zapytał ze zdziwieniem.

— Ach! panie Teodorze!... zabije się!...

Roześmiał się wesoło.

— Niech się pani nie boi, nic mu nie będzie, spadnie łagodnie na ziemię, tak jak za pierwszym razem.

— Ah, nie!... on powiedział Celince, że się zabije!

— Kto? Damm? pannie Celinie?

— Nie, jej brat...

— Pan Marceli?

— Tak! i to z mego powodu?

— Z pani powodu? — zapytał z najwyższem zdziwieniem.

— Odmówiłam mu...

Teodor milczał przez chwilę, twarz mu się zasępiła. Walka jakaś wewnętrzna przewrzała mu w sercu i wstrzęsła nim do głębi. Rzekł wreszcie smutnym, ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Pani go kochasz!...

I chciał dodać: Pociesz się, on żyje, nie poleciał w obłoki i nie spadnie z nich, całe życie chodzić będzie po ziemi...

Ale w tej chwili między publicznością wracającą z ogrodu Strzeleckiego, przemknęło się w tłumie jakieś towarzystwo i słychać było dźwięczny jak dzwonek śmiech jakiejś lwowianki, a równocześnie pełnym aktorskiej deklamacyi głosem odezwał się do niej prowadzący ją pod ramię młodzieniec:

— Słowo honoru pani daję, jeśli pani każesz, polecę balonem i... skoczę...

Był to pan Marceli.

Spostrzegła go Żusia, usłyszała i spostrzegła...

Dziwnie sprzeczne uczucia przemknęły kolejno po jej twarzy: najprzód radość, radość niewysłowiona, jakby ciężar stu centnarów spadł jej z serca. A po tym przebłysku radości, coś wręcz przeciwnego, niby gniew, niby oburzenie, niby wstydu rumieniec.

Ale pan Teodor, upojony boleścią, nie umiał czytać w jej duszy, w jej oczach. Czytał i nie rozumiał. Powtórzył raz jeszcze cichym szeptem:

— Pani go kochasz...

— Ja?! — z najżywszem oburzeniem zawołała Żusia.

— Nie zapieraj się pani... sama nie rozumiesz może głosu własnego serca — ale go pani kochasz...

Gorzkim śmiechem zaśmiała się Żusia.

— Panno Elżbieto! oburzoną jesteś w tej chwili, widząc, że tak sobie zażartował... ale to oburzenie przeminie... Nie byłabyś tu przybiegła zrozpaczona, gdybyś go nie kochała.

— Jakto? czy miałam dopuścić, aby człowiek przezemnie życie sobie odbierał?...

Teodor uśmiechnął się smutno.

— Nie masz pani płaszczyka, ani chusteczki... Przeziębisz się.

Próżny fiakier przejeżdżał drogą. Skinął na niego pan Teodor i zatrzymał.

— Siądź pani do fiakra i wracaj do domu.

— Panie Teodorze! — rzekła z bolesnym wyrzutem — Panie Teodorze! — powtórzyła z uczuciem najserdeczniejszego przywiązania.

On milcząc, wziął jej rękę pod ramię i prowadził do powozu.

— Panie Teodorze — rumieniąc się, powtórzyła raz jeszcze ciszej — ja...

Chciała powiedzieć: „ja p a n a kocham...“ ale brakło jej odwagi.

Otworzył drzwiczki powozu i wsadził do niego pannę Żusię.

Spojrzała na niego ze łzami w oczach. On na nią z niewymownym żalem.

— Dokąd mam jechać? — zapytał go fiakier.

— Na ulicę Jagiellońską.

I zatrzasnął drzwiczki powozu.

Pojechała.

On stał długo na miejscu i patrzał za toczącą się karetką, jakby za ulatującem na zawsze szczęściem.

— Biedne dziewczę! — szepnął wreszcie.

Zwrócił się potem ku swojemu mieszkaniu, a przyszedłszy do swej stancyi, zamknął drzwi na klucz, rzucił się na łóżko i dłonią zakrył oczy.

Godzina mija za godziną, nie wstawał... i w tej nieruchomej postawie przeleżał noc całą. Nie spał...

Nazajutrz rano wrócił do codziennych zatrudnień, blady, smutniejszy niż zwykle.

VII.

Bladł i mizerniał z dniem każdym. Pytali go przyjaciele i koledzy w biurze, czy nie chory.

Żalił się na gwałtowny ból głowy i gorączkę. Nie jadł i spać nie mógł. Godzin biurowych nie opuszczał jednak. Zresztą nie widywano go nigdzie. Z biura wracał wprost do domu, zamykał się na klucz, i przez dzień cały nie wychodził nigdzie. Leżał na łóżku nieruchomy, bezmyślny, w półdrzemce słysząc każdą godzinę bijącą na ratuszowym zegarze. Tak mu mijały wieczory i noce.

Nad ranem czasem sen go zmorzył, ale uderzenie godziny ocuciło go bezzwłocznie. Zrywał się i szedł do biura — nieuczesany, w niewyczyszczonem odzieniu, na którem uczepiło się tu i ówdzie pierze jego poduszki.

Praca szła mu ciężko. W bezprzedmiotowej jakiejś mrzonce nad danym mu referatem przesiedział kilka godzin, ocknął się potem i chyżo zabrał do roboty, aby po napisaniu kilku wierszy znowu w drzemce zatonąć.

Widząc stan umysłu, w jakim się znajduje, chcieli go poczciwi koledzy w pracy wyręczyć i dawali mu lżejsze akta do wypracowania lub gotowe już elaboraty do przepisywania. I to nie szło. Pisał, mylił się, przepisywał, czuł własną nieudolność i w rozpacznem poczuciu tej bezsilności, truł się sam zwątpieniem o sobie.

Dwukrotne od przełożonego otrzymał napomnienie. Przyjął je bezdusznie, jakby żadnego na nim nie sprawiło wrażenia.

Trzecie napomnienie było cięższe. Spojrzał na niego badawczo naczelnik biura, a widząc tę chorobliwą cerę, te zamglone źrenice, włosy w nieładzie, ubiór zaniedbany, przywołał do swego pokoju a zamknąwszy drzwi, aby go wobec kolegów nie zawstydzać, ojcowskim tonem wypowiedział kazanie zaczynające się od słów:

— Co się z panem stało?... na miłość Boga, miejże pan sumienie! taki zdolny, taki wzorowy urzędnik!... Pan chyba pijesz, panie Teodorze... itd. itd.

Teodor nic nie odpowiedział. Nieuzasadniony zarzut nie oburzył go. Zdawało mu się, że nań zasłużył.

Nazajutrz przyszedł znowu do biura jak zwykle. Pracował nieudolniej jeszcze niż w dniach poprzednich. Głowa pękała mu od bolu, usta spalone miał od gorączki. Złowróżbne jakieś dreszcze przebiegały mu co chwila po pacierzowej kości.

Ale dnia następnego do biura wcale już nie przyszedł. Dnia tego z rana, dziewczyna jakaś przyniosła do niego list i zostawiła u stróża. Teodor otrzymawszy go, zachwiał się na nogach, chwycił się za głowę, usiadł i czytał. Czytał i czytał krótkie to pismo, godzinę, dwie, trzy godziny może. Potem wstał i chodził z tym listem po pokoju zamyślony, mnąc go w ręku—a potem list mu wypadł z ręki a on długo jeszcze przechadzał się tak od kąta do kąta, siadał i znów chodził dalej. Wreszcie rzucił się na łóżko i z przetwartemi na wpół oczyma leżał jak martwy.

Wcale nie wyszedł z domu przez całą dobę.

Przypadek chciał, że nazajutrz po tym dniu fatalnym, przyjechał do Lwowa dawny jego towarzysz—a choć o wiele młodszy jednak serdeczny przyjaciel, p. Karol. (C. d. n.)

nictwa, przemysłu, handlu: ducha inicyatywy przedsiębiorczej, nie znalazła tu jeszcze wyrazu. Bank krajowy według ostatniego projektu wydziału krajowego, za marszałka hr. Wodzickiego, miał pomódz przeważnie a raczej wyłącznie małej i wielkiej własności ziemskiej.

Rozdarcie tego zaklętego koła, rozszerzenie poglądu na potrzeby ekonomiczne kraju, na wzajemną solidarność wszystkich czynników ekonomicznych kraju, a co za tem poszło rozszerzenie zakresu banku krajowego, należy się marszałkowi Zyblikiewiczowi, od chwili, gdy się przekonał o potrzebie centralnego krajowego zakładu. Od tej chwili, zgodnie z jego temperamentem i charakterem politycznym, bank postawił, jako pierwszy punkt swego programu — aż go urzeczywistnił.

Przyszła mu też w pomoc niemało opinia publiczna. Sprawy ekonomiczne zaczęły zajmować literaturę broszurową, publicystyczną dziennikarską w pierwszym rzędzie. Poczucie potrzeby zbiorowej akcyi kraju, wyzyskania rządu krajowego, jego środków administracyjnych, stawało się coraz powszechniejszem, walka z apatyą i bezmyślnością zacofańców, z nędzą i zawodami zidiociałym kwietyzmem, lekkomyślnem aż zbrodniczem oglądaniem się za obcą czyjąś pomocą, za kimś czy czemś, co za nas ma coś dla nas zrobić, z ubóstwem i konserwatywną siłą pojęć ekonomicznych nie wychylających się po za miedzę źle zrozumianego wyłącznie własnego interesu, ta walka twarda zaczęła się nareszcie, choć jest jeszcze niezmiernie wiele do zwalczenia. W tej też porze zaczęto się oglądać nieco po za granicę galicyjsko-austryackich tradycyj, teoryj i praktyk, administracyjnych, ekonomicznych, finansowych, przemysłowych, handlowych. Słowem, w tej porze zaczęły się publicystyczne paralele pomiędzy stosunkami dzisiejszemi Galicyi, a stosunkami Królestwa Polskiego za epoki autonomicznej, potrzebami naszemi, a potrzebami ówczesnej doby, administracyą jakiej nam potrzeba, a administracyą ks. Lubeckiego, projektem Banku kra-

w Kołaczycach wszystkie okna wybite, a w polach nie poznać, jakie ziemiopłody istniały. W gminach i obszarach dworskich, w Januszkowicach, Nawsiu Brzosteckiem, Siedliskach. Kamienicy górnej i Kleciach oberwanie chmury spowodowało wylewy rzeczek i strumieni dopływających do Wisłoki; po obu stronach Brzostka położone równie wyglądały jak wielkie jeziora, dość wysoko usypany gościniec rządowy w wielu miejscach zalany, zatrzymywały się na nim tylko kopy siana i koniczyny zabrane z pól sąsiednich. Do mnóstwa domostw woda wdzierała się drzwiami i oknami, piece i kominy się walą, wiele zabudowań woda całkowicie uniosła nie wspominając o sprzętach domowych i innym dobytku. Bydła, trzody i drobiu niemało się potopiło; czy z ludzi kto nie utonął, sprawdzonem dotąd nie zostało, ale podobno i bez tego się nie obeszło.

Setki rodzin pozbawionych mienia i chleba na rok cały. Kilku ludzi, wskutek wysilenia przy ratowaniu dobytku leży dziś chorych, prawdopodobnie na zapalenie płuc.

Ale nie samej Opatrzności woli przypisać należy nieszczęście; do zgubnych skutków onego w znacznej mierze przyczyniły się: chciwość ludzka, indolencya władz administracyjnych i bezprawie. Są ludziska niemądrzy a tak chciwi na każdą piędź ziemi, że posiadając nad rzeką położone grunta, opłotkami, tamkami, sadzeniem wierzb w korycie rzeki, zwężają rzekę do nieskończoności; w miejscach takich następuje zupełne zatamowanie biegu wody w razie większego przypływu, a ta szuka sobie na lewo i prawo miejsca, rozdziera wały, zatapia pobliskie chałupy, ogrody i pola, zamiast swobodnie podążyć do ujścia.

Kilku upartych chciwców naraża całą ludność wiosek na ogromne klęski, zaś skargi i podania wnoszone przez gminy do c. k. starostw pozostają bez doraźnego skutku, chociaż te c. k. starostwa dają dowody, że w innym kierunku energię rozwinąć umieją, np. w ściąganiu podatku, pomijając już czynności szerszego politycznego znaczenia.

Nareszcie nasze ciała ustawodawcze, niedo-

Ale szczytem wszystkiego jest ten ustęp dowodzący *sui generis* ludzkich uczuć i współczucia dla polskiego ludu:

„Cokolwiekbądź jest przecież rzeczą daleko więcej ludzką, świadomość owego odosobnienia wśród panujących obecnie okoliczności w dziecku ***przymusowo*** zagładzić, aniżeli pozwalać jej się na całe późniejsze życie zakorzeniać przez niewczesną pobłażliwość. Prędzej czy później powinni przecież i tak wyjść na Niemców jak Marchijczycy i Pomorczycy; im prędzej, tem lepiej dla nich. Pocóż mękę niepotrzebnie przedłużać?“

Tymczasem jak się okazuje rozporządzenie z 12 b. m. jest dotąd jeszcze martwą literą w powiecie poznańskim. Oto co pisze *Dziennik Poznański*.

„Trudne do uwierzenia a jednak prawdziwe, że w szkołach powiatu poznańskiego pan Lux jeszcze nie zakomunikował i przy nauce religii nie zastósował zozporządzenia z 12 b. m. wydanego przez tutejszą rejencyą z rozkazu ministra oświecenia. Tak więc w Swarzędzu, jak i w Stęszewie, w Jerzycach, na Wildzie, Ratajach, w Górczynie, Żegrzu, Żabikowie i we wszystkich innych miejscowościach, w których p. Lux już w zeszłym, lub też na początku b. r. szkolnego niemiecki wykład religii zaprowadził, uczą się do tej chwili polskie dzieci religii po niemiecku. W trzech dniach miał pan Lux rejencyi zdać sprawę, że się do rozporządzenia jej zastósował, a on do dziś dnia ów nakaz wprowadzenia znów polskiego wykładu w nauce religii ignoruje“.

Jak daleko posuwa się zła wiara i przewrotność organów centralistycznych, dowodzi najlepiej fakt następujący: Na posiedzeniu lwowskiego komitetu obchodu Sobieskiego wniósł profesor Żuliński a komitet uchwalił, ażeby czwarte gimnazyum lwowskie, dopiero przed paru laty otwarte, nazwać gimnazyum Sobieskiego. *N. fr-Presse* zaś pisze, iż uchwalono gimnazyum

...em i podzięką do wiadomości i pozostawia im z całem zaufaniem swobodę, by w stosownym czasie do tejże rady szkolnej napowrót wstąpili.“

Komedya abstynencyi w ten sposób skończona.

Korespondent *Nowej Pressy* z Rzymu taki podaje powód, dlaczego cesarz austryacki nie rewizytował dotąd króla włoskiego: Gdy król Humbert oświadczył zamiar odwiedzenia cesarza austr., bawił tenże właśnie w Peszcie i odtelegrafował zaraz, iż wyśle jednego z arcyksiążąt do ułożenia bliższych szczegółów spotkania. Robilant poseł włoski w Wiedniu, przybył jednak zaraz do cesarza i oświadczył mu, że rząd i król włoski pragną dla uniknięcia poruszenia jakiej kwestyi drażliwej, aby spotkanie odbyło się gdzie na granicy lub w Peszcie. Cesarz austryacki gorąco zapraszał jednak króla Humberta do Wiednia, kładąc nacisk na to, że i cesarzowa chciałaby się widzieć z królową włoską i przyrzekając świetne przyjęcie. Podczas wizyty króla włoskiego i świetnego tegoż w Wiedniu przyjęcia czuły zatem sfery dworskie, że rewizyta tylko w Rzymie odbyć się może. Ponieważ jednak cesarz austr. jest katolikiem, przeto wybadał naprzód w tym kierunku papieża i znalazł tam nieugiętą negacyę. Wszelkie usiłowania były bezskuteczne. Cesarz austr. jako głowa katolickiej monarchii nie może zatem lekceważyć papieża, i oto jest jedyny powód, że dotąd rewizyta nie nastąpiła.

Dziennik *Gaulois* donosi, że królowa portugalska ma się wybrać wraz z synem do Wiednia. Celem tej podróży ma być zamiar ożenienia 20-letniego infanta z arcyks. Waleryą, najmłodszą córką cesarza austryackiego.

Że Bennigsen głównie z powodu rozbicia we własnej frakcyi i zupełnej rozleciałości frakcyj liberalnych i postępowych złożył mandaty swoje do Sejmu i parlamentu, nie widząc wyjścia z tej jałowości i bezpłodności, o tem wiedzieli wszyscy — prócz liberałów samych. Powiedział im to nareszcie sam, przyjmując deputacyę na-

padek zamianowania Korntzera rabinem.

Prowadzący deputacyę przedstawił, iż kandydatowi temi brakuje wszelkiej kwalifikacyi na tak ważny urząd, jakim jest rabinat krakowski, że Kornitzer przez lat 22 pobytu w Krakowie nie uważał nawet za godne i stósowne wyuczyć się języka polskiego, że mu brak wszelkiego wykształcenia a w szazególności w dziedzinie wiary i wykładu talmudu — że jest on reprezentantem sztandaru Schreibera, który o postępie nic wiedzieć nie chciał i był największym nieprzyjacielem assymilacyi żydów z chrześcianami w kierunku narodowym. P. Landau prosił w końcu prezydenta miasta, aby wyboru Kornitzera nie zatwierdził dlatego, że przez to powstanie przepaść dzieląca jeszcze bardziej żydów od chrześcian a pomost do zgody z nominacyą Kornitzera byłby zerwanym.

Prezydent miasta miał przyrzec deputacyi prowadzonej przez p. Landau'a wszelkie poparcie, wyrażając swe zadowolenie, iż po raz pierwszy mu się zdarza, iż deputacya żydów przemawia do niego w języku narodowym. Oświadczył, iż sprawę mu przedstawioną zna dokładnie i bronić będzie zasad postępu — że starać się będzie o popieranie dążności tych izraelitów, którzy są za assymilacyą narodową.

Kronika.

Kraków, 21 czerwca.

Jan Królikowski, znakomity artysta dramatyczny sceny warszawskiej — bawi obecnie w Krakowie w przejeździe do Karlsbadu.

† **Wanda z Feintuchów Sokołowska,** żona zaszczytnie znanego w literaturze historycznej dra Augusta Sokołowskiego prof. gimnaz. i docenta uniw. Jagiell. — po długich a ciężkich cierpieniach zmarła dziś o g. 4 rano. Powszechny żal towarzyszy zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku.

Pogrzeb odbędzie się w sobotę d. 23 b. m. o g. 4-ej po południu z domu przy ulicy Wiślnej pod l. 15.

wiele konserwatywnego uporu, powrócił nawet na tapet wniosek obejścia się bez banku a zacią-

Przystępujemy do programu pana Wrotnowskiego.

1866, (str. 324). Z dzieła tego widno, iż korzystał ze źródeł polskich, zatem po polsku rozumiał. Jeżeli więc obecnie o Arnima Adlera idzie, wno-

tystyczne daty majątkowe kraju, którędy kolej prowadzoną być miała. Obiecywano podniesienie rolnictwa, przemysłu, handlu, łatwy zbyt bogactw

zaprowadziły odpowiednie taryfy przewozu? ileż to tysięcy worów zboża, zbywaćby mogli nasi rolnicy po lepszych cenach za granicą, gdy-

---

DRUGA MIŁOŚĆ.

9) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

P. Karol, lekarz zamieszkały w małem miasteczku na prowincyi, bardzo rzadko bywał we Lwowie. Ile razy się tam zjawił, zawsze spieszył co prędzej do p. Teodora, z którym najściślejsze łączyły go węzły drogich wspomnień. I tym razem przybiegł do niego — a zastawszy drzwi zamknięte, sądził, iż nie zastał go w domu. Przyszedł o innej godzinie i znowu nadaremnie pukał i dobijał się. Udał się tedy do biura, w którem Teodor miał zajęcie, sądząc że go tam zastanie. W biurze dowiedział się, że jego przyjaciel od dwóch dni nie był w urzędzie. Opowiedziano mu przytem, że Teodor od jakiegoś czasu zdawał się być chory i w dziwnem jakiemś nienormalnem znajdował się usposobieniu.

Zaniepokoiło go to bardzo; wrócił znowu do mieszkania Teodora. A gdy mimo głośnego stukania, drzwi mu nie otworzono, przywołał stróża domu, a ten mu oświadczył, iż Teodor od dwóch dni wcale z domu nie wychodził. Posłał więc Karol bezzwłocznie po ślusarza, aby drzwi gwałtem otworzyć.

Czas był ostatni. Teodor leżał w ubraniu na łóżku na wznak, — w gorączce, bezprzytomny.

Rozpoznanie choroby nie było trudnem, twarz czerwona, wyraz osłupiały, skóra gorąca i sucha, usta wpół otwarte, wargi spalone, jakby przysypane popiołem — tyfus.

Zarządził pan Karol wszystko, co było w jego mocy, aby uratować przyjaciela. Stan jego uważał za niebezpieczny, ale bynajmniej nie wykluczający nadziei wyzdrowienia.

Czuwał przy jego łożu cały wieczór, przez noc całą.

Porządkując rzeczy leżące w nieładzie po pokoju, spostrzegł list otwarty na podłodze. Stosunek przyjaźni jego z Teodorem zbyt był ścisłym, aby mógł jaki skrupuł powstrzymać go od chęci przeczytania.

List był pisany ze Lwowa, zapewne przesłany pocztą miejską, lub przez posłańca doręczony. Podpis nieczytelny, zdawał się z dwóch tylko składać liter. Charakter pisma męzki.

Był to list od pana Błażeja. — Ale wróćmy do pana Błażeja, dowiemy się najlepiej o treści listu.

VIII.

Państwo Błażejowstwo wrócili już od kilku dni do Lwowa — a wrócili z rozpromienionemi twarzami, dopełniwszy obowiązku wdzięcznych krewnych, t. j. wyprawiwszy paradny pogrzeb „poczciwej cioci Kundzi“ i pochowawszy ją w murowanej grobowej kaplicy, którą sobie sama za życia postawiła na Karczochowskim cmentarzu. Rozpromienione jednak twarze pp. Błażejowstwa nie promieniały poczuciem dopełnionego obowiązku wdzięczności w obec nieboszczki, ale promieniały radością z odziedziczonej sukcessyi.

Okazało się, że Karczochy warte były 60—70.000 a w kasie Wertheimowskiej znaleziono sporą paczkę Listów zastawnych i hipotecznych. Pani Błażejowa była dziedziczką pięknego majątku, p. Błażej mężem tej dziedziczki, a panna Elżbieta jako ich córka jedynaczka — świetną partyą, na którąby się i niejeden hrabia galicyjski mógł złakomić.

Panna Elżbieta jednak nie zdawała się odczuwać radości swoich rodziców. Smutna była, nad wszelki wyraz smutna.

Nie spostrzegł tego p. Błażej, którego dusza kąpała się w rozkosznem poczuciu dziedzictwa a wszystkie myśli roiły ambitne plany, o których przedtem nigdy mu się nawet nie śniło. Uczuł się on całkiem innym człowiekiem, zgoła niepodobnym do tego „mieszczucha“ jakim był dawniej. Brzdąkał tylko jak dawniej wskazującym palcem na dolnej wardze jak na dumli, zatopiony w przyglądaniu się swej wielkości, nie słyszał co do niego mówiono, nie widział co się w koło niego dzieje. Niedziw tedy, że go nie uderzyła wcale bladość i zmieniony wyraz twarzy jego jedynaczki.

Macierzyńskie oko pani Błażejowej było bystrzejsze.

— Czegoś mi tak posmutniała Żusiu? co tobie jest? czyś ty nie słaba?

— Nic mameiu; żal mi poczciwej cioci Kundzi.

— Nie, Żusiu, nie. Powiedz dziecko prawdę? Tu się chyba coś stało wczasie naszej niebytności?

— Nic się nie stało, mameiu.

— Nic? czy j a k m n i e k o c h a s z, nic?

Na to zaklęcie, trudno było Żusi zataić dłużej prawdę. Dwie łzy duże, jak dwa ziarnka grochu stoczyły się po jej twarzy.

— Dziecko, moje dziecko drogie! co ci jest?

I zcałowała te łezki z twarzy dziewczęcia. A słówko po słówku, wyciągała z Żusi opowiadanie o całem zajściu w czasie napowietrznej podróży pana Damma i o ostatniej jej rozmowie z panem Teodorem.

— Moje dziecko — rzekła, dowiedziawszy się o wszystkiem — ty dziś świetną jesteś partyą, mogłabyś lepiej pójść za mąż....

I po chwili z nietajonem zadowoleniem szepnęła, patrząc w oczy jedynaczki, to pełne pokusy słowo:

— ... może za jakiego hrabiego!

— Nie chcę mamo! nie chcę! ja jego jednego tylko kocham. Za niego pójdę, albo za nikogo.

I rozpłakała się w głos.

Objęła jej główkę w ramiona pani Błażejowa, złożyła spłakaną twarzyczkę na swem łonie. Ukoiła ją rychło.

— Nie płacz dziecko nie płacz! Będziesz panią Teodorową! Już ja w tem!

— Kiedy on myśli, że ja kocham pana Marcelego!

I jeszcze głośniejszym wybuchnęła płaczem.

— Nie bój się dziecko, już ja mu to wyperswaduję.

Tu Żusia opowiedziała matce o szlachetnym postępku Teodora i o wykupieniu przez niego wekslu u p. Bonifacego.

Pani Błażejowa rozrzewniona była tym dowodem jego poświęcenia i zjednał ją fakt ten jeszcze bardziej dla pana Teodora, dla którego zawsze była przychylną. Przekonaną była, że i na jej męża wywrze ten szlachetny postępek Ucewicza wpływ decydujący i szalę przeważy według życzenia córki. Postanowiła tedy opowiedzieć mu rzecz całą bezzwłocznie. Nie wątpiła o tem, że potrafi mu wybić z głowy mrzonkę, o której przez całą drogę z powrotem gadał, że Żusię wydać musi „już co najmniej“ za jakiego hrabiego.

Na pana Błażeja jednak fakt ten wcale niespodziewane wywarł wrażenie: oburzył go w niesłychany sposób. Przekonany on był, że Ucewicz wykupując weksel, wiedział już o sukcesyi po ciotce Kunegundzie. Nie dał sobie tego wyperswadować. Nazwał Ucewicza „przebiegłym frantem“, a ten przydomek był najmniej może hańbiącym z pomiędzy całego tuzina innych, któremi go utytułował.

— Co? co? taki Ucewicz! on śmie o tem marzyć, abym ja mu córkę dał! a chyba bym oszalał! Za co on mnie ma, mnie, dziedzica dóbr! Taki nędzny urzędniczyna! patrzcie go! Nie dla psa kiełbasa!

— Mój Błażuniu kochany, przecież go zawsze szanowałeś, inaczej zawsze mówiłeś o nim i nie byłeś temu przeciwny, aby Żusia poszła za niego, jeśli tylko lepszą uzyska posadę....

— No — parsknął oburzeniem pan Błażej — no i cóż? czy ją może uzyskał?

— Ale *my* teraz mamy majątek....

— To też właśnie, że mamy, to jemu wara! jaki mi! Niech się nie waży ani progu przestąpić!

— Ależ to przecież nasz krewny!

— Pfu! co mi to za krewny! jak dziesiąty kół w płocie! Wstydby mi było takiego... „kołtuna“!

— Mój Błażuniu! — błagającym tonem reflektowała go małżonka.

— Już ty mi tego nie gadaj! — wrzeszczał pan Błażej. — I dodał patetycznie: Ciotka nasza w grobieby się przewróciła, gdyby wiedziała, że jakiś tam Ucewicz będzie śmiał oczy podnieść na nasze dziecko!

— Błażuniu, opamiętaj się! przecież tu idzie tylko o szczęście Żusi — a ona go kocha!

(C. d. n.)

mamy słuszną pretensyą i tego się domagamy, ażeby w państwowych kolejach w Galicyi, byli używani w służbie tak samo Polacy, jak w styryjskich, austryackich i morawskich Niemcy a w czeskich Czesi.

Do owej nowej sieci kolei państwowych w Galicyi, która będzie kosztować 43 miliony, przyczynia się Galicya *ad hoc*, jako kraj koronny najbardziej interesowany jednym milionem, a oprócz tego ów dług państwowy, jaki na tę budowę zaciągnięty zostanie, umarzać będzie Galicya pospołu z innemi prowincyami państwa w corocznych podatkach — a zatem nie tylko we wszystkich wyliczonych 58 milionach, ale także w innych prowincyach pobudowanych kolejach państwowych zawarty jest ekwiwalent na Galicyą przypadający, plus owego jednego miliona. Nie za wasze więc niemieckie, ale za nasze wspólne pieniądze koleje te się budują, równie jak budowały się koleje czeskie, arlsbergska i t. p. a każda z tych kolei jest w interesie nie tylko kraju, ale i państwa, któreby pewnie specyalnie dla jednej prowincyi większego nakładu nie robiło, jak dla drugiej, gdyby ogólne interesa państwowe, tak polityczne jak ekonomiczne i strategiczne tego nie wymagały.

Niechże pan Plener sprostuje wobec swoich zentuzyazmowanych wyborców swe fałszywe wywody i cyfry. Przyjdzie czas, kiedy i ci wyborcy przejrzą, a wtedy źle będzie z ich zaufaniem do p. Plenera. Marienbad, 18 czerwca.

mapę ... strya- ... ystwa

w Odessie, które zamyśla uorganizować żeglugę parową na Bugu, że w celu zbadania jego biegu studyów dokonywał. Odstawiono go do Siedlec. Wiemy, że oddawna istnieje myśl urządzenia żeglugi parowej na Bugu i Narwi i że studya nawet rozpoczęte zostały. Zkądże więc podejrzenie o szpiegostwo militarne, rzucone na spokojnego inżyniera?... chyba dlatego, aby ocalić istotnego szpiega moskiewskiego, oficera sztabu, który w tych dniach, jak się z najpewniejszego źródła dowiaduję, został przychwycony na gorącym uczynku, gdzieś w Galicyi. Zła to pewnie rachuba. Boć sądzę, że chyba rząd austryacki winnego nie zamieni za niewinnego.

Z Petersburga w tych dniach przybywa p. Giers b. minister skarbu generał, sztabowiec i p. Heyden b. naczelnik sztabu w celu zrobienia inspekcyi armii w Kongresówce rozlokowanej.

Dyrekcya wszystkich kolei w Królestwie zwłaszcza Warszawsko-Wiedeńskiej i Warsz.-Bydgowskiej otrzymały rozporządzenie, aby na dzień 1 (13) lipca miały cały tabór, potrzebny w razie mobilizacyi, gotowy.

Wystawa, wyścigi, jarmark prawie skończone! Nagrody na wystawie rozdano dnia 16 czerwca; ostatni wyścig odbył się w dniu 19. Szlachta rozjeżdża się tłumnie a za nią kto może umyka z miasta, aby odetchnąć świeżem wsi powietrzem. Rozpoczynają się po letnim karnawale „ogórkowe czasy“.

Sprawę Żukowicza sądzono przy drzwiach zamkniętych, nie puszczano nawet adwokatów. Żukowicz się pokazał zakutym Moskalem. W memoryale, przy podawaniu którego uderzył Apuchtina, powiada, że należy „kraj prywiślańskij“ zmoskwicić, dokonać jednak tego przez taką „drań“ jak Siengielewicze nie można (Żukowicz miał zatarg z Siengielewiczem, dyrektorem gimnazyum lubelskiego i we wspomnianym memoryale roz-

a cieszy się dotąd niezwykłą czerstwością. Do r. 1877 pełnił służbę w Petersburgu w gwardyi konnicy, a surowość jego znaną była podwładnym. Podczas wojny tureckiej zdobył sobie imię nieustraszonego żołnierza; zuchwałe przejście jego przez Bałkan i pochód aż pod Adryanopol zjednały mu największą popularność; lecz gdy go nagle Turcy zmusili do odwrotu, utracił łaski Aleksandra II i z rozkazu cara wrócił do Petersburga. Zdawało się przeto, że tu koniec jego karyery. Gdy wszelako gwardyą powołano na pole walki, stanął do niej i Hurko. Po upadku Plewny znowu odzyskał sławę dzielnego generała konnicy, gdy przekroczywszy ponownie Bałkan, stoczył bitwę pod Filipopolem. Wtenczas to car nie szczędził mu objawów łaski; i cesarz Wilhelm nie był zwycięstw obojętnym świadkiem, darząc Hurkę orderem *pour le mérite*. Po zamachu Sołowiewa na Aleksandra objął Hurko generał-gubernatorstwo Petersburga. Zrazu z szorstką występował surowością; później jednakże złagodniał dziwnie, ułaskawił Mirskiego skazanego na śmierć za zamach na Drentelna, czem znowu ściągnął na siebie carską niełaskę. Po eksplozyi w zimowym pałacu postradał wysoki urząd, i czynnym już nie był do końca życia Aleksandra II. Car następca powierzył mu gubernatorstwo Odessy, i tu znowu zwrócił na siebie Hurko uwagę kół wojskowych w czasie zeszłorocznych manewrów konnicy. *Germania* twierdzi, że Hurko z urodzenia jest Polakiem i katolikiem. My zaś tylko wiemy, że pochodzi z Litwy. Car Aleksander III nie zamianuje Polaka katolika gubernatorem Warszawy. To też inne dzienniki niemieckie, między niemi *Nat. Ztg* objaśniają, że „Albedyński był człowiekiem wykwintnych form, pojednawczego usposobienia tak, iż Polacy obcowali z nim chętnie. To też moskiewscy słowianofile spoglądali na to ze zgrozą i zdawna już czynili starania, żeby Albedyńskiego w Warszawie zastąpił raczej jaki człowiek w rodzaju Murawiewa. Nominacya Hurki zapewne spełniła ich życzenie;

Mamy przed sobą manifest wyborczy stronnictwa narodowego czeskiego, umieszczony na czele wszystkich czeskich dzienników. Brzmi on w streszczeniu jak następuje:

„Czesi! wreszcie rozwiązany został Sejm krajowy, gdzie Czesi stanowiący większość naszego królestwa byli w mniejszości. O moralnej jego wartości wolimy zamilczeć. Wreszcie, mamy nadzieję, iż z nowych wyborów taki skład przyszłego Sejmu uzyskamy, któryby naród czeski przed dalszymi bronił nieprawościami i zagwarantował mu słusznie i prawnie należącą się miarę swobód autonomicznych. Otóż, jeżeli nie zaniedbamy obywatelskiego obowiązku przystąpienia do urn wyborczych i wybrania dzielnych i ojczyznę miłujących mężów, to możemy być pewni przeprowadzenia stopniowego tych reform, których dobro naszej ojczyzny i całej monarchi wymaga. Tym sposobem w granicach legalnych złożony będzie los naszej ojczyzny w wasze własne ręce. Ma to dla nas wielkie znaczenie — choć daje nam tylko możność nie zaś gwarancyą pomyślnego skutku, do którego długa i trudna jeszcze prowadzi droga. Zastarzałe tradycye administracyi rządowej, przesądy pewnych klas wpływowych itp. względy i obawy, abyśmy osiągnąwszy większość nie żądali za wiele, wszystko będzie stawać na drodze pracy naszej reprezentacyi, która nie młodzieńczym entuzyazmem, lecz samą męzką żelazną wolą kierować się powinna. Lecz jeszcze cięższą jest nieufność naszych niemieckich obywateli dla nas, którą tendencyjnie wyzyskują ci, którzy nam odmawiają równouprawnienia i uzurpują sobie hegemonię nad nami, a rodaków przeciw nam popychają do walki. W tym celu straszą ich bajką, że my chcemy ich zczechizować i zgnieść. Jedni z nich wiedzą, jaką nam tym sposobem wyrządzają niesłuszność, inni nie pojmują, jakbyśmy mogli, doszedłszy do większości użyć jej w inny sposób, niż ją oni przeciw nam

narodowego z r. 1789, wzniesionym został narodowy pomnik w r. 1889.

Admirał Pierre przesłał Małgaszom ultimatum z tych punktów złożone: 1) Uznanie protektoratu Francyi nad północno-zachodniem wybrzeżem według ugody z r. 1841. 1) Zapłacenie indemnizacyi $1^1/_2$ miliona. 3) Regulacy aokreśleń co do prawa nabywania ziemi przez Francuzów. Ultimatum pierwsze Howasi odrzucili. Francuzi wzięli Tomatave, zniszczyli Foulpointe, Mohambo Tenerive i Horasi. Stan oblężenia ogłoszony.

Sprawy miejskie.

***Kraków**, 22 czerwca.*

Posiedzenie Rady miejskiej dnia 21 czerwca. Przewodniczący prezydent miasta dr. Weigel.

Obywatele ulicy garbarskiej i łobzowskiej, korzystając z okoliczności przejścia garbarni przy ul. Łobzoskiej w inne ręce upraszają w podaniu zaopatrzonem 32ma podpisami, aby Rada miejska uwolniła mieszkańców tych ulic przynajmniej teraz od zaraźliwych wyziewów gnijących skór i resztek zwierzęcego zepsutego mięsa, o co już dawniej kilkakrotnie upraszali. Pismo to przekazano komisyi sanitarnej.

R. m. Rzewuski przedstawia wniosek następujący: W dzienniku *Czas* z 16 b. m. dr. Jan Leniek zwrócił uwagę, iż szczegóły uroczystego obchodu pamiątki zwycięstwa odniesionego pod Wiedniem są już ogłoszone przez komitet lwowski i krakowski, pominięto jednak, jaki w nich weźmie udział młodzież szkolna.

Przytaczając opisy, w jaki sposób uroczystości te były obchodzone 100 lat temu w Warszawie i Wilnie, daje zarazem wyjątki mów mianych w tym czasie, które dostatecznie pokazują, jaką uwagę przywiązywano do wykształcenia młodzieży, a słowa wyrzeczone wówczas przez Mareckiego „jakie szkoły taki naród“ dostatecznie te pojęcia charakteryzują.

systemu rządzenia Polakami, bezsilną jest nawet uczciwsza osobistość generał-gubernatora — była sposobność zaznaczenia zmiany systemu. Tą sposobnością było przyjęcie koronacyjnej deputacyi z

winniśmy zawsze obejmować.

Zabawnie się złapał znany (§§) lwowski korespondent *Czasu*. Szereg artykułów o Banku, które podajemy na innem miejscu naszego pisma, a

mi powodować się nie będzie. Niecierpliwie oczekujemy wiadomości, czy Kraszewski ma obrońcę prawnego i kto nim jest — niewątpliwie bowiem, jeżeli da się co zrobić, to koniecznie przez obrońcę prawnego działać należy. Nie mamy własnej dyplomacyi, którąby się upomnieć mogła o krzy-

kredytu hipotecznego wielkiej własności ziemskiej jest bardzo dobry. Można się spierać o szczegóły, trzeba się na wszystkie intencye zgodzić, tem bardziej, że jedna z dróg obranych przez p. Wrotnowskiego do stworzenia ustawą pewnych odbiorców na listy zastawne, wskazana w dobrej myśli

Chciał p. Wrotnowski zaprowadzić premia loteryjne, ale projekt ten rozbił się o szkopuł — zdaje się moralnych pojęć — p. ministra finansów. Wobec tego nie wiemy dobrze, jaki nowy środek zostanie użytym, ażeby zbyt listów zastawnych ułatwić, nie być zależnym przy większych

DRUGA MIŁOŚĆ.

10) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

Tu już pan Błażej nie mógł pohamować się w gniewie. Aż poczerwieniał na twarzy:

— Nie waż mi się nawet mówić o tem! Kocha! pfiiu! kocha!... To twoja wina, jeśli jej takie głupie amory w głowie! Takeś ją wychowała!... Kocha! wielkie mi rzeczy! Cóż to, aktorka, czy co? żeby miała koniecznie kochać!... Dałbym ja jej takie kochanie! Wyrzekłbym się jej wydziedziczył! słyszysz? wy-dzie-dzi-czył!

Pan Błażej zapomniał w tej chwili, że Karczochy nie są jego, ale jego małżonki własnością.

— Przecież sam nie byłeś temu przeciwny! — zauważyła pani Błażejowa, wzruszając ramionami. A łzy miała w oczach.

— Byłem, nie byłem; co było a nie jest, nie pisze się w rejestr!... Nauczę ja go! dom mu wymówię! Jak będziemy mieli lokaja w liberyi, każę go ze schodów strącić, gdyby się ważył tu pokazać!

— Fe, Błażuniu, fe!... A on tak szlachetnie sobie postąpił....

— Co? szlachetnie?... Haniebnie! nikczemnie! Dowiedział się szczwany filut, żeśmy odziedziczyli Karczochy i nuże w galop wyjechał ze swojem poświęceniem. Do *Szczutka* takie poświęcenie! Bałwan jakiś! Myślał, że ja się dam złapać na plewę. Głupiec!

— Przecież on nie mógł wtedy wiedzieć, bo wszakże my sami nie wiedzieliśmy jeszcze, że ciocia nam zapisała....

— A jeśli nie wiedział, to jeszcze gorzej! Chciał mieć nas w ręku, chciał nas tym wekslem przymusić, abyśmy mu Żusię dali. Łotr!... Niedoczekanie twoje! Obaczysz ją, jak swoje ucho!... Jak tylko przyznają nam dekret dziedzictwa i obligacye wydadzą, zapłacę — ho! zaraz mu zapłacę! Ale kwita z nami, kwita! Niech mi się nie pokazuje na oczy!... do krocset tysięcy dya...

— Mój Błażuńciu!... przerwała przerażona pani Błażejowa, — tylko nie sadź dyabłami. Już wszystko będzie jak chcesz, tylko nie sadź!

Pan Błażej wielkiemi krokami chodził zaperzony po pokoju i sapał z emocyi. Pani Błażejowa, siedząc przy oknie z robotą w ręku, odłożyła ją na bok i ukradkiem ocierała łzy.

Wysapał się nieco pan Błażej. Spojrzał na żonę:

— No, i czegóż płaczesz, do krocset....

— Nie sadź Błażku, nie sadź! Już nie płaczę.... Żal mi tylko dziecka!...

I znowu wybuchnął gniewem pan Błażej. Cierpliwie wysłuchała jego fochów zacna małżonka — a gdy jej się zdawało, że się nieco udobruchał, zaczęły się perswazye i zaklęcia. Była to taktyka, która dotąd przez ćwierć wieku małżeńskiego ich pożycia, zawsze okazywała się skuteczną.

Niestety! tym razem zawiodła. Pan Błażej po raz pierwszy w życiu był nieugiętym, nieprzystępnym dla argumentów najbardziej przekonywających, nieczułym na łzy połowicy.

Odszedł wreszcie do swego pokoju i w tem usposobieniu napisał list do p. Teodora.

Wiemy już, w jakim stanie otrzymał go nasz bohater. List ten złamał go do szczętu i przyspieszając wybuch niebezpiecznej choroby, powalił go na łoże.

Żusia ani o liście ojca, ani o chorobie pana Teodora nic nie wiedziała. Na jej zapytanie, czy mówiła z ojcem, odpowiadała pani Błażejowa w sposób wymijający i gładząc jej bladziutką twarzyczkę, dodawała tylko:

— Ojciec nie jest za tem, nic mu teraz nie wspominaj o panu Teodorze, boby się bardzo gniewał. Ale nie bój się dziecko, nie troszcz się, nie martw! Już ja to biorę na siebie wszystko będzie dobrze.

Ale tajemnica inną drogą doszła do wiadomości dziewczęcia. Wydała sekret Maryna, którą pan Błażej posyłał był z owym listem do pana Teodora. Powiedziała o tem panience przy pierwszej nadarzonej sposobności, nie przeczuwając, jakie ta wiadomość będzie miała dla Żusi znaczenie. A tę sposobność wspomnienia o liście, nastręczyła jej nowina powzięta na targu od stróżowej domu, w którym mieszkał p. Teodor, nowina o jego ciężkiej chorobie....

Łatwo wyobrazić sobie, jakie te dwie wiadomości naraz otrzymane, wywarły wrażenie na srodze zaniepokojone już przedtem serduszko dziewczęcia.

Żusia nie wątpiła ani na chwilę, że to list jej ojca przyprawił o tę chorobę pana Teodora. Wszak kilka razy napomknął o nim z dziwnem jakiemś szyderstwem, prawie z pogardą, jako o dawnym jej konkurencie—a potem rozgadał się zawsze szeroko o hrabiach, hrabskich majątkach i stanowisku w świecie.... Och, to pewnie z powodu tego listu jej ojca, p. Teodor nie odwiedził ich wcale, pewnie list ten odbierający mu nadzieję wpędził go w niebezpieczną chorobę!

Ale co teraz robić? co tu robić? — I rozbijając się z myślami przez noc całą w swej panieńskiej izdebce, wymyśliła wreszcie środek, jedynie skuteczne jej zdaniem lekarstwo na chorobę ukochanego. Postanowiła napisać do niego.

Miłość dodała jej odwagi. Napisała list—dwućwiartkowy.

Nazajutrz z rana, Maryna zaprzysiągłszy najściślejszą tajemnicę, odniosła list i według zobowiązania oddała go do rąk własnych p. Teodora.

Dzięki staraniom przyjaciela, lekarza, odzyskał on był przytomność. Poznał wchodzącą do pokoju Marynę, zrozumiał wyrzeczone przez nią wyrazy: „od panienki“ i list własną ręką odebrał.

Czytać go niemógł.

Trzymał go długo w ręku nieruchomie. Myśli jakieś dziwne przebiegały go dreszczem, niezwykłe wrażenie cuciło go z bezdusznej martwoty w jaką pogrążyła go była choroba, ale wpływem tego wrażenia przywołane siły, wyczerpywały się samem myśli natężeniem. Trzymał list w ręku, próbował rozerwać kopertę; naprożno—sił mu na to nie starczyło. Odpoczywał długo. Oczy zachodziły mu mgłą, zamykał je i otwierał znowu po chwili. Zapadał w mrzonkę i cucił się chwilami od dotknięcia tego listu, jakby od dotknięcia elektrycznego przewodnika.

Karol nieśmiał odebrać mu listu. Te słowa z jakiemi był list doręczony: „od panienki“, dały mu wiele do myślenia. Kto wie—pomyślał—może to wrażenie wywoła pożądaną reakcyę, może go uzdrowi.

Rozjaśnił się pochmurny dzień jesienny a promień słońca upadł na łoże Teodora. Drgnął chory i ocknął się z długiej mrzonki. Heroicznym siły porywem udało mu się rozerwać kopertę listu. Wyjął go rozłożył, poniósł do oczu, — nie był jednak w stanie rozróżnić liter. Trzymał go jakiś czas przed oczyma, wreszcie opadła mu ręka bezwładnie na kołdrę. Westchnął boleśnie i znużony nadmiernym wysiłkiem przymknął powieki.

Długie mijały chwile, zanim ponowił próbę czytania. Naprożno. Siły mu niestarczyły nawet na to, aby list utrzymać przed oczyma, ręka drgała gwałtownie. Tylko papier w ręku niezrozumiałym doń przemawiał szelestem.

Żusia nigdy jeszcze nie pisała do niego. Cóżby list jej mógł zawierać? Naprożno tonął w domysłach; tysiączne przypuszczenia złe i dobre, jak blade ogniki błędne migotały i gasły mu w mózgu.

Naprożno! on nie przeczyta tego listu, nie dowie się, jakie w nim wieści — chyba kiedyś, jak wyzdrowieje... jeśli wyzdrowieje... jeśli!...

A to może rzecz jaka nagła? nie cierpiąca zwłoki? może ona pomocy jego wzywa? może obrony? rady?... A on bezwładny, nawet słów jej odczytać nie jest w stanie! ach, to okropne!

Może umrę — i nie odczytam?... Ach! gdyby żyć! żyć, wyzdrowieć, obaczyć ją raz jeszcze! Ach, gdyby ją obaczyć szczęśliwą, uśmiechniętą... choćby z drugim.... I potem umrzeć.

Poniósł mozolnie list do ust i ucałował.

(C. d. n.)

Kraków, 23 czerwca.

Jeszcze porządek dzienny wiecu ruskiego nie jest ogłoszony, jeszcze ruskie dzienniki zupełne o nim zachowują milczenie, a już lwowski korespondent *N. fr. Presse.* — widocznie mający bardzo dobre stosunki z komitetem wiecowym — telegrafuje swemu pismu co następuje:

„Na wczorajszem (21 bm.) posiedzeniu wieczornem przywódzców ruskich ułożono porządek dzienny wiecu. Naprzód przyjdzie pod obrady wniosek do rezolucyi w sprawie ekonomicznych stosunków Galicyi (referent inżynier Nahorny) — drugim punktem jest rezolucya w sprawach szkolnych (ref. redaktor Ustyanowicz); następnie wniosek treści prawno-politycznej (ref. prof. Wachnianin). O dwóch następnych przedmiotach rozpraw (referenci: redaktor Audykowski i poseł prof. Romańczuk) komitet dopiero jutro poweźnie uchwałę. Wszyscy referenci należą do młodoruskiego stronnictwa. Dotychczas więcej niż 400 uczestników zgłosiło się do udziału w wiecu“.

Jeżeli się sprawdzi, że referentami będą sami, a przynajmniej przeważnie „młodzi“ — możemy wiec uważać zawsze jako pewien krok ku lepszemu. Nie jakobyśmy posądzali „młodych“ o większą gotowość do zgody — przeciwnie są oni przeciw „polityce polskiej“ nie mniej nieprzyjaźnie usposobieni jak świętojurcy — ale mają tę wysoką zaletę, że są szczerymi Rusinami, że moskalofizm à la Naumowicz jeszcze się ich nie chwycił. Tacy — prędzej czy później przejrzą, iż jakiegoś *modus vivendi* trzeba szukać. Oby mieli oni większość na wiecu!

Sejm dolno-austryacki zakończył narady, uchwaliwszy wszystkie wnioski komisyjne w duchu „zjednoczonej lewicy“. Zaznaczona wczoraj przez nas prowokacya ze strony *N. W. Tagblatt*, ażeby uniwersytet wyparł się swego rektora Maassena — nie pozostała bez skutku. Studenci

śliwe!“

Jak się rząd zachowa co do dalszej akcyi kościelno-politycznej, można wnosić z mocno dyplomatycznie niejasnej odpowiedzi, danej przez ministra Gosslera w komisyi na odnośne zapytania posła Windhorsta. Na zapytanie posła Windhorsta: 1) czy rząd przez przedłożenie niniejszego projektu stawia się na stanowisku jednostronnego prawodawstwa państwowego i nie zamierza już dalej pertraktować z Kuryą, i 2) czy niniejszy projekt ma być uważanym za rewizyą ustaw majowych— oświadczył minister Gossler:

ad 1). Odpowiedź na to pytanie wypływa z położenia rzeczy. Pruskie poselstwo przy kuryi nie jest misyą specyalną do porozumienia się w pewnych, bliżej oznaczonych sprawach, lecz jest takiem samem poselstwem, jak każde inne t. j. instytucyą do utrzymywania stosunków pomiędzy dwoma mocarstwami. Czynność też tego poselstwa i po załatwieniu niniejszego projektu pozostanie taką samą. Odpowiada to też naturze stosunków, że pomiędzy posłem pruskim, a kuryą toczyć się będą dalsze rokowania w sprawie kościelno-politycznego prawodawstwa;

ad 2). Na drugie pytanie trzeba odpowiedzieć przecząco. Chcąc zająć praktyczne stanowisko wobec tego pytania winien rząd zaczekać na przebieg obrad komisyjnych. Rząd ma silną nadzieję, że skoro przyjdzie do porozumienia co do pewnych punktów, to następstwem tego będzie dalsze porozumienie w innych kwestyach.

Do *Wieku* warszawskiego piszą z Petersburga:

„Dokonana wskutek ukazu z dnia 18go b. m. przemiana w zarządzie policyjnym i miejskim m. Petersburga, jest przedmiotem powszechnych uwag i rozmów. Dwa lata jeszcze nie upłynęły od zwinięcia urzędu „gradonaczalnika“ i przywrócenia urzędu oberpolicmaistra i ten nowy stan rzeczy, zamiast przyjąć się i utrwalić, wywołał cały szereg kontrowersów między władzą policyjną a administracyjną, której przedstawicielem

mu w całości kwotę 506 złr. biorąc za podstawę stopę $3/^{8}_{10}$ prc. od ogólnej sumy kosztów jako wynagrodzenie za projekt i budowę kramów w dolnej halli Sukiennic; 4) Rada miasta udziela p. inżynierowi Prylińskiemu na tegoż żądanie absolutoryum z odbudowy Sukiennic i zezwala na wydanie kaucyi w kwocie 5000 złr. dotychczas w przechowaniu kasy miejskiej będącej.

Pierwszy zabiera głos w tej sprawie r. m. dr. Zoll i oświadcza, że były prezydent miasta czyniąc w dniu 7 lutego 1881 r. wniosek wynagrodzenia p. Prylińskiego za czwarty rok budowy Sukiennic musiał mieć przecie jakąś podstawę. Sądzi więc, że sekcya prawnicza dla tego tylko przyszła do odmiennego zdania aniżeli b. prezydent, że się trzymała bardzo ściśle litery prawa; sprawdza się tu więc zasada: „summum jus summa injuria“. Mógłby się zresztą i o zasady prawne w sprawozdaniu przytoczone rozprawiać; lecz zostawia je na boku a porusza tylko stronę słuszności. Oparkanienie Sukiennic nastąpiło w sierpniu 1875 r., kontrakt zaś został zawarty z końcem grudnia 1875 r. Już ta okoliczność dałaby dostateczną podstawę do przyjęcia, że roboty rozpoczęły się z dniem 1-go stycznia 1876 r. a więc trzy lata, przez które miała trwać budowa, skończyły się z dniem ostatnim grudnia 1878 r. Jeżeli p. Pryl. po tym terminie budowy nie skończył, to nasuwa się pytanie, czyja w tem wina. Co innego, jeżeli do budowy nikt się nie wtrąca, wtenczas opóźnienie można kłaść jedynie na karb budowniczego. Inna rzecz zaś, jeżeli budową kieruje komitet odbywający liczne posiedzenia wstrzymujące postęp budowy. Może być, że jest w części wina p. Pryl., że się do planów nie stosował, ale też może nie zawsze mógł się do nich stosować. To jedno jest pewnem, że o brak pilności p. Prylińskiego posądzić nie można. Czyż jest więc słusznem, jeśli biuro p. Pryl. funkcyonowało $4^1/_2$ roku, aby mu za czas nadkontraktowy nie przyznano jakiego wynagrodzenia? Sukiennice wprawdzie są kosztowne, ale każdy musi przyznać, że mamy budowlę piękną, monumentalną. W skutek tego, że gmach ten powstał

nie wniosku do sekcyi prawniczej byłoby wtedy na miejscu, gdyby on pochodził obecnie ze sekcyi gospodarczej. Skoro tak nie jest, więc sądzi, że należy odesłać wniosek do sekcyi gospodarczej, aby ta orzekła, czyli ze względów słuszności należy się p. Prylińskiemu jakie wynagrodzenie.

R. m. dr. Jordan oświadcza ponownie, że nie jest udowodnione, iż jedynie na p. Prylińskim ciąży wina nieukończenia budowy w trzech latach. Co do zarzutu, że planów nie było, to ten może się odnosić do komitetu, gdyż ten nie powinien był zezwolić na rozpoczęcie budowy bez dokładnych planów.

R. m. dr. Zoll zastrzega się przeciw mniemaniu, jakoby obwiniał komitet o spowodowanie zwłoki. Chciał on tylko wykazać, że jeżeli plany musiały iść do Wiednia, jeżeli wreszcie były dyskusye nad planami, to nie może opóźnienia z tego powodu kłaść na karb p. Prylińskiego. O łasce dla p. Prylińskiego ani myślał, domagał się tylko słuszności. P. Pryliński łaskiby nie przyjął, ani też go do żądania łaski nie upoważniał. Plany ogólne były od początku, a tylko szczegółowe plany były dorabiane. Pan Pryliński jest artystą i dlatego może być niepraktycznym; ale piękność budynku jest główną zasługą pana Prylińskiego, jak znów z drugiej strony praktyczność może być zasługą komitetu.

R. m. Friedlen przypomina, jakim torem sprawa odbudowy Sukiennic postępowała. P. Pryliński, człowiek młody, pełen zapału, nie mógł się doczekać chwili rozpoczęcia budowy, wyprosił więc sobie u b. prezydenta pozwolenie do zaparkanienia połowy rynku. Plan Sukiennic był wystawiony w gmachu Towarzystwa sztuk pięknych. Był to jednak plan fantastyczny; rozgrzał on wszystkich, którzy go oglądali, lecz kto się zimniej nań zapatrywał, widział, że plan ten nie da się wykonać, był bowiem nonsensem technicznym. Pomimo więc zaparkanienia nie można było nic robić, bo właściwie planu nie było. P. Pryliński bowiem przypatrzywszy się bliżej Sukiennicom przekonał się, że tak Sukiennic restaurować nie można. A więc komitet nie funk-

ospy. Wniosek ten przyjęto i przekazano magistratowi do wykonania. Dr. Zarewicz podał do wiadomości własne swe spostrzeżenie, iż obecnie umiera w Krakowie na kiłę wrodzoną daleko więcej noworodków niż dawniej. Dało to powód do obszernej dyskusyi, w której brali udział prawie wszyscy obecni i w której wykazywano, iż zapobieganie wszelkiemi siłami szerzeniu się kiły jest tem większym obowiązkiem, ile że wiemy dziś daleko więcej niż dawniej o nader szkodliwym a częstym wpływie tej choroby na układ nerwowy. Do zbadania tej sprawy i przedłożenia odpowiednich wniosków wyznaczono podkomisyę z radców miejskich drów Domańskiego, Pareńskiego i fizyka szpitala dra Zarewicza. Fizyk miejski zawiadomił, iż poskramia wszelkiemi siłami działanie partaczy lekarskich i dalej rewiduje mieszkania stróżów domowych, starając się o zaradzenie złemu pod względem higienicznym. Odczytano pismo Dyrekcyi szpitala św. Łazarza, użalającej się na zanieczyszczenie ulicy Kopernika materyami powietrze w okolicy szpitala bardzo zatruwającemi. Ponieważ pokazało się, iż przyczyną zanieczyszczenia wspomnianej ulicy był niestósowny wywóz odpadków z pobliskiego browaru, przeto na wniosek r. m. dra Domańskiego polecono magistratowi zbadać dokładnie sposoby usuwania odpadków fabrycznych ze wszystkich browarów w Krakowie i zaradzić doszczętnie złemu, na które użala się dyrekcya św. Łazarza. Na żądanie sekcyi ekonomicznej Rady miasta oznaczono skład chemiczny dla najodpowiedniejszego proszku desinfekcyjnego. Na wniosek r. m. dra Domańskiego uchwalono zwrócić uwagę magistratu na konieczną i pilną potrzebę założenia w ulicy Starowiślnej kanału dla wód meteorycznych i gospodarczych i uporządkowania wylotu ulicy św. Marka wzdłuż muru klasztoru Reformatów ku plantacyom.

ani jest, ani może być programem“.

Więc to, co dnia 29 marca było pro-

jących mu piętno i charakter polityczny“.

łej reakcyi. Środkami policyjnej represyi nie walczy się skutecznie z opinią opozycyjną, owszem, osiąga się skutek przeciwny. Wszelka tego rodzaju represya jest niezgodna z duchem konstytucyo-

Kraszewskiego przez niemiecką policyę trwa już lat kilka.

„Kraszewski, który się do żadnej winy nie poczuwa, nie zna jego powodów.

niemi rajcy i burmistrz Wiednia, dalej wysoki Sejm Niższej Austryi a wreszcie kto żyw i łaskaw w licznym obozie niemiecko-liberalnym, a szczególnie legion niezliczony strachajłów wszel-

z nimi byłoby głupstwem i śmiesznością tem większą, że mimo tak bezczelnie rubasznej i widocznej blagi, cel ich osiągnięty. Alarmu narobiono huk, puszczono masę wody na młyn zje-

DRUGA MIŁOŚĆ.

11) **Nowella.**

(Dalszy ciąg.)

Ożywiło mu się blaskiem jakimś oblicze — jakby po przyjęciu wiatyku.

Skinął na przyjaciela. Karol nachylił się nad nim, pytając, czego żąda.

— Umrę? — szepnął chory, podnosząc z lekka głowę spoczywającą na poduszkach i spojrzał na lekarza badawczo.

— Nie, będziesz zdrów.

Teodor milczał. Zdawało się, że odpowiedź ta nie zaspokoiła go. Opadła mu głowa napowrót na łoże, pofałdowało się czoło. Po chwili jednak twarz jego znowu pogodniejszy przybrała wyraz. Tonem spokojnej rezygnacyi szepnął, jakby sam do siebie:

— Umrę!...

Przymknął powieki i zdawał się drzemać. Oddech jego był tak cichy, że Karol kilkakrotnie z niepokojem nadsłuchiwał, czy oddycha.

Minęło pół godziny w takim śnie. Od czasu do czasu poruszały się dziwnym jakimś ruchem palce wyciągniętych na kołdrze rąk jego. Nagle list, którego z prawej ręki nie wypuszczał, zaszeleścił, a chory, szelestem tym zbudzony, ocknął się i przetworzył oczy. Powiódł niemi błędnie do koła, szukając lekarza. Karol nachylił się nad nim.

— Czy chcesz czego?

Chory milczał. Ale walka jakaś wewnętrzna malowała mu się na twarzy. Wreszcie wyciągnął rękę z listem ku przyjacielowi i spytał ledwie dosłyszanym głosem:

— Co pisze?

— Przeczytać ci? To cię zmęczy.

— Co pisze? — powtórzył niecierpliwie.

Powtórzenie tego pytania miało widocznie znaczyć, aby Karol sam list przeczytał i powiedział krótkiem słowem jego osnowę. Słuchać listu nie miał chory sił.

Karol chciał list wziąść z jego ręki. Ale w chwili, gdy go się dotknął, chory silniej palce zacisnął i usunął rękę z listem, jakby się zawahał, czy mu go ma powierzyć.

Karol nie nalegał. Chwila mijała za chwilą w milczeniu. Wreszcie wyciągnął chory rękę po raz drugi:

— Bierz.

Karol wziął list i czytał. Przez ten czas Teodor nie spuszczał oczu z jego twarzy. Zdawał się śledzić wrażeń, jakie treść listu wywołać mogła w rysach przyjaciela. Z wyrazu jego twarzy odgadnąć chciał, co wyczyta.

Karol był młodym a nauka lekarska nie oziębiła w nim serca i nie rozwiała poczucia tego, co piękne i szlachetne. List tchnął tak szczerem, serdecznem uczuciem, tak pięknie odzwierciadlała się w nim szlachetna dziewczęcia dusza, że mimowolnem współczuciem i sympatyą zagrało mu serce. Znając (jak nam wiadomo) list p. Błażeja, znaleziony na podłodze, łatwo mógł zrozumieć osnowę listu Żusi i uczucie, które go natchnęło.

Spojrzał na przyjaciela, spotkał się z jego badawczem spojrzeniem a wsuwając list napowrót do jego dłoni, z uśmiechem rozrzewnienia uściskał mu rękę i rzekł:

— Bierz, — ten list uzdrowi cię. Ona cię kocha, bardzo cię kocha. I nikogo nigdy prócz ciebie nie kochała.

Rozjaśniły się rysy chorego promieniem szczęścia. Przyspieszonym oddechem podniosła się klatka piersiowa. List ścisnął w spotniałej dłoni. Szeroko rozwartemi źrenicami patrzał na przyjaciela; usta mu drgały niedomówionem jakiemś słowem.

I po chwili znowu blask oczu ćmić się począł. Wzruszenie gwałtowne wyczerpało ostatek sił, przymknęły się powieki a sen spokojny zleciał na nie.

— Uratowany! — szepnął Karol sam do siebie.

Ale we dwie godzin później spostrzegł srogą omyłkę i poznał, że jego przyjaciel usypia snem, z którego niema już przebudzenia.

Nie przydały się na nic najenergiczniejsze środki ratunku. Nim słońce zaszło, Teodor już nie żył.

IX.

Z zaskrzepłych palców przyjaciela wyjął Karol list Żusi.

Zawahał się. Czy włożyć mu go do trumny, czy spalić?

Przeczytał go raz jeszcze—i zapłakał. Biedny mój przyjacielu! — pomyślał —jakżebyś ty mógł być szczęśliwym!

I żal mu było, ten poemat dziewiczej miłości rzucać do grobu na pastwę robactwu, lub w ogień na pastwę płomienia. Nie, ten list, który wywołał na usta zmarłego ostatni uśmiech szczęścia, nie, ten list, na którym on ostatni złożył pocałunek,—j e j oddać należy, jako ostatnią po ukochanym pamiątkę.

A wraz z listem należy jej się opowieść o tej chwilce niebiańskiego szczęścia, jaką obdarzyła na wieczne pożegnanie ukochanego

Ale k t o o n a?.... List jej podpisany był „Żusia“, podpis na liście jej ojca zawierał tylko dwie litery, z których pierwsza podobną była do *B*, druga zaś, z powodu pretensyonalnego arabesku, straciła wszelkie podobieństwo do owych dwudziestu czterech znaków, których się uczą żaki w ludowych szkółkach pisać na tablicy. Nie trudno jednak przyjdzie dociec Karolowi nazwiska tej, która słowem miłości osłodziła ostatnie chwile zmarłemu jego przyjacielowi. Po nitce dojdzie do kłębka. W ciężkim smutku, w jaki go pogrążyła śmierć przyjaciela, marzył on o owej „Żusi“ jakby o dobrej znajomej, jak o przyjaciółce, żywy, najżywszy biorącej udział w jego trosce. Poznać ją, pomówić z nią o zmarłym, doręczyć jej list i opowiedzieć o ostatnich chwilach ukochanego, ukoić jej boleść wedle możności, uważał za święty obowiązek przyjaźni, a myśl o tym obowiązku, który mu do spełnienia zostaje, jedyną w jego strapieniu była mu pociechą.

Tymczasem zajął się szczegółami pogrzebu. Czarnym kirem przysłoniono ściany pokoju a w pośrodku, na podwyższeniu ustawiono trumnę. Zmarły nie zmienił się po śmierci; ustąpił z jego twarzy po zastygnięciu ów przykry wyraz odurzenia i apatyi a męzkie jego rysy przybrały znów jak za życia łagodny a pełen słodyczy melancholijny uśmiech. Wpatrywał się Karol długo i rzewnie w to zacne oblicze przyjaciela, aby je dobrze zachować w pamięci i nie zwracał uwagi na wchodzących nieustannie i wychodzących znajomych nieboszczyka i ciekawych, których ściągnęła karta pogrzebowa.

Wtem weszła do izby panienka jakaś w czarnej sukience w towarzystwie matki i ujrzawszy zmarłego, głośnym wybuchnęła płaczem.

— To ona — pomyślal Karol i nie mylił się.

Stłumiła płacz i tylko cicho już łkając, zbliżyła się do trumny. Patrzała na drogie zwłoki czas jakiś z niewymownym żalem, potem chwyciła się oburącz za głowę jak szalona i padła na kolana. Z twarzą ukrytą w dłoniach usiłowała się modlić. Ale zamiast modlitwy, rozpaczne tylko szlochanie wydobywało się z piersi. Napróżno starała się ją uspokoić matka. Wyprowadzić się nie dawała i ucichłszy na chwilę, znowu coraz gwałtowniejszym wybuchała płaczem. Chyliła się w tej modlitwie ku ziemi, jak kwiatek podcięty kosą; głowę złożyła na stopniach katafalku i zamiast szlochania, słychać było już tylko spazmowe jęczenie.... Bezprzytomną wyniesiono z pokoju do sąsiedniego mieszkania.

Karol pospieszył z lekarską pomocą, a gdy Żusia przyszła nieco do siebie, dopomógł matce w przewiezieniu jej do domu i wyniesieniu do mieszkania na drugiem piętrze.

(Dok. nast.)

korowany krzyżem wojskowym.

Po upadku wojny o niepodległość — uszedł do Francyi Majątek został mu skonfiskowany. W Paryżu przeszedł kompletny kurs sztabu generalnego i min.; Ludwik Filip poruczył mu dowództwo legii zagranicznej. Później proponowano mu zaszczytne dowództwo w Algierze, którego nie przyjął.

Z rewolucyą r. 1848 wstępuje w szeregi zrywającej się do niepodległości Italii. Guerazzi i d'Apice dają mu dowództwo polskiego legionu we Florencyi. Mianowany generałem w Rzymie w r. 1849 bierze pierwszorzędny, a jak orzekł głównodowodzący gen. Roselli, naczelny udział pod Velletri i odnaczył się przeciw Francuzom w obronie Rzymu. Garibaldi bronił Rzymu od strony *Porta San Pancrazio*, zaś Milbitz od strony *Porta del Popolo*, na przestrzeni 7 kilometrów, i nie opuścił pozycyi aż na rozkaz gen. Roselli.

Po upadku Rzymu organizuje Milbitz w Grecyi legion zagraniczny na pomoc Węgrom, ale w Corfu dochodzi go wiadomość o upadku węgierskiej rewolucyi. Żyje jeszcze jakiś czas w Grecyi, na Malcie, oczekując sposobności walczenia na wschodzie przeciw Rosyi. Powraca do Włoch.

W r. 1859 towarzyszy Garibaldemu. w r. 1860 pomaga w zdobyciu dwóch królestw. Do Sycylii jedzie z generałem Medici, otrzymuje od Garibaldego nominacyę na generała inspektora całego wojska — ale chce walczyć i jako generał brygady walczy pod Milazzo, pod Palermo, na czele 16 dywizyi po Volturno, pod Santa Maria di Capua. W regularnem wojsku służy dalej jako prosty generał brygady. — W r. 1866 otrzymał od króla Wiktora Emanuela ryzykowną wojskową missyę, ale klęska pod Lissą uniemożliwia ją. Król chce go zrobić adjutantem, ale odmawia i usuwa się, żyjąc odtąd otoczony szacunkiem króla, towarzyszy broni i całej wdzięcznej przybranej ojczyzny. Były w tem życiu i gorycze—a zapewne bliżej znający to życie powiedzą szczegóły, które może tę wdzięczność okażą w mniej dobrem świetle.

komisya wykreśliła, chcieli wolno-konserwatywni napowrót wprowadzić; minister Gossler oświadczył, że uchwała komisyi nie czyni noweli niedoprzyjęcia dla rządu. Jutro trzecie czytanie.

Nie ma jeszcze szczegółów co do stosunku głosów, jakimi przyjętą została cała nowela. Artykuł 1 przyjęto 245 głosami przeciw 87. Za wnioskiem głosowali konserwatywni, centrum, Polacy jednogłośnie, kilkunastu postępowych, między nimi Richter, Parisius, Strassmann. L. Loewe, jeden secessyonista. Przeciw reszta, t. j. większa połowa postępowców, secessyoniści i większa połowa wolno konserwatywnych. Zdaje się, że ten stosunek głosów zadecydował i o całem przedłożeniu.

W kołach centrum rozeszła się pogłoska, że kurya zamyśla ze swej strony, po przyjściu do skutku noweli kościelno-politycznej, wystąpić z jakiemś ustępstwem w sprawie „Anzeigepflicht“!

Powolny bardzo wzrost ludności we Francyi staje się kwestyą piekącą. Rozpatrywanie przyczyn tego stanu i środków usunięcia go stoi na porządku dziennym, a kto wie, czy i ciała prawodawcze nie będą musiały coś postanowić. Deputowany Michon przedłożył Izbie sprawozdanie ankietowe, ale dotyczące tylko ludności wiejskiej, lecz złe w daleko wyższym stopniu objawia się w miastach jak Paryż, Lyon, Marsylia, Lille czy Rouen. Już Lavergne mówił, że Francya cofa się, bo ma mało dzieci. Zaczynają wyciągać Saint-Simonowskie recepty, opodatkowania starych kawalerów 1500 franków rocznie, oznaczenia ustawą, że każden francuski obywatel pomiędzy 20 i 40 rokiem życia, po 5-letniem małżeństwie bezdzietny, obowiązany wyszukać sobie w domu podrzutków dziecko i wychować.

Przyjęcie, jakiego doznali wysłańcy Madagaskaru w Paryżu, skłoniło ich do powrotu do Londynu. Admirał Pierre tymczasem prowadzi ca-

w Królestwie. Z nader burzliwej jego przeszłości wyjmujemy następujące fakta.

Pozwólmy mówić mu samemu:

Miałem lat 8, gdy mię odumarł ojciec; wraz z kilkorgiem rodzeństwa żyłem do lat 13 przy matce w Wiatrowcu, częścią z zarobku, częścią z emerytury — następnie oddała mię matka do Warszawy do terminu u szewca. Tu nie wytrzymałem długo i poszedłem na służbę, byłem lokajem u senatora Kotzebuego i innych. W 1860 roku ożeniłem się, miałem wówczas posadę w Banku polskim, przy ekspedyowaniu chleba, który Bank wypiekał. W 1863 roku brałem udział w powstaniu, byłem w Płocku, gdzie nasz oddział rozproszono. Aresztowany w Warszawie, zostałem zesłany w sołdaty do Tambowskiej gubernii. Półtrzecia roku byłem w wojsku; z pięciu towarzyszami udało mi się ujść, ale już w Mińskiej gubernii przytrzymano nas i zesłano do Jarosławia do 31 dywizyi. W 1866 roku zbiegłem powtórnie i przybyłem do Warszawy — tu udało mi się kupić za 4 ruble papiery rosyjskie i z niemi udałem się do Moskwy, aby się tu lub na Litwie do poddaństwa przypisać, i otrzymawszy paszport, wrócić do Warszawy, ale mię aresztowano i odesłano do Mińska. Tu mię nikt poznać już nie mógł i nie chciał, a ja znudzony włóczeniem mię z gminy do gminy, przyznałem się, że jestem Polakiem Wasilewskim, ale podałem się za brata Stanisława, który zginął w powstaniu. Uwolniono mię wreszcie i powróciłem do Warszawy. Tu zarekomendowano mię do Kunza, który mię chciał zrobić w domu swym zarządcą — odprawiony mój poprzednik, przez zemstę zadenuncyował mię w 10 pawilonie — ale konsulowa angielska hr. Tyszkiewiczowa wstawiła się za mną do Berga i uwolniono mię, odesławszy do granicy pruskiej. Tu przez 4 lata byłem prowentowym pisarzem u hr. Platera; ztąd przybyłem do Krakowa, gdzie miałem służbę u p. Lisickiego, następnie wydzierżawiłem trafikę przy ulicy

się, żeby go poczęstowali wódką. Odmówił mu jednak Czar. i koło 4 powrócili na Podgórze.

W domu nie bawili dłużej nad kwadrans; szabelki żadnej nie widział wówczas, ani o niej mowy nie było. Ponieważ było w domu gorąco i swąd wrócili znowu do Krakowa. Czar., który miał w czubku, zaczepiał po drodze przechodzące dziewczęta, dlatego Wasil. nie chciał iść z nim, zgodził się atoli pojechać dorożką do miasta. Zajechali na Mały Rynek do szynku Miedniaków, Cz., który wypił jeszcze parę kieliszków wódki, był w różowym humorze, deklamował nawet to, co miał nazajutrz przedstawiać na wieczorku.

Ztąd udali się do trafiki na rynek główny, ale że Czar. mocno podpity nie przestawał zaczepiać przechodzących dziewcząt, Wasil. pożegnał go i poszedł do żony. Wasilewska była wówczas już kucharką u prof. Dr. Jakubowskiego. Tu zabawił Was. z kwadrans, koło 6 wyszedł do domu, po godzinie był już u siebie. Był bardzo wzburzony na Cz. i na żonę, która go do domu pędziła, co i sąsiadów uderzyło, i położył się spać. Przed 10 zbudził go sąsiad Gawlik, że go kontroler od tramwaju potrzebuje i we fijakrze nań czeka. Tu zastał nie kontrolera, lecz Czarnomskiego, który szeptał do niego, że upadł i potłukł nogę, przyczem i pantalony ucierpiały, prosił go więc, żeby mu swoich pożyczył i pojechał z nim na kolej, przyczem opowiedział mu znaną już bajeczkę o tej pani, która mu darowała futro i torbę, i za którą miał jechać do Lwowa. Odprowadził go na kolej a ztąd do Tarnowa. W. nie zauważył, żeby torba lub suknie Cz. były skrwawione. W Tarnowie widział na stoliczku pugilares, do którego posiadania przyznał się Czar. Rękawiczki przedstawione mu są własnością Czar., który je za 1 złr. 20 c. nabył. Gazetę, w którą była owinięta szabelka, poznaje, jest to *Gazeta Krakowska*, którą Cz. zabrał raz w restauracyi. Gdy mu przewodniczący przedstawia nieprawdopodobieństwo tego twierdzenia, gdyż gazeta ta jest z 24 listop., a zatem

dza, że są symulantami, by się od odpowiedzial
ności sądowej za swe zbrodnie uwolnić, niera
gdy im się sprzeciwiał, grozili mu śmiercią, d
dając: „i cóż nam za to zrobią, kiedy my jeste
my waryatami!“ Nie mając widoków na leps
posadę, udał się do Przemyśla, do Stadnickieg
który się tu trudnił weterynaryą. Tu poznał K
prowskiego emigranta, bawiącego za paszporte
tureckim, a podającego się za kupca z Londyn
Ten polubiwszy Czarnomskiego, chciał go wzi
z sobą do Londynu, dokąd i Stadnicki, otrz
mawszy z domu zasiłek, wybierał się.

Wyjechali zatem — ale już w Rzeszowie, gd
Stadnicki za rosyjskie pieniądze coś kupował -
aresztowano ich, jako szpiegów — rzecz się w
jaśniła, ale pomimo tego, że tylko kilka godz
„spacerowali“ po Rzeszowie, za „włóczęgostw
zostali skazani na 48 godzin aresztu i odstawi
ni do granicy do Koryłówki. Wójt i żandar
odprowadzili ich do słupa granicznego, wedł
przepisu; oni też obszedłszy łukiem słup do k
ła, po godzinie wrócili do — Galicyi, mianow
cie do Przemyśla. Kilka tygodni bawili w Kra
czynie u niejakiego N., który ich w końcu z d
mu wyprosił.

Wybrali się więc do Bardyowa, gdzie Stad
cki miał krewnych, ale w Krośnie przytrzyma
ich i zamiast w kąpielach odsiedzieli w kozie
tygodni, nim tożsamość osób sprawdzono. Zm
rzony pobytem w Krośnie i korzystając z teg
że towarzysz kaźni przepiłował kratę „drapną
przeżegnawszy się, szedł gdzie go oczy ponios
Zaszedł aż do Libuszy w gorlickiem, gdzie u
Brunnera dyrektora kopalni nafty, dostał zaję
jako wyrobnik. Ponieważ praca była ciężką, w
po kilkunastu dniach, wziąwszy sobie sam a c
to niewypłaconej należytości 10 złr. poszedł
lej. W Dukli przyjął go hr. Męciński za prak
kanta do gospodarstwa, lecz obawiając się n
przyjemności z niedalekiego Krosna, które
pożegnania opuścił, poszedł za Stadnickim

cowizny z pod nieograniczonej wolności, *home-stead exemptions.* Tak znaleziono zdrowe zasady dla reformy ustaw agraryjnych w Kanadzie, w Chinach, w Indyach, w Serbii czy Rumunii.

Według naszego przekonania i u nas j e d y n y

cieli, powiaty, i tyleż z nimi rachunków. Tego ani decentralizacyą, ani organizacyą w ogóle nazwać nie można. W miarę energicznej lub niedołężnej, inteligentnej lub ubogiej w ludzi rady pawiatowej lub jej wydziału, działalność autono-

nizacya tej ekonomicznej wielkiej działalności kraju, skarleje do granic powiatowego rozumienia i powiatowych celów, powiatowego zadłużenia się, i powiatowszczyzny sekretarzy i kancelistów. To służenie dwom celom, organizacyi polityczno-admi-

Tymczasem w cieszanowskim Komitecie przedwyborczym postawiono dwie kandydatury: Dra. Adolfa Wursta i p. Turzańskiego. Komitet przedwyborczy przedstawił obu kandydatów Komitetowi centralnemu we Lwowie, a ten zalecił kan-

ślimy się z należytem poważaniem

Piotr baron *Brunicki*, właściciel dóbr i członek Komitetu przedwyborczego.

Józef Mikułowski, c. k. notaryusz w Cieszanowie.

DRUGA MIŁOŚĆ.

12) **Nowella.**

(Dokończenie).

Pan Błażej ujrzawszy żonę i córkę w tym stanie, łatwo dorozumiał się, gdzie były i srodze zagniewany zaczął od burzy. Wstrzymał go jednak w zapędzie Karol i nie zataił przed nim, że nerwowy stan córki zagraża niebezpieczeństwem ciężkiej choroby....

— ... mogłaby na rękach nam skonać.

Na te słowa znikła jowiszowa mina p. Błażeja, jakby czarem zdjęta, zmiękł i złagodniał jak baranek — a Karolowi nie dozwalał odejść od jej łoża ani na chwilę.

Starania młodego lekarza jednak nie odniosły pomyślnego skutku. Szybko rozwinęła się groźna sercowa słabość, a wieczorem Karol uznał potrzebę zwołania konsylium.

Ciężko odpokutowała rozpacz swoją Żusia kilkotygodniową chorobą. Długi czas wahała się między życiem a śmiercią.

Karol pacyentki swej nie opuszczał i nie wyjeżdżał ze Lwowa. Czemu nie zdał ją staraniom którego z lwowskich lekarzy? Nie umielibyśmy na to odpowiedzieć. On sam, znalazł usprawiedliwienie przed sobą: wszak uważał za święty obowiązek, w obec zmarłego przyjaciela zaciągnięty, nietylko, aby ją ocalić, ale, aby opowiedzieć jej o jego ostatnich chwilach i doręczyć jej list, jej własny, z którem w ręku skonał Teodor z uśmiechem szczęścia na ustach.

Stan jej zdrowia nie dozwalał mu długo dopełnić tego obowiązku.

A gdy go wreszcie dopełnił, zaufanie, jakiem obdarzyła go pacyentka, zmieniło się w stosunek najszczerszego szacunku i przyjaźni.

Jedyną dla niej pociechą, jedynem nieledwie szczęściem na ziemi, była rozmowa o drogim zmarłym z tym jego przyjacielem, który mu zamknął powieki, który rozradował mu serce ostatnią wieścią o niej, wieścią o jej miłości.

A Karol? Czy rychło zrozumiał, czemu tak słodko mu i tak boleśnie zarazem, rozmawiać o swym druhu z tą, która go tak kochała i jeszcze tak kocha po śmierci?

Zrozumiał — ale wyznać tego nie śmiał, nietylko przed nią, ale nawet przed samym sobą.

Odjechał wreszcie... ale rychło znowu powrócił do Lwowa, aby odwiedzić pacyentkę swoją i o wspólnym pomówić przyjacielu....

Gwałtownem nadwerężone wstrząśnieniem zdrowie Żusi, nie mogło wrócić do równowagi. — Na wiosnę Karol zaordynował wyjazd do kąpiel.

Polepszył się stan jej zdrowia w ciągu lata, ale w połowie jesieni coraz cięższy smutek osiadał na jej twarzy, a w zimie do ubytku sił przypłątała się piersiowa choroba, która wielką przejęła obawą jej rodziców... i jej lekarza. Wychudła biedna Żusia, zmizerniała, podobna raczej do cienia swego, niż do owej pięknej, wesołej, hożej dziewczyny, jakąśmy poznali na początku naszego opowiadania.

Wyprawił ją do Włoch.

Podróż ożywiła ją zrazu, ale po przybyciu do Mentone, stan jej zdrowia pogorszył się znowu i za radą tamtejszych lekarzy, postanowiono wyjechać dalej na południe.

Otrzymawszy wiadomość niepomyślną o swej pacyentce, Karol poczuł się do obowiązku przez pamięć zmarłego przyjaciela pospieszyć do niej...

Przyjazd jego powrócił jej humor, siły, zdrowie — jakby cudownych jakich użył leków. A lekiem tym cudownym, była tylko ... rozmowa o nieboszczyku.

Przywiązanie brata i siostry serdeczniejszem i poufalszem chyba być nie może, jak ten stosunek, który łączył pacyentkę i lekarza.

I stała się rzecz niezwykła. Rozmawiając z nią o nieboszczyku — i o jego miłości — powiedział jej o swojej.

Pobladła, zakryła oczy i drząc na całem ciele odrzekła:

— Panie Karolu! nie mów mi pan nigdy już o tem! przez pamięć na naszego zmarłego. Jeśli panu miła przyjaźń nasza... jeśli pan chcesz, abym nie umarła.

Zaprzestał.

Ale po jakimś czasie wrócił znowu do tej rozmowy. Otrzymał znowu tę samą odpowiedź, tę samą pogróżkę i zaklęcie w odpowiedzi.

Odjechał.

Wkrótce i pp. Błażejowstwo wrócili do kraju.

Dowiedziawszy się o ich przyjeździe do Lwowa, rychło zjawił się lekarz.

Żusia z najszczerszą powitała go radością.

I zaczęły się znowu rozmowy o nieboszczyku.

— Pójdźmy razem na jego grób — zaproponowała Żusia.

I poszli.

Ona modliła się. On zadumany patrzał na klęczącą i wzdychał. Blady był.

Trwało to czas jakiś, nagle silnem jakiemś postanowieniem zapromieniały mu oczy.

Kiedy powstała, ocierając łezkę z oczu — i zwróciła się ku niemu, aby mu podać ramię, on nie ruszył się z miejsca. Z chmurnem czołem, z rękoma na krzyż założonemi na piersi, stał pogrążony w zadumie.

— Chodźmy! — rzekła.

Ale on stał nieruchomo jak posąg.

Poczekała chwilkę — ale gdy to trwało za długo, powtórzyła pytanie:

— Cóż? pójdziemy już?

Nie odpowiadał.

— Co panu? — zapytała, lekko zaniepokojona.

Milczał.

Zbliżyła się do niego, trwożliwie spojrzała na ponury wyraz jego oczu.

— Panie Karolu!... co panu?

Ani słowa.

Pochwyciła go za ramię.

On się zaśmiał szyderczo.

Zadrzała, tknięta złowrogiem jakiemś przeczuciem.

— Biedny przyjacielu! — zawołał szorstko, patrząc wprost przed siebie, jakby jej nie widział: — zapóźno ci powiedziała, że cię kocha! żyłbyś i byłbyś szczęśliwym... zabiła cię!

Przerażona, patrzała na niego Żusia. On zawsze starał się koić jej smutki, a teraz z taką goryczą ją obwinia tak ciężko.

Ale on zmienił nagle ton głosu i dokończył z boleścią:

— Ha, lepiej ci w grobie!... I mnie będzie lepiej!... bo klnę się na pamięć twoją, na przyjaźń zagrobową, która mi jest świętą, że ona mnie kocha... i że mnie zabija....

— Panie Karolu! — rzekła tonem wyrzutu.

— Tak jest! — zawołał i pochwycił ją namiętnie za ręce: kochasz mnie! kochasz mnie! kochasz mnie!

Pobladła, nie śmiała zaprzeczyć, nie śmiała wyrwać się z jego rąk....

— I zabijasz... dodał Karol.

— Nie... nie....

— Kochasz?

— Kocham....

* * *

Dwa lata minęły od śmierci Teodora; w trzecią rocznicę jego zgonu, odbył się ślub Żusi z Karolem. Oboje ten dzień obrali, sądząc, że winni to pamięci zmarłego, który był ich swatem.

X.

Bardzo są szczęśliwi.

dziennikom rosyjskim sposobność do zwrócenia uwagi publicznej na zagony Prusaków w Królestwie Polskiem, gdzie coraz większa ilość ziemi przechodzi w ich ręce. W tym przedmiocie piszą z Warszawy do *Now. Wrem.*, co następuje: „Zabawnem a zarazem i bolesnem jest zachowanie się naszych władz w Królestwie Polskiem, które pozwoliły Prusakom wykupić ogromne dobra podupadłych magnatów i w ogóle wszystko, co nabyć było można w tym względzie; nadto pozwolili opanować Prusakom wiele brodów rzecznych, wykupić połowę domów w miastach powiatowych i dopiero teraz (a właściwie gdy *Ruś* wydrukowała rzecz o planach Prusaków w Kongresówce) rzucono się do obliczenia posiadłości pruskich. Okazało się, że dobra br. Henckla v. Donnersmacka przedstawiają ogromny klin pruskiej ziemi, rozpierający Królestwo Polskie, wartości około siedmiu milionów talarów. Nadto okazało się, że wszystkie forty i różne inne obwarowania około warszawskiej cytadeli Aleksandryjskiej leżą na ziemi pruskiej. Wszystko to są pruskie kolonie!“ Z tego powodu *Now. Wrem.* zwraca uwagę na niebezpieczeństwo zagrażające Rosyi zwłaszcza od sąsiada, który nie przebiera w środkach.

„W istocie rzeczy, powiada ten dziennik, jest to część ogólnej kwestyi o prawach poddanych zagranicznych do posiadania w Rosyi nieruchomości — kwestyi nieraz poruszanej w naszej prasie z jaskrawemj przykładami, w rodzaju obszernych majątków hr. Alfreda Potockiego namiestnika Galicyi itd. Lecz w obecnym wypadku mamy do czynienia ze zjawiskiem daleko ważniejszem i groźniejszem. W tym względzie jak i dla wielu innych szczególniej ważną jest nominacya nowego warszawskiego generał-gubernatora. O gen. Hurce dzienniki polskie odzywają się dość niejasno i więcej z nich przebija się obaw, aniżeli nadziei. My zaś, znając znakomitą energię nowego zarządcy kraju, na zasadzie jego działania w cha- do pokojowego celu, to rząd będzie musiał iść dalej. Windhorst został wezwany przez prezesa Izby do porządku, za odprawę jaką dał narodowo-liberalnemu v. Cynern.

Jak donoszą z Rzymu na pewno, w dniu 22 czerwca została wręczoną posłowi pruskiemu nota kardynała Jacobiniego, która nie zawiera, jak doniosły liberalne organa, nagany rządu za jednostronne działanie państwa w sprawie kościelno-politycznej, lecz zawierać ma uznanie za podjętą reformę. Czy zaś jest tam i zapowiedź ustępstw ze strony kuryi, jak inni donoszą, to jeszcze niewiadomo.

Z powodu mianowania Hurki warszawskim generał-gubernatorem *St. Peters. Wiedm.* tak go charakteryzują: „Józef syn Włodzimierza był zawsze charakteru stałego i niezłomnych zasad. — Bez względu na wysokie zajmowane przez siebie stanowisko petersburskiego generał-gubernatora, nie wahał się on w danej chwili wyjechać na wieś do guberni twerskiej i porzucić urząd tak nagle, iż policya petersburska mogła bez zarumienienia się złożyć w sądzie zeznanie, że gen. Hurko wyjechał z Petersburga ale dokąd? — nie wiadomo. Uczynił on to z powodu, że nie podzielał sławetnych „nowych kierunków“ z epoki Loris-Melikowa. Otóż stałość ta i niezłomność powziętych przekonań stanowi najlepszą rękojmię ogólnego spokoju w zarządzie takiego kraju jak „prywiślański“, gdzie właściwie chwiejność sprowadza nadzwyczaj szkodliwe następstwa. Szczególniej zaś dla takiego kraju, odpowiednim jest wojownik o tak wybitnem znaczeniu w rosyjskiej armii.“ Z tej opinii, która jest — o ile nam wiadomo — zgodna z prawdą, wynika, iż w Polsce zapanują wojskowe rządy w duchu murawiewowskim.

Sprawa tonkingska jakoś nie rusza się z miejsca. Kilka pism francuskich wysłało kores-

Wróciwszy, zastał Wasil. rozmawiającego z niejakim Szmajdlerem, który się przymawiał o wódkę, ale nie znając go, odmówił mu.

Przew. Świadkowie powiedzą, że widzieli Czar. kręcącego się między ludźmi w oddziale zastawniczym, inni, że widzieli go wychodzącego z Kasy oszczędności.

Czar. Gdybym się tam był kręcił, byłbym prawdę powiedział, zresztą nie byłbym tak ograniczony, żebym się nie ucharakteryzował, kręcąc się między ludźmi w domu, w którym miałem morderstwo popełnić. Byłbym przecie mógł wdziać perukę, przyprawić brodę etc. Zresztą ten świadek, który mię widział niby wychodzącego z Kasy oszcz. jest stronniczy, gdyż nie chciałem zapłacić mu żądanej wódki.

Tramwajem pojechaliśmy do domu, przy moście wypiliśmy z kontrolorem tramw. kilka wódek i piw; w domu było gorąco, zwłaszcza mnie dobrze podpiłemu, obaj zatem postanowiliśmy wyjść z domu.

Szabelkę przedstawioną sobie zna, gdyż sam ją z polecenia Wasil. zaniósł do szlifierza na Kazimierzu i dał obciąć i zaostrzyć. Wyjął ją z pod kanapy Wasilewski.

Przewod. Będzie tu świadek, który zezna, że widział, jak Czar. szablę tę wyjął z pod kanapy.

Czarnom. Świadkiem tym jest dziecko 7-letnie, a dziecko jest ciekawe; gdyby było widziało mnie wyjmującego tę szabelkę, byłoby się pytało, co to, a na co to. Tymczasem tak nie było, i dopiero na zapytanie ojca odpowiedziało ono, że widziało, że to ja wyjmowałem tę szabelkę. Zdaje mi się, że dzień przed popełnionem przez Wasil. morderstwem, odebrałem tę szabelkę i oddałem Wasilewskiemu.

Przewod. Czarnomski powiada, że dzieci są ciekawe, a jednak nie pytały go o ową szabelkę — niechże nam powie, czemu on sam, który, jak widzimy, jest daleko ciekawszy, nie zapytał Wasilewskiego, na co mu szabelka ta ma służyć.

Przewod. Niech-no Czarnomski nie robi się ciągle tą ofiarą prześladowaną — tu przed sądem stają zawsze same ofiary — bo te rany Czarn. wskazują, że on pomagał i trzymał, i wtedy je otrzymał. Wasilewski, który słyszy, jak on to wszystko upiększa i całą winę na niego zwala, niechże wejdzie w swe sumienie i objawi nam prawdziwie, jak tam było.

Wasil. Moje sumienie jest czyste (śmiech w audytoryum), jak się mam przyznać do tego, czego nie popełniłem?

Jeden z p. przysięgłych do Czarn.: Czy po zamordowaniu Słowika lampa została zapaloną, czy nie?

Czarn. Podczas zamordowania była zgaszona, czy ją potem Wasil. zaświecił, nie wiem, bom wyszedł.

Przysięgł. Jakże więc Czarn. widział, że mu Wasil. groził kindżałem?

Czarn. Groził mi tylko słowami.

Przewodn. Na dowód, że Czarn. był tej nocy u Słowika, posłużyć może to, że ten oblig, który Czarn. wystawił na pożyczoną sumę, leżał do ostatniej chwili na stoliku Słowika i tej nocy znikł — nikomu zaś innemu na zniknięciu tego rewersu nie zależało.

Czarn. Ja o rewersie nic nie wiem, bom go nie wystawiał.

Następnie wyjaśnia przewodniczący, że przy grabieniu własności Słowika mieli trochę światła, wpadającego przez okno od pobliskiej izdebki, w której się świeciło. Na zapytanie, zkąd Czarnomski przyszedł do pularesa Słowika, tłomaczy ten, że pulares miał Wasilewski i z niego wyjął ów los, z którym pojechał do Krakowa, następnie wrzucił go do torby, którą dał Czarnomskiemu. Dowodzi tego i świadectwo Wasilewskiego, zapomniane w pugilaresie.

Obrońca Wasilewskiego dr. Kastory. Wszak świadectwo to pożyczył Czarnomskiemu Wasil., gdy Czarn. szedł po wsparcie do p. Weigla.

[illegible] dzieci — wpraw[illegible], że mu t[illegible]ładniej, ale dziś widzi Czar., że to do czego innego miało służyć. Sam gdyby miał zamiar wziąść udział, byłby się zupełnie charakteryzował, przecie jako aktor potrafiłbyto.

Szereg świadków powołanych do stwierdzenia aktu oskarżenia rozpoczęła Gawlikowa żona stolarza, u której Wasil. i Czarnomski mieszkali, spiąc razem na jednej kanapie. Wasil. do przybycia Czarnom. prowadził życie regularne porządne, później zaczął trochę hulać. Rękawiczki są Czarnomskiego — sam mówił jej, że je kupił za 1 złr. 30 kr. Czarnomski farbował sobie włosy i wąsy. Przed niedzielą ufarbował wąsy i Wasilewskiemu.

W poniedziałek (4 grud.) Wasilewski wrócił o godz. 8-ej wieczór, był jakiś smutny, nie wiele mówił. O Czarnomskim wspomniał, że się upił, dlatego zostawił go w mieście, bo on w takich razach kłóci się tylko i bije. Nie jadł nic, przykręcił lampkę i poszedł spać. Było może $9^1/_2$ jak ich zbudzili, iż dyrektor tramwayu potrzebuje Wasilewskiego. Zbudzili więc Wasil., który się zebrał, wziął z sobą drugie spodnie i pojechał. Na drugi dzień rano, mówił jej mąż, że Wasil. opowiadał mu, że w Krakowie jakiegoś stróża zamordowali. Wasilewski wrócił we środę i podał za powód nieobecności swej, że kochanka Czarnomskiego zabrała go razem z Czar. do Tarnowa, skąd wraca; Czarnomski zaś prawdopodobnie nie wróci. W zeszłym tygodniu zaś mówił Czarnomski, że we czwartek t. j. 30 listopada wybiera się na pogrzeb matki do Tarnowa.

Świadek Gawlik, mąż poprzedniej wspomina że Czar. mieszkał u niego od 8 do 10 dni, aż do poniedziałku, w którym się „szlus“ stał. Czar. nie znał nawet z nazwiska. bo mu go Wasilewski nie wymienił, mówił to tylko o nim, że się trudni aktorstwem i ma „w szkole“ jakąś sztukę grać. Do siebie zaś nie mówili inaczej jak „szkotina“ (skatina-bydle). Sypiali razem na kanapie, tak jak się należy głowami do siebie — razem zarówno z sobą chodzili. Rękawiczki należą do

szkół i kościoł[illegible] niniejszego za- | ażeby tam zarządzi poszukiwania archeologiczne. —

„Małe dowiązki"

b.d.

k. 45-46

Little things

Motto z Pol. „Rybki"

Tłumaczenie (poprawki)

Wstęp.

Szczególny niektóre osoby okazują wstręt do zwracania uwagi na małe rzeczy; obawiają się one – jak się zdaje – aby ich nie posądzono o małoduszność i liczą na to, że zaniedbanie tych tak zwanych „drobnostek" starczyć będzie światu za dowód ich umysłowej wyższości. – Nie myślę ja bynajmniej bronić ani nawet usprawiedliwiać owej męczącej, niezmordowanej baczności w rzeczach małej wagi, owego ciągłego niepokoju o drobnostki. Zasada taka mało komu nie doda się kiedyś we znaki. – Mojim zamiarem, przekonać jednak kilka osób, jeśli dodam, że nie wszystko jest drobnostką cośmy tak zwać zwykli, i że małe na pozór rzeczy ~~skutki~~ ważne za sobą pociągają następstwa już tem samem na uwagę naszą zasługują.

W małych jak wszelkich rzeczach – winniśmy iść za chrześcijańskim prawidłem i dobrze czynić wszystko, na większą chwałę bożą." A jeśli tym bodźcem napełnieni ~~[illegible]~~ i drobne nasze będziemy spełniać obowiązki, i drobne będziem znosić nieprzyjemności i kłopoty, i drobne nasze nauczymy się zwalczać ~~[illegible]~~ złe skłonności, wtedy próżną byłaby obawa abyśmy nie zgrzeszyli zbytnią o drobnostki trwożliwością lub na odwrót wobec nich zbyt niedbałemi i obojętnemi się nie okazali.

W ubiorze naszym lub w przyozdobieniu pokoju – ostatnie ~~[illegible]~~ to właśnie malusieńkie, drobniutkie poprawki całą wytworną elegancję, cały wdzięk stanowią. Podobnie i w postępowaniu kobiety ~~drobne~~ małe rzeczy wdzięk nadają jej cnotom – lub odejmują im wszelki urok. – Dbałość o nie to także cząstka obowiązku nałożonego na nas słowem ewangelji: „Niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby uczynki wasze dobre widzieli, a chwalili Ojca waszego który jest w niebiesiech." (Mat. V. 16.) Niedbałość w tej mierze, zaciemnia owa światłość i stać się razem może dla drugich kamieniem zgorszenia. ~~dla drugich.~~

Wyrażenie Dra Chalmera: „Potęga ~~drobnostki~~ małych rzeczy" nie ledwie w przysłowie się ~~[illegible]~~ zmieniło w Anglji, a zaiste ~~[illegible]~~ dałoby się ono do wielu ~~[illegible]~~

równych rzeczy oprócz obierania skrzydeł zastosować, któż bowiem ~~nigdy~~ się nie przekonał ~~naoczn jak wielkie wpływu drobne mają rzeczy na osładzanie nam życia~~ ~~nieraz~~ w jak wysokim stopniu drobne rzeczy zdolne osładzać nam życie lub stać się niewyczerpanem źródłem nieukontentowania i zgryzoty.

~~Jeśli obadani będą w takich rzeczach, chroniąc się jedności bacznemi od wszelkopomocników upadnięcia w małostkowość ową wzniosłą pobudkę która nam i małych rzeczy zaniedbywać nie dozwala, jeśli~~

Jeśli obadani będą w takich rzeczach, od małostkowości jednakże chronić się będziem pamiętaniem o onej wzniosłej pobudce która nam i małych rzeczy zaniedbywać nie dozwala, jeśli o dobro i szczęście bliźniego szczerze poczniem się starać, jeśli nakoniec wszystkie nasze z każdym dniem wracające trudy i ~~powinności~~ obowiązki uważać zechcemy jako część pracy przydzielonej nam przez Boga niebieskiego, jako podaną do zaparcia się samego siebie sposobność, jako drożynkę po której idąc, codzień nam bliżej do Boga:— To ~~wtedy~~ nikt nam zaprawdę nie ~~przeczy~~ zdoła zaprzeczyć że drobne rzeczy ofiarowane Bogu nabywają ogłuszonych najwyższej ~~nie~~ stają się wzniosłemi.

Małe Obowiązki (Powinnostki)

Przetoż lub jecie lub pijecie, lub cokolwiek czynicie, wszystko ku chwale Bożej czyńcie. (:1. Kor. 10.31.:)

Dziewka co sień wymiata — jeśli z Bożą chwałą —
To czyni rzecz zaiste zacną i nie małą. (Herbert.)

Pod tym napisem pragnąłbym najgoręcej zalecić nie tylko pełnienie małych obowiązków, ale pełnienie tychże ~~drobnych rzeczy~~ jako obowiązkowych rzeczy, są bowiem między niemi tak przykre a oraz tak napozór małoważne że tylko silnie ~~poczucie~~ obowiązku do ich pełnienia zachęcić nas może. — Nie wielkiej zaprawdę potrzeba energji aby drobne obowiązki ~~sta~~trwale pełnić; wydają się nam one częstokroć tak drobnemi żeśmy najmocniej przekonani że śmiało je możem wyjątkowo raz jeden zaniedbać — ~~nie zawsze~~ ale dość tylko, raz jedyny: wszak nawet i ~~sił~~ stałości ~~prawdy~~ i siły moralnej aby w takiej drobnostce gwałt sobie zadawać. Tak zwolna ~~składamy~~ folgujemy sobie coraz bardziej — aż z zaniedbaniem drobnych obowiązków nie owładnie nas niezadowolenie i rozstrój wewnętrzny.

Systematyczność, porządek, punktualność – ~~to~~ z wahaniem tylko
między małe policzamy obowiązki, ~~przy~~nawyknienie bowiem do nich
niezbędnem jest we wszelkich sprawach naszego życia, zarówno
w rzeczach wielkiej wagi jak w najmniejszych i najcodzienniejszych
czynnościach. Przekonaną jednakże jestem że „małe obowiązki" o wiele
mniej byłyby przykre i nużące, gdybyśmy je punktualnie i
systematycznie spełniać ~~[illegible]~~ nawykły, ~~wszystko na swoim miejscu~~
~~[illegible]~~ gdyby każda rzecz ~~[illegible]~~ w nas swoje miała miejsce i każda
zajęcie ~~[illegible]~~ przeznaczoną godzinę.

Mały obowiązek który najpierw wymienię – to obowiązek
tem ważniejszy iż od jego pełnienia bardzo wiele innych zawisło:
jest nim ranne wstawanie. Zgadzają się wszyscy na to że to ciężka
i nieprzyjemna rzecz. – Komuż nie wiadomo jak skwapliwie rano
poszukujemy wymówki od wstawania? Któż nie doznał sam złych
skutków braku woli i stanowczości w tej mierze? Któż ~~[illegible]~~.
którego ucznia nie uradowało nigdy rano ~~[illegible]~~ na wiadomość
że jeszcze nie czas wstawać. – Wątpię aby kto nawet z
dorosłych chętnie rano wstawał: jeśli wstajemy to ~~[illegible]~~ dlatego
aby zyskać ~~tych~~ tylko pogodnych cichych ~~[illegible]~~ godzin poranku w których nam
nikt nie przeszkodzi; wstajemy, ~~[illegible]~~ że się zdaje to
~~[illegible]~~ przezwyciężenie naszego lenistwa – ale mało kto wstaje bez
walki i ~~[illegible]~~ zwykle codzień na nowo stanąć nam ją przychodzi. – ~~[illegible]~~
Bywają jednak wypadki ~~[illegible]~~ w których każdy rano wstać potrafi i to
bez wielkiej trudności – tak n.p. wybierając się w podróż, ~~[illegible]~~
lub dla pilnowania chorego, lub wreszcie chcąc zyskać nieco wolnego ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ czasu do jakiegoś przyjemnego zatrudnienia, na który nam brakuje. – „Chcącemu nie
nie trudno." Cała trudność w tem ~~[illegible]~~ żeby to zrobić aby się nam
~~[illegible]~~ chciało. Nawyknienie czyni rzecz łatwiejszą, ważne jednak aby
tę czynność przyjemną. – Należy więc wszelkie uprzytomniać sobie
~~[illegible]~~ widoczne pobudki ~~które~~ [illegible] to ~~ranne~~ wstawanie z obowiązku
nam zmieniają i ~~[illegible]~~ n.p. następnie: ranne wstawanie pożyteczne dla zdrowia
zyskuje się przecie tyle czasu – więcej niż jakimkolwiek innym ~~[illegible]~~ godzin
ranne wstawanie – to podana nam godzień ~~[illegible]~~ sprawdzenie zwycięstwa nad sobą, to źródło pogodnego
umysłu i dobrego humoru. – Zresztą nie jest że ~~[illegible]~~ jeszcze i to
~~[illegible]~~ ważnym bodźcem do rannego wstawania, że zyskujemy ~~[illegible]~~

w ten Sposób swobodną chwilę do modlitwy której nikt nam wtedy nie przerwie lub do czytania książ nabożnych Pisma św. i zaczerpniemy całodziennego zapasu siły duszy i siły moralnej. A zatem samem rannem wstaniem zwalczamy już największe zboczenie naszego przyzwyczajenia: lenistwo i pobłażliwość dla siebie samych. —

Obowiązki kobiet zajmujących się gospodarstwem domowem należą do tych matek gospodyń które na ten miejsce wypadałoby wskazać. Gdy jednakże sprawy w każdym domu muszą być inne — niepodobna abyśmy miała o takich powiedzieć. Może tylko zalecić najgoręcej żeby je punktualnie i z pewnym systemem a o ile można jak najraniej załatwiać. — Najlepiej mieć wyznaczoną godzinę do tych czynności gospodarczych i powydawać stosowne rozporządzenia o ile to podobna na dzień cały. Mając jaki taki przegląd czynności i [illegible] porządku trochę metody w dawaniu rozporządzeń, [illegible] zdatność przyjdzie nam zawczasu zaradzić wszelkim potrzebom i sprawom jakie w ciągu dnia przewidywać można. — W ten sposób mamy gospodarstwo domowego sprawiony wnet w daleko krótszym czasie iżby mogli przyzwyczaić się które które działając bez planu każdej potrzebie wówczas dopiero zadość czynią gdy natychmiastowego wymaga załatwienia. — Metoda i porządek ręka w rękę idą wszystkie z sobą — przy drobiazgowych obowiązkach są obie niezbędnie potrzebne, gdzie bowiem nie tylko panuje porządek tam zwykle przewodzi [illegible] niema spokoju, [illegible] zgryźliwi stale wkrótce do przeciwieństwa się [illegible] wtedy zgadzać dam polecenia; to znów porządkujemy w pomieszkaniu, to znów przeszkadzając innym [illegible] w ich zajęciach niewczesnemi jakiemiś interesami. Przeciwnie gdzie włada punktualność i metoda tam plan na cały dzień obmyślany, dozwoli spełnić wszystko o swoim czasie. — Potrzeba wszakże nieco wytrwałej energji aby się przyzwyczaić do robienia wszystkiego o swoim czasie; [illegible] zresztą dla zadośćuczynienia wypadnie nieraz przerwać sobie bez odwłoki miło jakie drobiazgowych nieprzyjemnych może obowiązków.

Ażeby przystępować [illegible] ten sposób postępowania wszakże nieco [illegible] obowiązki wasze polecanym być winien, niech zważa tylko na porę [illegible] w domu gdzie zatem obowiązki

Fragmenty nowel

b.d. i b. tytułu

k. 47 - 56

Krople rosy do łez porównałeś, szmer liści poruszanych wiatrem
poetyckiej
do szeptów miłosnych. Z rozpękłej ~~fajansowej~~ miednicy w której
po kolei przez wieki
wszyscy szpitalnicy myli sobie ręce, ciecze struga po szczątkach
brudnej
desek podłogi. Do tej strugi podąża spragnione wilgoci robactwo,
skrzydlate muchy chciwie żłopią z niej ochłodę. Upał nieznośny
wszystek Koszarowym i nieznośna zaduchą. I już tak przez
wieki w przesiąkłem wyziewami potu i gorączką powietrzu ciecze struga
Tę strugę ze skarbca
~~w podłodze~~ z tej rozpękłej miednicy. Stroin ~~tę~~ ~~bogactwem~~ twej fantazji,
kiermaszu i
pełnego złotawej monety wszystkich krajów i wieków i lśniącym
i Letą zapomnienia naczynia
mieniu potokiem a pełnością fajansowego ~~miednicy~~, wydać ci się twoim.
robaku mały Gorze twoich nici skręconych, nici zmysłów! Nastarczyć niemogą rozkaczom
~~szrama~~ kordylierów. Muchoty, o nieciu nogach, ty tęsknisz za ową
szótą, którą straciłeś gdzieś kiedyś przylepioną do miseczki z miodem, czy
to
może tą w pajęczej siatce, ale tak dawno, że nie wiesz gdzie i kiedy
Tak dawno, tak dawno! Strasznie starym jesteś, zgrzybiałym w ~~wieczornych~~ odwiecznych pożądaniach młodości.
teraz
Klantoru ci się zachciewa starcze? ukrytego w murach klantoru na
niebotycznej górze wśród białych lodów, w którym oblubienice, wieczystego
(O naiwności! zapóźno przychodzisz obarczony wiekiem
piękna cudowne wyrabiają maście na rany i wrzody. zagubiły
one receptę przyglądając się sobie w zwierciadle głębokiej studni
klantornej a zmarszczki od łez ich w studnię kapiących, powstałe na
brzydoty
powierzchni wody, wydają im się zmarszczkami ~~starości~~ na ich
I wpatrując się w nie zrozpaczone, nieruchome, wieki już ~~sterczą~~ oparte o cembrzynę studni, wśród skamieniałe, zaklęte bijące się w piersi ze skruchą
własnych twarzach. Jeszcze tam jedna, już tylko, która zdrzymała
ongi na chórze przy organach, dmąc w ~~piszczałki~~ registra piszczałek i
ocierając pobożnie kurz z klawiszy, podobnych do wyszczerzonych
opasłego dzieje klantorne — inne
kłów klantornego brytana. Ta jedna, jeszcze zapamiętała ~~co było~~
(i wraz brzydną się stając w osobności swej [illegible] skruchy)
~~pamiętam owej słynnej recepty. M. D. [illegible] nawet ów sygnum.~~ [illegible]
zapomniały a wszystkim, każda o swojej tylko pamiętając brzydocie) Ona, ta jedna
~~przypomnieć nie może. Ale ci [illegible]~~ i powie z za klantornej kraty,
(zwiastująca stanu świata
kryjąc się w najciemniejszym kącie rozmównicy, że matka przeorysza
dawno, bardzo dawno, ~~[illegible]~~ za życia mojej, jeszcze Zbawiciela, a wnet wkrótce
~~gdy szatański orkan~~ zburzył raz mury klantoru a ~~[illegible] cudowny unosiony~~
po jego śmierci
~~[illegible] wiersz~~ ~~[illegible]~~, zażegnał się ogniem ~~od jego promieni~~ i
~~[illegible] w powietrzu, ale ci ona powie że matka przeorysza~~ ~~tryjem~~

2 48

(krzyżem) Leżąc (w modlitwie) przez lat trzydzieści na płytach kamiennych (przed cudownym wizerunkiem,) bez jadła i napojów, bez snu i wytchnienia, kapiącemi z oczu (świętymi) łzami w marmurowej posadzce wyżłobiła nieświadomie litery pisma, składające się na przepis cudownej owej maści gojącej rany serdeczne i wrzody sumienia i będącej przez tyle wieków chlubą klasztoru (i źródłem jego dochodów i bogactwa: dwa cesarstwa i królestw dwadzieścia było jego wierzycielem). I powie ci, że sam Ojciec Święty (pobożnej) pielgrzymce mnogie wdroże wycierpiawszy (od heretyków i pogan) męki i prześladowania, przybył do klasztoru z przenajświętszym sakramentem ukrytym (starannie) w tyane swojej i umierającej świętej matce przeorowej udzielił ostatniego namaszczenia a nad jej ciałem błogosławionem, które rozkładające się pachło jerychońskich róż wonią, odprawiając egzekwie, upadł na kolana i pochylając aż ku ziemi siwą głowę, ucałował święte pismo, wyżłobione w marmurze łez jej strugami. Odtąd to przez (długie) wieki wszystkie siostry zakonnice po świętej komunii klękały w tem samem miejscu całując pismo cudowne, którego ustami swemi świętemi dotknął Ojciec Święty, pismo święte pismo cudownego leku, wyżłobione w marmurze świętemi (świętej) Matki przeorowej łzami. A pocałunkami teraz przez długie wieki starły cudowne pismo, tak, że już prawie nieczytelnem, że już nieczytelnem się stało. Jeszcze tylko widnieją (ostatnie trzy) krótkie litery, (streszczające leku cudownego) z których (jednak już tylko) mędrzec, (po długich postach i rozmyślaniach świątobliwych) pokrzepiony łaską bożą odczytać by mógł cały przepis cudowny. (Mąż świątobliwy mógł tedy [illegible] światła się nie [illegible]. Tak bowiem stoi w świętych księgach zapisano.) Tak bowiem stoi w księgach świętych zapisano. Trzy istniały ongi odpisy cudownej owej recepty: jeden był w ręku Ojca świętego, ale zbutwiał w aktach Watykanu [illegible] w szczerozłotej przechowywanych szafie archiwalnej, rubinowemi nabijanej gwoździami. Drugi był w ręku Monarchy, w skarbcu jego kryształowym w dyamentowej skrzynce, ale gdy w czasie wojny straszliwej i najazdu nieprzyjaciół, buntownicy płonącemi łuczywami podpalili pałac, spłonął i on w tym pożarze razem z wszystkiemi jego skarbami. Trzeci wreszcie — i tu zakonnica zniżyła głos do cichego, ledwie dosłyszalnego szeptu — trzeci był w ręku Matki przeorowej przeoryszy, która w relikwiarzu z czystego szafiru zawieszała go (na weneckim łańcuszku) zawsze na piersi (najmilszej Bogu) najmłodszej siostry [illegible] w nowicyacie, dla umocnienia jej w ślubach [illegible] tej świętości. I oto siostra nowicyuszka niebacznie przechyliła się patrząc wgłąb klasztornej cysterny i [illegible] głębią przerażona szarpnęła się nagle, urywając wenecki łańcuszek i upuszczając relikwiarz z cudownego leku receptą. Nikt nie zgłębi dna tej studni, w szafirowej toni jej wody (oko ludzkie) nikt szafiru relikwiarza nie dojrzy już nigdy. Nigdy.

A gdy ci to powie (to „Nigdy") w sennej (z mroku) rozmownicy, do której przez zapylone wiekami kolorowe szyby nigdy nie dostaje się promyk słoneczny, z za obrazów zasutych (westchnienia) pajęczyną jak welonem, zdaje się cicho (wtóre) odzywać westchnienia. (odezwie) Na prawo, na lewo, (to z pomiędzy krat) to ponad drzwiami, to z nad furty, znów wyżej na lewo (westchnienie), na prawo znowu, to z nad tkaniną pajęczych posadzek, to podwieszonych, najeżonych ostremi kolcami i opleciony gęstą (westchnienia) w niezmierzonym mroku czerniejących ciemnicznym cieniem, to z pod stal i konfessyonałów w niepamiętnym mroku, to jakby z pod płyt kamiennych gdzieś z głębi tam dalej, to od lewej ściany, to wyżej, to niżej, to jakby z [illegible] niedojrzanego okna (westchnienia), to z lewej, to z prawej strony, tam, z kąta, to nad tobą, u stopy jak (z poza obrazów) to bliżej, tuż przy tobie, (tuż, tuż przy Tobie) to dalej, (znów) znowu dalej i wyżej i dalej jeszcze, jeszcze...

westchnienia... westchnienia... westchnienia.

3

I strasznie od tych westchnień wydaje ci się wśród ciemności i strasznie ci duszno. I z piersi twojej wyrywa się westchnienie od tych wszystkich westchnień podobne i z chórem tych westchnień się łączy. I otwierają się wszystkie rany twoje i krwawią. A zakonnica mówi wtedy kaszlem cichym szeptem. Ku ziemi uginam się starzec, sam ośmielon ciemnością i przed Nim. To boleść cięższa wzmaga się [illegible] łzy i echa tych wszystkich westchnień rozbrzmiewające w sercu twoim, wstrząsające całem twem jestestwem.

Codzień – codzień... Codzień powtarzała się ta sama scena przy śniadaniu. Pan Dalewski, obrachowany gospodarstwo, zakrzątnąwszy się na służbę, wydawszy dyspozycye, zjawiał się zawsze pierwszy w jadalnym pokoju, zachmurzony, zagniewany, jak po przebytej burzy. Zasiadał na swojem miejscu, bębnił niecierpliwie palcami po stole i dumał. Po chwili twarz mu się rozpogodziła i zwykły dobrotliwy uśmiech osiadał na twarzy. Brał do ręki gazetę, wkładał na nos okulary w grubej szyldkretowej oprawie, spostrzegał że są zapylone, zdejmował je znów, wycierał starannie czerwoną kraciastą chustką i zabierał się do czytania. Odkrząkał od czasu do czasu, podkręcał siwego wąsa, bąknął pod nosem: „Dyabli ich nadali!" albo „niech ich wszyscy kaci!" albo „co? jeszcze czego!" a najczęściej konkludował: „Oh, szelmostwo i kwita..."

Potem rozwierały się drzwi od sypialni z hałasem i wbiegała pospiesznie pani domu, w białym czepku, wysoka, wątła, blada, ale zawsze uśmiechnięta i wesoła. Cały dzień zajęta, ruchliwa do przesady, nigdy nie miała czasu aby dokończyć skromnej toalety, więc szerokie wstążki jej niezwiązane czepka furkotały w powietrzu gdy się krzątała koło przygotowań do śniadania.

— Przepraszam cię Kubusiu, — mówiła, całując męża w łysinę — spóźniłam się... Mańcia była niegrzeczna przy ubieraniu... Krasa od dwóch dni mało mleka daje... Czy nie będzie dziś okazyi do miasta?... Trzeba by soli...

Potem szklanemi drzwiami od ogrodu przybywali z obiegu obaj młodzi Dalewscy: starszy siedmnastoletni, któremu już wąsik zasiewał się na wardze, młodszy może 13letni wyrostek, a wraz z nimi siostrzeniec pani domu – piętnastoletni Adaś z różą i bukiecikiem niezapominajek w ręku, śliczny chłopak, blondyn o niebieskich oczach i sentymentalnem usposobieniu.

Uśmiechali się obaj starzy widząc ten bukiecik – wiedzieli dla kogo przeznaczony i radzi byli temu raczej. Adaś spostrzegłszy że bukiecik zwrócił

ich uwagę, czerwieniał jak piwonia.

Zaledwie trzej chłopcy ucałowali ręce na dzień dobry starym — wbiegała do pokoju młodsza dziatwa — mała, dwie córeczki i najmniejszy chłopczyk — ~~dwóch chłopczyków i córeczka~~ a tuż za niemi, jako opiekunka ich, ~~dw~~nastoletnie dziewczę, najstarsza córa państwa Dalewskich, panna Zofia. (Śliczna. Nie będę jej opisywać. Rosła jak topola, wiotka, zgrabna.) — po tylu latach które od owego czasu minęły, boję się szczerze aby zazdrości nie obudzić u Adama, że tak zapamiętałem dokładnie wszystkie szczegóły jej urody — nawet ów mały pieprzyk poniżej lewego oka.

~~[illegible]~~

—

~~[illegible]~~

Zapamiętałem jej wówczas mogłem dokładnie, jako najbliższy sąsiad państwa Dalewskich, ~~i częsty gość w ich domu~~ przyjaciel całej ich rodziny i częsty gość w ich domu. Zdarzało się nieraz że przyjechawszy do nich na obiad, zostałem do wieczora, wieczorem zasiedliśmy do partyjki taroka, ta się przeciągnęła do późna a potem zmuszony mi kazano. Naraz ~~[illegible]~~ zaczęła się słota i musiałem przez dni kilka u nich pozostać. Nie traciłem czasu i mogąc swobodnie rozpowiadać wśród domu. Rankiem i popołudniu ~~[illegible]~~ siedziałem na pracy w moim pokoju gościnnym, a wieczory spędzaliśmy razem. Szczerze przywiązałem się do nich wszystkich — a szczególniejszą sprawiało mi przyjemność przypatrywanie się tej rozkwitającej tak uroczo młodzi dwojga dzieci — Adama i Zofii.

Masz prawda! opowiadałem o śniadaniu. — ~~[illegible]~~ przychodził na śniadanie zawsze p. Feliks, nazywany przez wszystkich „Wujciem", chociaż żadne pokrewieństwo nie łączyło go z rodziną Dalewskich. Kolega wojskowy pana domu i serdeczny od lat młodych przyjaciel, — życie spędził na katedrze profesorskiej ~~[illegible]~~, po śmierci żony i dzieci osiadł w ~~ich~~ domu Dalewskich, zajmował się ich pasieką i pisywał artykuły przyrodnicze ~~[illegible]~~ do różnych czasopism. Człowiek rozległej wiedzy a przytem oryginał, zagorzały darwinista, zwykle małomówny, ożywiał się przy poruszeniu pewnych kwestyj, które go szczególnie zajmowały. Wpadał wtedy w zapał i dysputował zażarcie, nie przebierając w słowach, gdy kto nie naukowemi argumentami zaczepiał jego poglądy filozoficzne.

— Rararararara! — wołał on zniecierpliwiony — wolę słuchać żabiej litanii nad stawem. Rechocą, rechocą, wiem przynajmniej ~~[illegible]~~ co to wyraża: sentyment a nie argument.

~~Podrapał głowę~~ przytem pokrytą gęstemi szpakowatemi włosami, które wiecznie rozczochrane spadały mu na czoło a ~~porównaczo~~ ironicznie szerokiemi brwiami, ~~spoglądał~~ śledował ~~na~~ swego adwersarza z podełba małemi siwemi oczkami. W wyższym stopniu rozjątrzenia, targał ~~się~~ długą swoją szpakowatą brodę, przyciskając przytem wskazujący palec do krogulczego nosa.

— Mudrahel, zjiw kuropatwu! — odgryzał się po rusińsku, — mędrzec, kto kuropatwy jada, a kto śledzie ten mruk, rzecze. (Trudna rada: ~~Holenderskie krowy [illegible]~~ bo holenderski śledź za grosz. Holenderskie krowy mają inne za bardzo, to je sam proboszcz doi i katechizmu uczy. Parafiańszczyzna! ~~metafizyka [illegible] metafizyka~~ mitologia krowia! metafizyka much. Transcendentalny nonsens. Bańki, bańki z mydła!

...A odpędziwszy kruki, które ciało starca dziobać już zaczęły,
chcieliśmy się przekonać czy wyjęte zostały z niego oznaki zbrodni. Ale odsunąwszy jego łachmany, nie znaleźliśmy ani śladu rany lub uduszenia. A więc
rozmyślaliśmy nad tem, dokąd by go zanieść: Trzeba przecież,
aby ludzie poznali kto jest ten umarły, zanim zwłoki zakopiemy
w ziemi. — I rzekł jeden z pomiędzy nas: Znam oto, dobrą
staję drogi stąd, wpół rozwaloną opustoszałą chatę, niedaleko
od zgalonej figury przy kopcu granicznym, tam, gdzie miało być niegdyś
okopisko żydowskie. Tam go zanieśmy. — A gdyśmy nieśli
przyjąwszy się już zwłoki, zmieniając się często w tej posłudze,
albowiem woń odrażająca trupia obrzydzeniem nas przejmowała,
zjawił się od strony lasu jakiś człowiek i zdziwiony obecnością
naszą w tem pustkowiu, wahając się czas niejaki, wreszcie
zebrawszy śmiałości zbliżył się do nas. Pozdrowiliśmy go
dobrem słowem i zapytali, azali mu niewiadomo, kim był
umarły starzec, którego zwłoki szarpane przez ptactwo znaleźliśmy
wpośród zarośli. — ~~Widywałem~~ Spotykałem go nieraz, — rzekł on; w tej oto
opustoszałej chacie przy kopcu granicznym mieszkał. Nie udzielał
się ludziom i nikt w tych stronach nie znał nazwiska jego ani
pochodzenia i wiary ~~religii~~. Co lat kilka dziewczę jakieś obce składało w najbliższej
stąd chacie pewną sumę pieniędzy, aby miano opiekę nad
~~starcem~~, dając mu codzień mleka garnek i kawał chleba.
Tak żył. I oto umarł teraz; na drodze po ~~mój~~ kawał chleba śmierć
go spotkała. (~~Nas~~ biedaków koniec zawsze taki.) — A po chwili zapytał: Gdzież go niesiecie? — ~~Odrzekli~~:
Nieśliśmy go do chaty, pogrzebiem teraz przy kopcu granicznym.
— Wstrzymajcie się, rzekł, z pogrzebem. (Niewolno wam tego uczynić. ~~[illegible]~~) Winien go wprzód
oglądać ten, który prowadzi spisy umarłych. On wam dopiero
powie, na jakiej ziemi pochować go macie. — I towarzyszył nam w naszym pochodzie, tak dalej mówiąc, dając folgę gadatliwości: — ~~[illegible]~~
Zlecicie ~~[illegible]~~ zrobili, żeście go ruszyli z miejsca gdzie leżał. Postąpiliście przeciw prawu. Ale gdyście już go zabrali, to niesicie go do jego chaty. A gdyby was kto spytał, to powiedzcie że już jesteście

gdyście go znaleźli i sam od was żądał abyście go tam tąd zabrali. Tak powiedzie, jeśli nie chcecie być (albo się pokutnie przed domozicielem. Ale lękajcie się) karani. Ja was nie zdradzę, wiedz, idźcie dobrzy ludzie i przez miłosierdzie to czyńcie. – I wyciągając ku naszej rękę rzekł: Dajcie biednemu parę groszy! – A gdyśmy spełnili jego żądanie, odszedł i odszedłszy (Każdy z was z osobna będzie się musiał tłumaczyć) miał odwrót. Trzeba (I przypomni wam tego, o to przeszłego całe) (podkładając mu wiązkę mchu pod głowę miasto poduszki i

ciało do chaty i położyliśmy na ławie), przykrywając znalezioną

tam derką, aby tak ohydnego nędzy człowieczej nie przedstawiało

widoku. Oprócz tej wytartej derki, i wszystkiej podartej bielizny i

wiszącego na kołku wykrzaczanego płaszcza, glinianego dzbanka

i łyżki drewnianej, nie znaleźliśmy w chacie żadnych ruchomości. Tylko

w górze, na ścianie blisko pułapu, tam gdzie wedle miejscowego zwyczaju

umieszczane bywają obrazy świętych, zawieszony (wyrzeźbiony) dużych rozmiarów wieniec,

uwity (z jemioły i) z suszych leśnych kwiatów, które uczeni Melampyrum (nemorosum) a lud „Dniem i nocą”

zowie. A w pośrodku tego wieńca widniał (starannie) wyrzeźbiony na ścianie napis.

Najmłodszy z pomiędzy nas, ten, który pierwszy dojrzał te litery,

zbliżywszy się, zawołał, że to napis hebrajski. Było dwóch w gromie

razem, którzy po hebrajsku umieli czytać, zbliżyli się więc z kolei

i z ciekawością zaczęli przyglądać się pismu. Ale żaden z nich

i żaden z nas odczytać go nie umiał, ani rozpoznać w jakiem było

pisane języku. Nie było między nami tego, który byłby nam może

wyjaśnić zagadkę. Nie znał z nas żaden liter tego pisma, niepodobnych

ani do łacińskich, ani greckich, ani do tureckich lub ormiańskich, – więc

utkwiliśmy na nie zdziwieni wszyscy i oczu nie mogliśmy oderwać. – I każdemu z nas inne nasunęły się

myśli i przypuszczenia. – I jeden z nas rzekł: Oto w tych runach

tajemniczych mieści się pewnie nazwisko jego; więc on do śmierci,

że zabłądzi tu kiedy rodak jego i odczytawszy imię, zamieni o nim

wiadomość do dalekiej ojczyzny. Od niepamięci wiecznej chciał

ocalić nazwisko swoje. – A drugi rzekł: Któż wieczny nazwisko wdowie?

patrzcie na płaszcz ten jego zszargany, wszak to płaszcz żołnierski: wygnaniec

dalekich stron, on wierny sztandarom pod którymi walczył, do śmierci tak

wieczył (jemiołą) wodą swego nazwisko – albo raczej może tych (drogich) sztandarów barw.

Nie siebie on to od zapomnienia (ale nieśmiertelnemu hasłu dać świadectwo) wszystkiego ocalić pragnął. – A trzeci

rzekł, smutnie zwiesiwszy głowę, a było to z pośród nas najmłodszy:

Opuścił ziemię rodzinną i z braćmi swemi zerwał wszelkie związki.

ze światem w rozterce, zapomniany (a w tej pustelni), żyć on mógł tylko wspomnieniem

serca. Kochania swego on tu z tych kwiatów ustawiał ołtarz, – w tym

wieńcu (święci się pewnie) imię jego zmarłej kochanki. Młodości swej miłość

w pozagrobie unieść pragnął światy w nieśmiertelność jej wieńcu. – Nie, rzekł

czwarty, a był to z pośród nas najstarszy. Więdną kwiaty w burzach życia,

[było zostawić go na żer krukom, niechby się pożywił ptactwo; on tam (i tak) nic czuje już tego. ⊕ Jeśli wstrętno wam było zostawić krukom na pastwę, to trzeba było nocą przyjść gdzie leżał i pokryjomu dokonać nad nim miłosierdzia. – Ale nam wstrętno było słuchać tej mowy, (więc ... wierzyciel) więc niewzruszeni mówiącego: Nie lękaj się o nas, usprawiedliwimy się przed władzą. A kłamać jej nie będziemy. A jeśli ciała jego niechcieliśmy zostawić krukom i wilkom i mimo wstrętu ⊕ ⊕

mrozi je ostry podmuch niepowodzeń, jak woń czarowna róż, ulatnia się wspomnienie. Na grobach starcy nie składają wieńców, ale składają je na wzniesieniu swoje głowy. W nich odżyć pragną i w nich cała ich nadzieja przedłużenia ziemskiego żywota. To wzniesienie jego imię, to tego dziewczęcia, które jak nam powiedziano, zgrunało się samo jedno odrazu do czasu, opiekując się zdała zapomnianym starcem. — Na jakie wpadanie domysły, przez piąty, — najprostszą myśl odsuwając, która się sama narzuca. Nieszczęsny starzec, opuszczony od ludzi, sam stwór, Boga swojego wypisał to imię i codzień świeżą składał mu ofiarę z tych kwiatów leśnych. Tu on go wzywał, grzechów swych się kajał, tu mu spowiadał smutki swe i bole i tu doznawał w swych smutkach pociechy. Więc jestem pewny, że ten napis znaczy: Niech Imię Jego będzie pochwalone, na wieki wieków. — A ja bym sądził — rzekł szósty — inaczej. Religijnego symbolu tu nie widzę wcale, medalionika, różańca, ani krzyża, ani [illegible] szczątku, albo tych szemrań i owej szczątki wyznawców Jehowy. I dowidzę z tej jemioły wieńce wcale mi nie jest świadectwem dewocji. Ten mąż mnie raczej zdał się filozofem. Gdyby tu Boga chwalił, byłby go chwalił w zrozumiały sposób, tak aby wszyscy ten napis czytając, za nim poprzedni cześć Boga oddali. Nie, on tu umieścił napis w mowie jemu samemu tylko zrozumiałej, on go dla siebie samego umieścił, aby mu jakąś wielką przypominał prawdę, aby go wytrwać uczył w cierpieniu i mocniej wszelkim bronił go pokusom z tej ciężkiej doli, którą dobrowolnie na siebie przyjął. To jakieś wielkie słowo Mądrości, które dzikiej pustelni zgnębionego w [illegible] przybytek i błogości siły i spokoju wynagradzać sowicie utracone świata skarby. Nie pomnik wielki świata dla białych mówców, ale drzewo dla jakiejś nieśmiertelnej idei, która cudownie ukorzeniony zespoli się z nią w jedność nierozdzielną i nieśmiertelny wnet zdobywa żywot. — I rzekłem wtedy: Przestańmy się spierać, bo wobec starca w jego własnym domu głośniej rozmowy wieść nam się nie godzi, ani snu płoszyć ze zmrużonych powiek, chociaż go spłoszyć nie zdołamy niczem, ani tej cichej mocy, która była jedynym skarbem jaki on posiadał. Więc przyczynim mówmy tylko szeptem snu wiecznego świętego majestatu i śmierci wyższy ten majestat nędzy. — I gdym to wyrzekł wnet wszyscy ucichli i na kamieniach usiedliśmy przed chatą, każdy głęboko w swej myśli zatonął, na zachodzące spoglądając słońce. I już tonęło poza horyzontem, gdyśmy spostrzegli Mistrza w naszem gronie. A gdy ku chacie skierował swe kroki, rzekł doń najmłodszy, jakby go chciał wstrzymać: Mistrzu, tam w chacie jest umarły odwieczny. A mistrz mu odrzekł: Wszyscyśmy umarli. I ze zdziwieniem słysząc takie słowo, ustaliśmy wszyscy, otaczające mistrza. Ale mistrz dodał: I wszyscyśmy żyjemy, zarazem z tym odwiecznym. Bo nasze dusze to są cmentarzyska wszechludzkiej myśli i wszechludzkich uczuć, które się budzą jak iskry w kamieniu, gdy je [illegible] wzniecić do życia przywołaj i obudzone zabłysną i gasną, aby uśpione znów się kiedyś zbudzić: czy tu, czy ówdzie, w Tobie, czy we mnie, czy w innym człeku, czy na innych światach. Ta myśl to dusza i żywot tej iskry, że [illegible] będziem żył żywotem i duszą twoją znów będzie myśl inna, która milionem żywotów już żyła i nieśmiertelna cmentarzysko [illegible] będzie po wszystkie wieki i na wszystkich światach. A więc umarły, o którym ty mówisz, żyw on zaiste, mieszka

w tobie żyje, coś mnie dział wstrzymać, bym jego widokiem nie był przerażony. Któż był ten człowiek? Zgubną umarł myślą? — Z myślą o chlebie. — Więc z nią zmartwychwstanie. Więc z nią zmartwychwstał i żyje zaiste, w milionach głodnych co myślą o chlebie. Jak jedna książka w tysiącu okazach a każdy okaz jedną treść zawiera, tak w tych milionach których całą myślą jest myśl o chlebie, ta sama, jedna. Tylko żyje ona i oni wszyscy jednym są człowiekiem o wielu ciałach. — A czemuż mistrzu — zapytał znów jeden — dwóch głodnych czasem bierze się za bary, aby sobie wzajem wydrzeć kawał chleba? —

⊕ W latach głodu i kiedy tak jak i w tym roku zboże nie obrodzi, to nieraz ścierwem żywi się trzoda i tuczy się dobrze. A psy nasze, które domów nam strzegą, czemuż by się żywiły w latach głodu gdy nie mamy ich czem karmić? Było wilk pierwej od nich nie zwęszył trupa, to już go one zwietrzą. Tylko pana własnego wierne psisko nie je po śmierci, choćby z głodu zdechało. Czyż zostaje nie jedno czy psie życie, czy zwierzę dziki, czy kruki, czy robactwo? Ale jeśli

⊕⊕ jeśli w nas budzi odór ~~[illegible]~~ zwłok nadgniłych, nie sieczemy aby je przystojnie pochować, to dlatego, że nie chcemy być gorsi od owego psa o którym wspomniałem a który przyrodzonego dobrych instynktów słucha głosu. Ten nieznajomy starzec, to był nasz brat. Nie dla niego to zrobiliśmy jednym, ale dla siebie samych, aby nie pozostał nam w pamięci obraz wstrętny, który nas zgrozą przejmował. — I gdy pożegnał się z nami ów człowiek, zaniesiliśmy

Libretto do opery

b. d.

k. 57-

Libretto do Opery: „

Akt I.

Scena pierwsza.

Scena przedstawia okolicę górzystą na Podhalu tatrzańskiem. We środku skalisty Giewont ze szczerbą we środku, na lewo i na prawo chaty góralskie w głębi. Z przodu sceny, we środku ozdobny dom kasynowy, po lewej hotel żydowski, po prawej hotel góralski. Z otwartych okien tych hoteli ~~wy~~wyglądają co chwila głowy restauratorów pokazujących sobie wzajemnie języki. — Przed kasynem zebrani goście zakopiańscy w strojach wycieczkowych, po prawej stronie przewodnicy i górale z torbami na plecach, po lewej przed sklepem żydowskim, kupujący i pijący wychodzący z szynku. Po podniesieniu kurtyny widać na niebie po prawej księżyc zachodzący za góry. (Deszcz zaczyna padać) Muzyka gra smutną symfonię przez parę sekund, potem księżyc znika za górą a po lewej wschodzi słońce. (Deszcz padać przestaje) Muzyka wesoła.

Chór gości:

Te cudne góry
Ty słońce pieszcz!
Niech mokropióry
Nie pada deszcz!

Chór ~~przewodników~~:

Chowaj się świstaku do dziury
Ty świszcz!

Oba chóry:

Nie pada deszcz!

Chór ~~przewodników~~:

Kozico hipkaj do góry
Świstaku świszcz!

Oba ~~gości~~

Nie pada deszcz!
Więc idźmy het!
Bo może wnet
Lunie na nas z chmury
Deszcz, deszcz, deszcz!

Chór przewodników:

Deszcz, deszcz, deszcz!

Staszczyk: (bas)

Słuchajcie panowie, ja dobrze wam radzę
Nie idźcie, nie idźcie dziś w góry
Tam czarne obłoki się snują jak sadze
I mgły i obłoki i chmury!

~~Pawlikowski~~: (tenor)

Za~~milcz~~ wróżbito, wróżbito ponury!

Chór przewodników:

Tam mgły i obłoki i chmury!

~~Chór gości~~

Słuchajcie Staszczyka, on dobrze wam radzi!

Chór gości

Niech Sieczka, niech prowadzi!
Już czas, już czas,
Niech Sieczka wiedzie nas.

Jeden z gości:

Hej! słuchaj sąsiedzie
Choć Sieczka ich wiedzie
Deszcz będzie, deszcz będzie ...

Staszczyk

Słuchajcie panowie, ja dobrze wam radzę
Nie idźcie, nie idźcie dziś w góry!

Sieczka (wyskakując na przód z toporkiem)

Poradzę!

Staszczyk

Tam chmury!
Deszcz na was ~~pioleje~~ jak gdyby przez sito

Jeden z gości

Wróżbito!
Ponury!

Drugi gość:

Chór gości:

Chodźmy het!

Chór przewodników

chodźże haf!

Chór gości

Idziem wnet!

Jeden z gości (strzela po trzykroć z rewolweru)

Paf! paf! paf!

(Na odgłos strzałów wylatuje z jednej z chat góralskiej koszuli i boso z rozwianemi włosami i ozgniecionem wrzkiem:)

Scena druga:

Pani Hofman

Ktoś strzelił tu...
Czego mnie budzicie ze słodkiego snu?
Czy to może jaki zbój?
(chce uciekać)

Chór gości:

Stój! stój! stój!

Chór niewiast:

Ach on ją przestraszył srodze!

Chór mężczyzn:

Wybiegła o bożej wodze
Niżej chaty kamienne zmieszała się strojnie

Chór niewiast:

Przestraszyła się okropnie!
Ząb jej o ząb szczeka!

Pani Hofman

Co za ucieka!
Ach wiem, niewiem ach niewiem nic
Czy to strzelił jaki tyrs
Czy jaki zbójca kraś chciwy

Ach słyszę głos mój przeczuły
I litość mięknie nadenną
We myśli ogarnie strasznie i ciemno

<u>Chór górski</u>

W myśli ogarnie straszno i ciemno

<u>~~Pani~~ Hofman</u>

Ach mięknie litość nadenną.

<u>~~Sieczka~~</u>:

Nie bójcie się pani nic.

<u>Elian</u>:

Ten co strzelił, to był tego.

<u>Chór górski</u> (: rzuca się zwycięsko na tego co strzelił:)

Dać mu cięgi!
Bój się bój!

<u>~~Tryc~~</u> z rewolwerem (: celując do góry)

Uj! uj! uj! (~~[illegible]~~ chwilę ukazuje się w oczach Gewonta)

<u>Elian ~~[illegible]~~</u>

Chłopiec tęgi!

<u>Sieczka</u>:

Chłopak wartki!

<u>Chór przewodników</u>:

Ho, ho, ho!

<u>Elian</u>.

W moje kartki
Wpiszę to!

<u>Pani Hofman</u>

Kwartet

Ach mięknie ~~[illegible]~~ litość nadenna
W myśli ogarnie tak straszno i ciemno

<u>Stanekorel</u>

Słuchajcie zamieć ja dobrze wam radzę
Kto idzie, nie idź dziś w góry

~~[illegible]~~

<u>~~Przymek~~ Tatar</u>

Tam niebo tak czarne jak sadze
Tam chmury, tam chmury i chmury!

<u>~~Pasi~~ Wilkoszewski</u>:
Zamieć ach zamieć, wieje tak ponury
Deszcz nie minie, mokro wszędzie!
~~Jedzie~~ z góry!
Siecze nas!
Przewróci nas!

<u>Chór przyjezdnych</u>:
Chodź ich strzelec wiedzie
Deszcz na pewno będzie
Przepraszam zawołam
(Deszcz nadciąga przez zamęt, opada. - Wchodzi ~~[illegible]~~ Tatar i ~~[illegible]~~ sceny)

[Kazmira]

„Przerwa w Stadionem pasiansie"

b.d.

k. 59-

Przerwa w kładzionym pasiansie.

Ciociu! droga Ciociu! co to była za świetność – za blaski – za stroje! Jeszczem nigdy tak wesoło wieczora nie spędziła!..

A muzyka?.....

Ach! muzyka! cudowna! Ta pierwsza Polka ... pamiętasz? ... I wesołe czarnobrewe dziewczę nocą ulubiony taniec zaczęło samo polkować po pokoju skromnie przybranym – a jej błękitno-oka spokojniejsza towarzyszka powiedziała zwracając wzrok łagodny do niewiasty w czerni ubranej – co w wygodnym poręczowym siedząc krześle przysłuchiwała się szczebiotaniu miłych siostrzenic – i rozkładała na stojącym przed sobą orzechowym stoliczku – podług rozmaitych prawideł i zasad swój ulubiony pasians. Ale Ciocia nas nie słucha – i śmieje się tylko że już całe trzy dnie zajmuje nas wspomnienie miłego wieczorku! Czyżbym się mogła śmiać z tego moje dzieci – czyż i ja nie mam moich miłych choć dawniejszych jeszcze wspomnień? Bawcie się! – to wasz wiek – kiedyś i wy nad spokojność miłości zabawy mieć nie będziecie. –

Czy i za dawnych czasów tak dobrze się bawiono jak teraz? zapytała czarnowłosa Jadwisia.

O! niech nam Ciocia opowie co o dawnych zabawach – To będzie nam na wypoczynek – dorzuciła Zosia.

Czyż jużem wam nie powtórzyła wszystkich dziejów mojej młodości! broniła się Ciocia. Zastaw znacie wraz ze mną .....

O! Ciocia znajdzie jeszcze nam co o nim powiedzieć. Ja tak lubię te wspomnienia!

A ja zamknę oczy i będę marzyć że mój taniec jeszcze się ciągnie po bogatych salach pałacu Zastawia zawołała psotna Jadwisia siadając przy nogach i opierając głowę na kolanach Cioci – która po powtórzonych prośbach tak znowu zaczęła:

Ile mój wiek młodzieńczy przemknął na świetnych posadzkach książęcych pałaców – że nie upłynęło nigdy kilka miesięcy w naszem własnem mieszkaniu by wnet nie przyszedł goniec z zaproszeniem na czas długi od Księżnej Zastawskiej – która się nigdy na długo bez swej ukochanej krewnej i przyjaciółki a matki mojej obejść nie mogła – mówiłam wam to nieraz – bo szczęście starości to wspomnienia z lat młodych – Lecz zabawa o której z takiem zachwyceniem mówicie przypomina mi pięknym dawną noc w którym byłam przytomną – a którą wam opowiem! –

Księżna Januszowa Zastawska – nakłopotawszy się długo – jak to zwykle matki o dzieci swoje doczekała nareszcie szczęścia iż synowi swemu Konstantemu – młodszemu a ukochanemu dziecięciu. Błogosławiła do ślubnego kobierca na którym miał stanąć z wielką pana

Białocerkwi. Ale dumna i wspaniała księżna niewyjeżdżająca nigdy prawie z domu swego nie była świadkiem uroczystej chwili ich połączenia. Lecz w swem zamku miała przyjmować młodą parę z przepychem i świetnością zwykłą w dniach tak uroczystych.

Na dni wiele jeszcze przedtem sproszone liczne towarzystwo hucznie się bawiło wznosząc toasty za szczęśliwość nowo zaślubionych – i właśnie wszyscy siedzieli przy stole suto zastawionem i gęsto obsadzonem gdy zajechał przed ganek lekki czterokonny podróżny powóz Księcia Konstantego – i on wyskoczył z niego a całując ręce ukochanych rodziców – oznajmił – iż na kilka staj zaledwie wyprzedził młodą matronkę. Niecierpliwy ujrzeć rodziców chciał sam oznajmić im przyjazd całej dostojnej rodziny ich przybranej córki. Niedługo bawił młody Książę – odjechał starszy się z swem towarzystwem. A w domu Książąt Kustawskich – choć tam zawsze dostatnio i obficie i szumnie – jednak [illegible] się zakręt niepodobny do uniknienia w chwili – gdy uczucia serca i uczucia dumy tak silnie w różne grają strony. Księżna Pani umiała zawsze zachować tę powagę pełną słodyczy i godności która nigdy niezachwiana – tak ją między wszystkiemi współczesnemi matronami Polski odznaczyć umiała. Lecz Książę Janusz co od lat tylu niewidział już swoich dzieci – co je znał tylko po głosie – a rysy twarzy jedynie dotknięciem ręki rozpoznawać umiał On – ciemnych oczu – a tkliwego serca starzec – puścił wodze uczuciu czy szczęścia czy smutku co mu w piersi grało – i z pod zamkniętych powiek strumień łez się puścił. Odszedł on do siebie w górne pokoje. A gdy ujrzano powozy zbliżające się ku bramie i dano znać Księżnie – wyszła ona przed ganek mając przy sobie córkę Księżniczkę Klementynę – tę Panią co kiedy swe długie czarne włosy rozpuściła to się niemi jakby przejrzystą zasłoną cała okrywała. A gdy je przez dwie panny służące z trudnością czesane i splecione na głowie ułożyć chciała – to wieńcem trzy razy otaczały jej skronie na wzór turbanów tureckich je okręcając. Za Księżną stał Kruszewski Komisarz nadworny – trzymając w ręku srebrną tacę – a na niej rozsypanych czerwieniło się tysiąc dukatów – na których znowu spoczywał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w srebrnej sukience – chleb, sól, i białego cukru kawałek. Obszerny ganek strojny w kwiaty i zagraniczne krzewy oblegli hurmem wszyscy goście zamku wlepiając ciekawe oczy w powóz który się właśnie zatrzymał.

Ogromna to była złocista kareta. Osim koni białych ją ciągnęło – Na nich służba w szafirowej ze srebrem bogatej liberyi Branickich – w złoto strzelcy a za niemi szereg różnych ekwipaży – A w tej karecie cała zebrana rodzina. Najpierwszy wysiedli młodzi nowożeńcy – trzymając się za ręce upadli do nóg matce stojącej na ganku – Po trzy razy pokłon swój powtarzali a ona za każdym razem błogosławiła im wziętym z tacy obrazkiem Matki Boskiej. – Dziwnie wzruszona Księżna wzięła powtórnie przybraną córkę w ramiona: Niech was Bóg i Matka Najświętsza błogosławi jak ja to teraz czynię – Niech obfitość i zamożność nigdy z waszego nie wychodzą domu byście dla siebie i drugich używać ich mogli – a słodycz miłości wzajemnej nigdy

was nie opuszcza – mówiła przysuwając tacę na której były dary przyjęcia złożone. Młoda Księżna z schyloną głową – z rozrzewnieniem i uszanowaniem słuchała słów matki trzymając ją za rękę – a wziąwszy od niej obraz święty – z czcią religijną ucałowała go – chleba dotknęła ustami – talerz zaś z solniczką postawiła – a gorącym skinieniem głowy dziękując Kraszewskiemu: To proszę zabrać dla siebie dziwicznie przemówiła – darowując mu temi słowy i tacę i pieniądze.
Po skończonym akcie błogosławieństwa rozpoczęły się ceremonialne powitania rodziny nowo zaślubionej – bo z nią przybyła Matka i dwie siostry. Księżna Konstantowa miała na sobie suknię białą atłasową po której spływała biała gaza z długim ogonem – który chodząc na ręce zarzucała. Suknia wierzchnia cała zasuwana była gwiazdami z brylantów – Na głowie pióro przytwierdzone bogatą szpilką z wielkiego diamentu – co z pomiędzy ciemnych misternie utrefionych włosów jako jasna gwiazda blaski dary rzucała.
Cokolwiek każdej była odmiennie ubrana przerwała wpół głośno z uśmiechem Jadwisia.
Ale nie każdej pewno od ciebie wyglądała – dorzuciła temże głosem ~~dorzuciła~~ Zosia na pociechę siostrze spostrzeżenie.
Ciocia się uśmiechnęła:
Ostatnia była to pani nie wielkiej piękności ale tak dziwnie miłego i łagodnego wyrazu twarzy iż się koniecznie kochać kazała. W tem zupełnie nie do swojej matki podobną nie była która zimny i dumny układ i obejście raczej bojaźń niż przychylność nakazywały. Była ona w bronzowej jedwabnej sukni – którego to koloru nigdy i nigdzie nie zmieniała – Przez ramię przewieszona błękitna szarfa z gwiazdą brylantową godności damy dworu znamionowała. Jej zaś dwie córki – młodsza odznaczającej piękności – były skromnie biało przybrane – tak jak ty wczoraj Jadwisiu – Po skończonych ceremonijach powitania poszli wszyscy do Księcia Pana gdzie na nowo powtórzyły się pokłony i błogosławieństwa. W wieczór tańce – oświecenia – ogniem płonące cyfry książąt – świetne a wraz nowe zabawy przeciągały się przez tydzień cały – I któż pomyślał wtenczas widząc tę świetność ten blask – tych ludzi dwoje tak szczęśliwych tak mocno się kochających – iż ich szczęście tak krótko trwać będzie. A Książę Konstanty ten typ piękności męzkiej czy wtenczas i niepomyślał o owem wypadku młodzieńczej swawoli ~~gdy~~ gdy w pędzie konia wyszczerbiony twarz skaleczył – lecz później wyleczony – lekkiej tylko zachował blizny – czyż mógł przypuścić iż to zranienie odnowione grozi mu w krótce śmiercią tak bolesną – tak długim konaniem? – Ach! i ja dziecię wtenczas – gdy uspokojona – błękitnemi podarunkami i luźnemi oklaskami, wśród mnóstwa świec jarzących – i mnóstwa dostojnych gości – co mnie swą małą kuzynką i towarzyszką zwali – wesoło wychałkiwałam kozaczka – niemyślałam wtenczas ni o starości ni o cierpieniach życia – ni o smutnem szczęściu

wspomnienia ... A jednak to wszystko prześto i minęło ... Świętsze uczucie – ~~[illegible]~~ – uczucie wcale zostało – I po niem także – tylko wspomnienie! —
Zsmutnie Zosia schyliła głowę – a młode dziewczęta znów porwane jej tęsknotą mimowolnie zadumane – Po chwili Zosia pierwsza podniosła głowę – a spojrzawszy na krzyż Zbawiciela co wisiał nad łóżkiem cicho westchnęła – a wciągnąwszy obłożony kwieciem czy wieczorne powietrze przez okno wchodzące – czy może też mimowolne odebrała przyszłości – otarła je białą chustkę – a wziąwszy ~~karty~~ w rękę karty odpowiadające przez ciąg roczny na stoliku – znowu do swego posłania wróciła. —

Kazmira.

„Ironia losu"

b.d.

k. 61

Ironia losu.—

Część I.

Paryż.— Zdzisław samotny w komnacie zostawiony my-
ślom swoim, przypomina sobie czasy czynów swoich, wal-
czył za sprawę ojczystą w tylu bitwach, należał do
spisku przeciw Mikołajowi, co chciał podczas koronacyi ce-
sarskiej zgładzić go z całą familią, walka po tylu trudach,
po rozlewie krwi tyle nic nie pomogło ojczyźnie, spisek
rozprysł się na niczem, wszystkie zamysły jego zniweczone,
matkę stracił w młodym wieku, ojciec i brata porwani w
Sybir, a on sam zostawiwszy najukochańszą d. serca swego
w Polsce musi się tułać za granicą, w wiecznej niepewno-
ści o jej los i swej rodziny, rozdwojony z światem, mie-
szkał w Paryżu przy smutnej doli rozdrażnienia go męczono.—
W tem wchodzi sługa z listem, Zdzisław roztworzył go, popatrzył,
zadrżał i upadł bez zmysłów na ziemię.— Zbiegli się sługi,
podnoszą go ~~i kład~~ więc i kładą do łóżka, Zdzisław w go-
rączce fantazuje, mówi przez sen, słowa urywane składają
się następującej treści: „Przeklęci kruczy... zmusili cię,
droga, o Boże!, pójść za Wojewodę — którego nie kochasz —
ty zawsześ słabsza, wyglądasz gorzej, może zginiesz.— Zem-
sty! zemsty! za taką niegodziwość.— Między się tak parę
dni przychodzi mu na koniec myśl, niepoznany tam jeden prze-
kroczył granicę i wejść do ojczyzny.—

II część.

Zdzisław przebrany w ojczyźnie zbliża się do miasta rodzin-
nego.— Miotają nim uczucia widzenia ojczyzny, zmienny tu-

kiej, od czasu gdy ją porwał, uczucie zemsty na Wojewodzie
a niepewność wdrażywszy szpony swe w serce jego, rozkro-
wia je na myśl strony ulubionej.— Wtem zdybuje po-
wracający z cmentarza orszak grobowy, który przechodząc
koło niego dziwne wrażenie na nim sprawuje słyszy słowa
mówiących: „Nieszczęsna!.. szkoda, tak młoda, ~~zginęła nam~~ umarła,
musiała kogo innego kochać, prawda Wojewoda stary, słychać że
za młodu kochała młodzieńca nazwiskiem Zdzisława, lecz ten za
granicą..." Zdzisław ~~m~~ coraz ~~s~~ mocniej blednął, trząsł się, prze-
strach na jego licu wykwitał, łamał twarz boleśnie, nareszcie
stanął jakby skamieniał; orszak przeszedł.— Zdzisław powoli przy-
chodzi do siebie, uczucia wyryte na twarzy coraz się zmieniają, od-
męt różnorodnych myśli kłębi się po twarzy, nareszcie zabłysła
myśl w oku, rusza; cały duch jego zajęty i Zdzisław przybiera
twarz Mściciela.—

(Zmiana).— Komnata bogata, noc, Wojewoda leży w śnie głębokim,
lampa przy stole.— Wchodzi jakaś postać, ~~z~~ zbliża się do łoża,
wyjmuje miecz schowany i podnosi go na Wojew., ~~lampa~~ zadrżał,
lampa rzuciła blask na niego widać Zdzisława, walczy z sobą,
nie może zostać skrytobójcą — gdyż i w zemście jest Polakiem,
budzi Wojew., ten zrywa się, bierze za miecz nad łożem wiszący,
Zdz. wyrzuca mu jego łotrostwo, oświadcza, że przybył się zem-
ścić, Woj. krzyczy na sługi, żaden nie wchodzi, Zdz. szydersko
mu mówi, że złoto odebrało mu sługi, biorą się do walki po
strasznym natężeniu Wojew. w krwi upada, Zdz. wylatuje
z ~~[illegible]~~ komnaty.— Wyszedł na ulicę, księżyc krwawy na niebie, w powie-
trzu huk sów i puszczyki latają, idzie na cmentarz na grób najdroż-
szej, rozpaczy, boleść nim miota, rozpacz żre siłę jego, osłabio-
ny upada na grób.— Słońce weszło, grabarz się zbliża, ktoś leży
na grobie świeżo pochowanej, przybliża się ~~[illegible]~~ trąca:
woła: wstań! Może ~~tak~~ wołać długo, Zdz. już nie powstanie.—

Wykaz nowel zług

M. Pawlikowskiego

oraz jego wizytówka

k. 62-63

Miecz. Pawlikowski: „J. N. J. [illegible] ka z dziejów poezyi polskiej.“
1883.

Miecz. Pawlikowski: „Druga miłość.“ Nowella. 1880.

~~Miecz. Pawlikowski~~: „Nowy Rok.“ Nowella. 1890.

Miecz. Pawlikowski: „Hipcio“ Nowella 1875.

Miecz. Pawlikowski: „Moralność w przyrodzie.“ Rozprava. 1866.

Miecz. Pawlikowski i Sewer Maciejowski: „Odzyskana“ nieprawdopodobna nowela. 1892.

M. P. Legenda. poe.

Tajemnica pani Trzuckiej.

W Grudniowe dni.

Mieczysław Pawlikowski.

63